BOŻEK MILJON.

BOŻEK MILJON

POWIEŚĆ

PRZEZ

Walerję Marrené

(**MORZKOWSKĄ**).

WARSZAWA.
U GEBETHNERA I WOLFFA.

1872.

Дозволено Цензурою.

Варшава, дня 13 (25) Октября 1871 г.

w Drukarni Józefa Sikorskiego, ul. Niecała Nr 11.

W piękny letni poranek, młody człowiek przechodził zwolna przez jednę z głównych ulic Warszawy. Była to niedziela. Uboga ludność śpieszyła do kościołów lub na zamiejskie przechadzki, bogata nie pokazywała się jeszcze; powozy rzadko wstrząsały brukiem, dorożki nawet mało krążyły. Powietrze miało tę orzeźwiającą siłę, tę woń wiośnianą, która czasem o tej godzinie dolatuje nawet do wielkiego miasta. Młody człowiek oddychał pełną piersią jakby spragniony był ruchu i słońca; wpatrywał się w błękit nieba, w białe obłoczki przysłaniające go gdzie niegdzie, w tumany kurzu złote od słonecznych promieni, okiem marzącem myśliciela. Może dostrzegał w nich mirjady jestestw wzbijające się ku światłu, powołane do bytu ożywczą siłą jego; może duch jego tonął w pogodzie błękitu—bo czoło miało wyraz dziwnego spokoju.

Szedł zwolna, mało zważając na przechodzących; aż dochodząc do ozdobnego pałacu na Nowym Świecie, zatrzymał się jakby mimowolnie, jakby siłą nawyknienia, i spojrzał wkoło siebie. Pałac był nie-

wielki ale wykwintny, arystokratycznej powierzchowności, co zresztą poświadczało i nazwisko właściciela: „Hrabia Felix Horecki,“ wypisane ponad bramą. Żelazna krata oddzielała od ulicy dziedziniec zasłany zielonym kobiercem murawy, wykrojonej w rozmaite klomby kwiatów. Do głównego budynku w głębi, prowadziły szerokie wschody, których balustrada okrytą była wazonami egzotycznych krzewów; ganek pierwszego piętra wspierały marmurowe karjatydy, a z poza dachu wyglądały gałęzie starych drzew ogrodu, świadcząc że właściciele nie dbali o zużytkowanie każdego łokcia ziemi, i byli dość możnymi by nie żałować sobie największych zbytków miejskich: powietrza, przestrzeni i zieloności.

Młody człowiek zatrzymał się przy kracie dziedzińca, jak gdyby zdawna przywykł tak czynić, i spojrzał wewnątrz dziwnym wzrokiem, a twarz jego pogodna spochmurniała nagle. A jednak cóż wspólnego być mogło pomiędzy nim a mieszkańcami tego eleganckiego pałacu? Ubranie jego czyste i noszone z pewną wrodzoną wytwornością, było zwykłem ubraniem rzemieślnika; ręka pięknych, rzeźbiarskich kształtów, była jednak szorstka i spracowana. W tej chwili dziedziniec był pusty; story i żaluzje szczelnie pozamykane świadczyły, że tu wszyscy byli jeszcze pogrążeni w śnie głębokim. Jednakże on oczy badawcze zatopił w tych oknach przysło-

niętych, w tych drzwiach pozamykanych, z tak dojmującą siłą, jak gdyby chciał przejrzeć te zasłony i dostać się do głębi zaciemnionych komnat. Widać nie czekał tu na nikogo; bo gdy jedne z drzwi bocznych otworzyły się, drgnął i oddalił się szybko, jak dziecko schwytane na gorącym uczynku. Jednak nie odszedł daleko. Ruch o tak wczesnej godzinie, w tym domu którego widać znał nawyknienia, zaciekawił go; przeszedł na drugą stronę ulicy i patrzał.

Z pałacu wyszedł służący i zawołał dorożki, która zatoczyła się przededrzwi boczne; służący wyniósł kuferek, parę pudełek i paczek, które dość niedbale umieścił w dorożce. Za nim ukazała się młoda kobieta, tak młoda, tak wątła, że raczej trzeba ją było nazwać dziewczyną, gdyby nie to, że wyraz dziewczyna oznacza zazwyczaj istotę, która jeszcze nie weszła w życie, zostając pod opieką i odpowiedzialnością cudzą; która zaznała tylko radośną stronę życia, i zamiast pamiątek posiada nadzieję. A na tej twarzy młodej i cudnie pięknej, wyryły się już bruzdy cierpienia. Samotna, zbolała, opuszczała progi tego domu, i wychodziła z niego nieżegnana i nieżałowana—bo wyjazd jej nie zmienił nic w zwyczajach jego mieszkańców, nie zbudził ich nawet ze snu rannego. Wsiadła do dorożki nie oglądając się prawie; włożyła w rękę służącego datek snać skromny, bo on przyjął go z pewnym lekceważącym

uśmiechem. Ale kobieta nie zważała na to; zasunęła się wgłąb powozu, chcąc ukryć może łzy cisnące jej się do oczów.

— Gdzież ma jechać?—spytał służący zamykając drzwiczki.

Kobieta zadrżała.

— Ja mu wskażę drogę—odparła niepewnym załzawionym głosem.

Służący uśmiechnął się znowu, szepnął coś dorożkarzowi, zauważył jego numer,i powóz wytoczył się z dziedzińca i zwrócił ku miastu.

Te wszystkie szczegóły nie uszły bacznego oka młodego człowieka, który znowu zbliżył się był do kraty tak, że mógł słyszeć zamienione wyrazy. Może też odgadł więcej jeszcze, bo stał w miejscu niepewny, wahający się; brwi jego gęste, w łuk zagięte ściągnęły się, zmarszczki wystąpiły na jasne czoło, a usta przybrały wyraz zaciętej, nieubłaganej woli. I ta twarz przed chwilą tak plastycznie spokojna, zatopiona w cichem marzeniu, odbijająca błękit niezmącony nieba, zmieniła się do niepoznania, stała się surową i groźną jak sprawiedliwość. Z rękami skrzyżowanemi na piersiach przechadzał się wkoło pałacu, odbywając straż jakąś, czekając na coś—i nie czekał długo. W niespełna pół godziny, taż sama dorożka powróciła próżna przed bramę dziedzińca, wyszedł tenże sam lokaj, a dorożkarz w zamian za rubla powiedział mu adres domu na Śto-Jańskiej

ulicy, dokąd zawiózł młodą kobietę. Wiadomość ta widać potrzebną była człowiekowi stojącemu przy kracie, bo oddalił się szybko we wskazanym kierunku.

Jeszcze raz—cóż wspólnego być mogło pomiędzy nim a mieszkańcami pałacu? co go obchodziła ta smutna kobieta? Nie znał jej—bo ani się zbliżył ani ukrywał przed nią. A jednak stał tuż koło bramy, gdy przejeżdżała; spojrzenia ich się spotkały i rozbiegły obojętnie. Dla czegoż teraz on szedł za nią? Nie wyglądał na człowieka goniącego za ładną twarzą. Czoło jego zachowało wyraz surowy. Daremnie wokoło niebo i ziemia zdawały się uśmiechać; on przestał zważać na harmonję świata. Burza wewnętrzna widać kipiała w jego myśli, ale na zewnątrz wybijała tylko bruzdą na czole i płomieniem wzroku.

Dom do którego dążył, jeden z pierwszych od zamkowego placu, wązki i wysoki jak prawie wszystkie domy Starego Miasta, był dość biednej powierzchowności. Wchodziło się przez ciemny korytarz na ciasny dziedzińczyk. Młody człowiek jednak snać świadomy był dobrze miejscowości—bo nie zastanawiając się ani chwilę,przebiegł korytarz i skierował się ku oficynie, gdy na jej progu ukazał się stróż z miotłą w ręku, jako godłem swego urzędu. Na widok młodego człowieka skłonił mu

się z radością i uszanowaniem, i stanął przed nim jakby czekał rozkazów lub zapytań.

— Wszak mieliście tutaj izdebkę obok mojej na czwartem piętrze do najęcia?—zapytał młody człowiek oddając mu powitanie przyjaźnie.

Głos jego był stłumiony a wyraźny, znać w nim było stanowczość myśli i energję woli; brzmienie jego metaliczne wzbudzało sympatję. Słysząc go chciało się słuchać jeszcze—jakby to brzmienie samo kazało przeczuwać, że człowiek ten ma wiele do powiedzenia.

— Tak jest, panie Kiljanie—odparł zagadniony, —ale teraz izdebka ta już najęta.

— Przez kogo?

— Przez jakąś młodą panię, która teraz tylko co sprowadziła się mimo święta.

— Kiedy najęła tę izdebkę?

— Wczoraj wieczór dopiero, zapomniałem o tem panu powiedzieć. Ot widzi pan, oto otwiera sobie okno.

I wskazał na sam szczyt domu. Trzy okna zajmowały go cały; to które się w tej chwili otworzyło, wychodziło na rodzaj tarasu czy balkonu, umieszczonego wśród ostrych szczytów dachów, w załomku pomiędzy oficyną a głównym budynkiem.

Rzeczywiście młoda kobieta otworzyła to okno, i stanęła w niem na chwilę blada, zmęczona, smutna—a jednak tak piękna, iż sama jej obecność jak

promień słoneczny, rozjaśniła ten wilgotny dziedziniec i omszone mury. Kasztanowate ciemno-złociste włosy obejmowały jej białe czoło lśniącemi promieniami; igrało w nich światło, bo włosy te skręcały się w karby i zwoje jak to widzimy na Greckich posągach. Rysy jej wyraziste a jednak delikatne, pieszczone, tworzyły okrąg cudnego wdzięku; pełne wiśniowe usta, jakby przez igraszkę losu, zdawały się stworzone do samych uśmiechów, a oczy czarne, przyćmione długiemi rzęsami, pomimo smutku i łez przedchwilowych, widnych jeszcze z różowych powiek, miały prostotę i przejrzystość oczów dziecka. Jakiś dziwny urok skromności i wdzięku otaczał tę kobietę. Mogła ona być nieszczęśliwą, ale zpewnością nie zawiniła nigdy; bo pomimo smutku i znękania, widną w niej była czystość i wewnętrzny spokój ducha.

Chwilę tylko stała w oknie, i po otwarciu go usunęła się w głąb pokoju nie spojrzawszy nawet na dziedziniec. Pokoikto był ciasny i ubogi; atmosfera jego, nawet pomimo pogody dnia, przesiąkła była wonią pleśni. Znajdowały się w nim tylko niezbędne sprzęty; kufer i pudełka nie rozpakowane jeszcze stały na środku. Kobieta z rodzajem przerażenia obejrzała się wkoło; może straszyła ją samotność do której nie przywykła, to poddasze kontrastujące dziwnie z jej całą powierzchownością,

z pieszczonemi kształtami, z pałacem z którego przybywała.

— Boże mój!—zawołała składając ręce ze skargą boleśną; „Boże mój“, odpowiedziało jej echo tylko, rozlegające się po pustej izdebce. Pozostała tak chwilę ze spuszczoną głową, a łzy wstrzymywane gwałtem drżały na jej rzęsach, i spadały deszczem na śnieżne ręce podniesione do piersi.

Wkoło niej była cisza straszna, cisza wielkiego miasta; ruch, turkot i wrzawa daleka konała szmerem w powietrzu, rojne mrowisko ludzi przesuwało się pod jej stopami,—a wśród tego tłumu ona była samą jedną, i skonać mogła w tej izdebce z bolu, tęsknoty lub nędzy, zanimby jaka ręka ludzka dostała się do niej z pomocą. A któż mógł wiedzieć jakie bóle pozostawiła w przeszłości? jakie wspomnienia tłoczyły jej wątłe piersi, i zaludniały nieodstępnemi widmami tę samotność, w której jej młodość i piękność więdnąć miały? Któż wie, czy paląca troska o chleb powszedni, o owo niepewne jutro, nie miała stać się nieodstępną towarzyszką jej życia? Snać dotąd nie spotkała się jeszcze z nędzą. Ubranie jej i drobne rozłożone sprzęty, świadczyły o pewnym dobrobycie, o nawyknieniach wykwintnych. Jakimże sposobem rzuconą została tak sama w to wysokie i nędzne pustkowie? jaka przedwczesna burza życia oderwała ją od rodzinnego gniazda i zaniosła aż tutaj?

Po długiej chwili smutnego namysłu, ozwała się w niej wrodzona energja młodości; podniosła głowę, obtarła oczy, i jakby szukając powietrza dla ściśnionej piersi, wyszła na ganek. Fala powietrza letniego obwiała ją, słońce rozgrzało jej ciało i rozjaśniło myśli, dając jej współudział w tych bogactwach, które Bóg hojną ręką rozrzucił na ziemi dla wszystkich zarówno, co czuć i patrzeć umieją.

Tutaj także była sama—a jednak pod czystym błękitem nieba czuła się mniej trwożną, mniej opuszczoną. Wkoło niej unosiły się lotne jaskółki lepiąc gniazda nad jej głową, i muskając prawie jej czoło skrzydłem przyjaznem; gołębie szybowały w powietrzu, a wróble świegotały nutę wesołą, przefruwając z dachówki na dachówkę. Stała tu długo wlepiając w niebo wzrok smutny lecz spokojny; odwaga i wiara powracały w jej serce. Młodości tak łatwo o pociechę, młodość tak o niczem nie wątpi,—że budziła się w niej wola do tej zaciętej walki życia, która dla niej tak ciężką snać była.

Wróciła do swojej izdebki, rozpakowała rzeczy starając się nadać biednym sprzętom ład i wdzięk właściwy kobiecej ręce. Wydobywała jedne po drugich zabytki lepszych czasów, przystrajając niemi mieszkanie. Zawiesiła nad łóżkiem rzeźbiony krucyfiks z kości słoniowej i dwie fotografje, przedstawiające kobietę młodą jeszcze, i średnich lat mężczyznę,—wizerunki zapewne rodziców swoich.

Książki starannie oprawne ułożyła na sosnowych półkach, i ukończywszy pracę swoją, obejrzała się wkoło weselszem okiem. Słońce też wzbiło się wysoko, i przechylając ku zachodowi zajrzało do pokoiku, któremu brakło tylko kwiatów by zupełnie wyglądał świątecznie. Wsparła głowę na ręku i zaczęła myśleć nad przyszłością. Dotąd obecna chwila zajmowała ją wyłącznie; teraz spojrzała w to jutro tak twarde, tak trudne w naszem dzisiejszem społeczeństwie dla samotnej kobiety—w to jutro, które zapewne zdobyć i wywalczyć sobie miała. Ubóstwo skazywało ją na pracę—a praca kobieca to rzecz tak nieprodukcyjna, tak mozolna, tak trudna do znalezienia, a tak mało opłacana! Ona może jeszcze nie wiedziała o tem, i zapewne nigdy nie była zmuszoną sama myśleć o sobie i wystarczać sobie; bo czas upływał, długi dzień zbliżał się do końca, a ona nie pomyślała nawet o posiłku.

W sąsiedniej izdebce, oddzielonej tylko ścianą drewnianą, było cicho zupełnie. Młody nieznany jej sąsiad wyszedł z domu, lub też żadnym hałasem nie zdradzał obecności swojej. I nic nie przerywało milczenia na tem poddaszu, gdy niespodzianie zastukano do drzwi. Kobieta zatopiona w myślach nie zwróciła na to uwagi; wówczas zastukano mocniej, i głos zewnątrz ozwał się wołając.

— Panno Cecyljo! panno Cecyljo!

Słysząc imię swoje wymówione znienacka, zadrżała i pobiegła do drzwi, ale nie otworzyła ich, tylko z pewną trwogą przysłuchiwała się głosowi.

— Panno Cecyljo! powtarzał stróż—gdyż on to był,—panno Cecyljo!

— Zkąd znacie moje imię? spytała.

— Jest tu list do panny, odparł stróż nie wdając się w odpowiedź na to pytanie.

— List do mnie?—wyrzekła zdziwiona otwierając drzwi.

— List, tylko co go przyniesiono.

I oddał jej bilecik elegancki, wonny, z wymalowanym herbem na kopercie; jeden z tych jakie odbierają na srebrnych tacach w wykwintnych buduarach, i który odbijał dziwnie od czarnej podającej go ręki.

Ale Cecylja zaledwie rzuciwszy okiem na pismo, odrzuciła go ze wstrętem i załamała ręce.

— Więc on już zna mieszkanie moje —zawołała nie zważając na oddawcę listu, który patrzał na nią ciekawie. Po chwili dopiero przypomniała go sobie, i zwróciła mowę do niego.

— Kiedy oddano ten list?—spytała.

— Przed chwilką.

— Oddajcie go nierozpieczętowany, to cała odpowiedź moja.—I wskazała na list leżący na stole, jakby nie chciała go się dotknąć nawet.

— Nikt nie czeka na odpowiedź!

— Gdyby kto przyszedł po nią lub pytał o mnie, powiedzcie że mnie niema, żem wyjechała, że tu nie mieszkam.

— Kiedy tam dobrze wiedzą, że panienka tu mieszka—odparł stróż; zresztą to i w cyrkule zapisane.

— To powiedzcie że mnie niema, żem wyszła na miasto, że listów nie chcę, nie przyjmuję.

I znów mu wskazała nieszczęśliwy bilecik porzucony na stole.

Ale stróż snać wprzódy inną odebrał instrukcję, i uważał za stosowne tej pierwszej się trzymać, bo wyszedł nie zważając na to powtórzone żądanie Cecylji.

Dziewczyna została samą w obec tego pisma, które boleśnie pobudziło jej trwogi i wspomnienia. Zrazu chciała je podrzeć i wyrzucić; ale po krótkiej chwili zaniechała tej dziecinnej zemsty nad martwym przedmiotem, i pomyślawszy że ten co go pisał wiedzieć o tem nie będzie, a ona sama coś z niego dowiedzieć się może, otworzyła pismo drżącą ręką. Ale zaledwie rzuciła na nie okiem, rumieniec oburzenia czy wstydu wybiegł pałający na jej twarz zbledzoną przedchwilnemi łzami. I nie dziw! list ten mógł wywołać te wszystkie uczucia.

„Cecyljo, pierwsza groźba moja się spełniła, wypędzono cię haniebnie z naszego domu, i próżno kusiłabyś się o inne miejsce; każden zapyta się

gdzie byłaś dotąd, każden będzie chciał zasięgnąć zdania matki mojej—a wiesz sama najlepiej co ona o tobie sądzi. Daremnie powiedziałabyś czystą prawdę; pomiędzy tobą a nią któż wahać się będzie? Szalona dziewczyno! opieka moja jest nad tobą; nie znajdziesz nigdzie przytułku ni pracy, nie potrafisz nawet wydobyć się z tego miasta bez wiedzy i woli mojej, dopóki nie zrozumiesz swego własnego dobra, i nie przyjmiesz ofiar moich".

List ten nie miał podpisu, ale ona wiedziała dobrze od kogo pochodził, wiedziała że to nie były próżne groźby,—doświadczyła potęgi tego człowieka. A jednak nie uwierzyła by potęga ta rozciągała się po za pewną sferę i pewne położenie; sądziła że teraz przynajmniej chroniąc się pod opiekę pracy, znajdzie chociaż w biedzie niepodległość i spokój. Czyż ta ostatnia nadzieja omyloną być miała? Z rozpaczą prawie potoczyła wzrokiem wokoło—była samą.

Cecylja była sierotą, a biada sierocie której całem mieniem jest młodość, piękność i wykształcenie! Wzięła się do twardego chleba nauczycielki, i doświadczyła tych wszystkich goryczy, które świat dorzuca tak hojną ręką do każdej niedoli. Pomimo to, nie odrazu mogła zrozumieć życie; nie było przy niej żadnej przyjaznej istoty, coby jej rozjaśniła przyczynę przechodzonych kolei. Trafiała na złych ludzi, ścigało ją nieszczęście—oto co nieraz mówiła

sobie, nie domyślając się, że ludzie wszędzie są jednacy, że los jest podłym jak oni, i ściga tych tylko, którzy mu czoła stawić nie umieją.

Rzuciła się w świat z wiarą w pracę i w czyste serce swoje,—nie powiodło się jej; przymioty jej nawet obracały się przeciwko niej. Piękność jest straszną klęską w pewnych położeniach. Piękność jej była z tych co czarują, co podbijają serca, zawracają głowy, i kochać się każą koniecznie. Przez jej wielkie ciemne oczy przeglądała jasna dusza; niewinność myśli wyrytą była na jej białem czole. Patrząc na nią zdało się, że można czytać wrażenia i uczucia których doświadczała, jak zobaczyć krew krążącą pod jej przezroczystem licem. We wzroku miała tyle światła, tyle prostoty i ufności, że trzeba było uszanować ją koniecznie; a ten co jej wyrządził krzywdę, musiał być winnym podwójnie, i zupełnie nie mieć sumienia. A jednak spotkała takich tylko; nikt dotąd nie ulitował się nad jej młodością, nad jej wdziękiem, nad jej wiarą; jedynym mistrzem jej, twardym, nieubłaganym, było życie.

W kilka miesięcy później, Cecylja była znowu sama w swojej izdebce, szyła coś pilnie siedząc przy oknie, a drobne białe paluszki pracowały zawzięcie. Ale na czole jej pochylonem nad robotą znać było dojmującą troskę. Łzy nieraz zasłaniały jej oczy; ocierała je szybko i z nową energją przesuwała

igłę. Rysy jej wyciągnęły się i pobladły w tym krótkim przeciągu czasu, a jednak młodość ma tak niewyczerpaną siłę, ma wdzięk tak nieprzeparty, że mimo to była piękniejszą może jeszcze niż dawniej. Wzrok nabrał głębokości, promieniał cierpieniem. Skromna płócienkowa suknia obciskała jej ramiona i uwydatniała kształty; włosy skręcone niedbale w bogatych zwojach piętrzyły się nad karkiem, którego delikatne zarysy mszyły się złotym puszkiem przy poroście włosów, w promieniach zachodzącego słońca. Malarz byłby się zapatrzył na tę postać wdzięcznie pochyloną nad pracą, oświeconą różowemi blaskami zachodu; ale ona snać nie pomyślała wcale o piękności swojej—nie było na ścianie nawet lusterka, w któreby mogła rzucić przelotne spojrzenie.

Zastukano do drzwi.

— Kto tam?—zapytała niespokojnie.

— To ja panienko, ja Franciszek—odezwał się znajomy głos stróża.

Otworzyła mu. Wszedł niosąc jej skromny obiad, który postawił na stole.

— Dziękuję wam Franciszku—wyrzekła,—czy nie przysłano dla mnie pudełka z robotą z magazynu?

— Nie panienko, tylko tę oto karteczkę.

Cecylja rozwinęła ją z gorączkowym pośpiechem. Odbierano jej robotę—nie była więcej potrzebną. Załamała ręce z rozpaczą. Zdarzało jej się to już

poraz dziesiąty. Daremnie brała się do wszystkich zajęć, daremnie wykonywała pracę jak najsumienniej, przestając na najmniejszej płacy; zawsze robotę dawano jej jak z łaski, i odbierano po dniach kilku; a tymczasem nędza zaglądała już do biednej izdebki.

Stróż spoglądał na nią z pod oka, a wzrok jego nie wzbudzał zaufania; ale Cecylja nie zważała na to. Przygnębiona tym ostatnim ciosem, który skazywał ją na bezczynność, blada, z zaciśniętemi rękami, stała na środku pokoju.

— Panienko—odezwał się w końcu Franciszek niepewnym głosem, jakby nie śmiał skończyć zaczętej mowy; panienko, wczoraj minął pierwszy.

— Pierwszy—powtórzyła Cecylja, w której to słowo nie budziło snać żadnej myśli.

— Tak jest, należy się już pięćdziesiąt złotych za komorne; gospodarz czekać dłużej nie chce.

Cecylja zarumieniła się gwałtownie. Pieniędzy tych nie miała; trzeba było wybrać coś z ubogich sprzętów, z niezbędnych rzeczy, przedać coś lub zastawić—a ona nie wiedziała nawet jak to uczynić. Trzeba jej było uczyć się schodzić jeden po drugim na wszystkie szczeble nędzy, i przywyknąć do tych cochwilnych poniżeń towarzyszących nędzy.

— Za chwilę—rzekła nie podnosząc oczu na Franciszka,—za chwilę wyjdę i przyniosę wam pieniądze.

Stróż zawahał się chwilę spoglądając z ukosa, nie rad widocznie z siebie i z drugich, i wyszedł ma-

chnąwszy ręką, jakby chciał powiedzieć, że cudze sprawy nie obchodzą go wcale.

Cecylja stała zawsze tam gdzie ją zostawił, tak zatopiona w boleśnych myślach, że zapomniała nawet drzwi zasunąć; obiad jej stygnął na stole, nie była w stanie nawet go skosztować.

W tej chwili szybkie męzkie kroki dały się słyszeć na wschodach; poznała je, pobiegła ku drzwiom by je zamknąć, ale już było zapóźno. Młody człowiek ukazał się w progu. Rękę obciśniętą jasną rękawiczką położył na klamce, a sam wsparty na odrzwiach, zamykał jej drogę odwrotu. Postawa jego wyniosła miała wdzięk wykwintny i pewny siebie, znamionujący człowieka który przywykł do rozkazywania, któremu majątek, imię, położenie towarzyskie, otwierały wszystkie drzwi bez wyjątku. Grzeczność jego nawet miała odcień lekceważenia. Rysy miał piękne, a jednak sucha linja profilu przypominała nie wiedzieć czem drapieżnego ptaka, którego instynkta kryć się musiały pod powierzchownością wytworną. Ciemne włosy, lśniące i miękkie jak jedwab', osłaniały czoło trochę wązkie ale dumne i wysokie; usta pięknego rysunku, pełne, krwią nabiegłe, zdawały się spieczone jakiemś wiecznem pragnieniem; nos orli o hardych zarysach, ściśnięty ciemnemi brwiami, nadawał ostry wyraz całej twarzy, a oczy zbyt blisko siebie osadzone powiększały go jeszcze. Oczy te były czar-

ne, śmiałe, bezczelne prawie; niebieskie białka podnosiły ich blask gorący, i przykrem czyniły spojrzenie. Zresztą nozdrza rozdęte i wydatna szczęka świadczyły, że w tym człowieku namiętności wzięły górę nad moralną istotą, i rządziły nią samowolnie.

Stał chwilkę wpatrując się w Cecylję, a we wzroku jego była litość, szyderstwo, żądza, i poszanowanie—mieszanina dziwna uczuć co nim miotały. Zmiana jej twarzy nie uszła jego uwagi; zresztą może i znał dokładnie jej położenie, i umyślnie przyszedł w chwilę zniechęcenia i upadku ducha. Ona drżała pod jego wzrokiem, jak ptasze pod spojrzeniem węża.

— Panno Cecyljo—wyrzekł miękko, czy dość ci już tej smutnej próby?

I swobodnie postąpił parę kroków zbliżając się do niej. Wówczas ona także przyszła do siebie, i podnosząc czoło zmierzyła go okiem pełnem pogardy.

Ale on rozśmiał się tylko, odsłaniając dwa rzędy białych zębów pomiędzy purpurowemi wargami.

— Panie hrabio—wyrzekła Cecylja cofając się przed nim, sądziłam że tu przynajmniej jestem u siebie, i wolną od obecności twojej.

Te słowa podraźniły go, bo odparł szyderczo.

— Więc wojna trwa dalej, piękna Cecyljo?

— Dopóki panu podoba się mnie prześladować— odrzekła dziewczyna, której pomimo dumnych słów łzy zakręciły się w oczach.

— Wszakżeż wojna i pokój jest w twoich rękach —odparł młody człowiek widocznie podrażniony, odpowiadając na jej hardość lekceważeniem.—Ale mieszkasz pani piekielnie wysoko, zmęczyłem się na prawdę; więc pozwól niech odpocznę.—I nie czekając odpowiedzi, sięgnął po krzesło i usiadł jakby u siebie, nie spuszczając jednak oka z Cecylji.

Ona była bladą śmiertelnie; łzy oburzenia drżały na jej rzęsach, ale im spłynąć nie dała. Bezczelność tego człowieka powiększyła jej dumę; nie chciała pokazać mu się rozpłakaną, i nie mówiąc słowa skierowała się ku drzwiom.

Hrabia nie tracąc na chwilę uśmiechnionej swobody, którą umiał pokrywać wszystkie uczucia, stanął przed nią.

— Zwolna, zwolna, panno Cecyljo—wyrzekł—jak widzę nie jesteś wcale gościnną; ale ja nie przyszedłem tak wysoko, by tak prędko stracić przyjemność twego towarzystwa i sposobność rozmowy.

— Panie hrabio, daremnie dorzucasz szyderstwo do obrazy, nadużywając swego położenia; zdanie moje o tobie nie zmieni się nigdy.

— To ty, okrutna dziewczyno, nadużywasz władzy swojej nademną.

— Więc zostaw mnie pan w pokoju; czyż zemsta twoja nie była zupełną, czyż nie pozbawiłeś mnie schronienia i dobrej sławy?

On uśmiechnął się nawpół litośnie, nawpół zwycięzko.

— To prawda—wyrzekł;—ale dla czegóż odrzucasz pani tak uparcie wszystko co chcę ci dać w zamian? Wszak ofiaruję więcej daleko niż stracić mogłaś.

Cecylja zacisnęła ręce gwałtownie; gniew wrzał w jej piersi i błyskał w spojrzeniu.

— Oszczędź sobie pan słów próżnych, puść mnie ztąd.

— Chwilę jeszcze cierpliwości, rzekł hrabia nie ruszając się z miejsca;—uspokój się pani, chociaż doprawdy prześliczną jesteś gdy się gniewasz. Pomówmy rozsądnie jeśli to być może. Pomyśl tylko coś zyskała dotąd w tej walce dziecinnej; doświadczyłaś już że groźby moje próżnemi nie są. Nie wyzywaj mnie dalej.

— Tak jest, doświadczyłam że podłość twoja nie cofnie się przed kłamstwem, przed oszczerstwem; i wiedz o tem: pogardzam tobą hrabio Wilhelmie.

Złowrogi cień przesunął się po czole jego; widocznie zuchwałość tej dziewczyny przechodziła wszystko co dozwolone pięknej kobiecie. Ale niby nie zważając na to, mówił dalej spokojnie.

— Liczyłaś na pracę, panno Cecycljo—czy masz jej wiele dotąd?

— I cóż ztąd? możesz przyprowadzić mnie pan do ostatniej nędzy—nic więcej.

— Więc upór twój trwa ciągle?—mówił Wilhelm napróżno chcąc ukryć gniew pod pozorem lekceważenia; głos jego drżał, oczy pałały.—Widzę że przyszedłem zawcześnie—powrócę później.

— Nigdy nie usłyszysz pan innego słowa—nigdy, nigdy!

— Jakiemże dzieckiem pozostałaś dotąd, panno Cecyljo, kiedy z taką pewnością wymawiasz ten wyraz: nigdy! zaręczasz za jutro; dla tego już samego wierzyć ci nie mogę.

Kobieta podniosła na niego wzrok promienny niezachwianem przekonaniem.

— Wszak dotąd nie zmieniłam się w niczem—rzekła tylko.

— Nie, ale prędzej lub później zmienić się musisz; ty wiesz, że ja się cofać nie umiem.

— Ani ja także,—odparła dziewczyna z dumą i powagą nieszczęścia—oszczędź pan sobie groźb próżnych. Cokolwiek spotkać mnie może, nie schylę głowy przed koniecznością, nie stanę się igraszką okoliczności. Oddal się pan, zapomnij o mnie—wówczas będę ci mogła przebaczyć.

— Zbyt piękną jesteś Cecyljo—przerwał jej Wilhelm z wybuchem—by można o tobie zapomnieć; wiesz o tem dobrze, wiesz, że choćbym nie chciał, kochać cię muszę. Władza twoja nademną jest nieograniczoną.

— Więc dobrze, daj mi pan tego dowód—odejdź.

— Odejdę, ale z tobą Cecyljo; zawiozę cię ztąd daleko, gdzie rozkażesz tylko, ale wyrwać cię muszę z tej nędznej izdebki, w której więdnieje piękność twoja w samotności i opuszczeniu. Ja chciałbym stworzyć ci raj rozkoszy. Miej litość sama nad sobą.

I gdy to mówił, głos jego dźwięczał prośbą, wyciągnął ku niej ramiona.

— Boże mój!—zawołała dziewczyna—czyż nikt nie uwolni mnie od widoku tego człowieka! Czyż na domiar złego słuchać go muszę!

Zaledwie domawiała tych słów, drzwi o które stał oparty Wilhelm zatrzęsły się gwałtownie, otwarły pomimo ciężaru jego—i jakby wywołany rószczką czarnoksiężką, ukazał się na progu młody człowiek, który kiedyś tak zawzięcie wpatrywał się w pałac Horeckich. Z kolei ręka jego spracowana spoczęła na klamce, i postać wynurzyła się z półcienia. Twarz jego była na pozór nieporuszoną, a jednak jakie dziwne wzruszenie, jakaś burza niepohamowana zdawała się wrzeć po za tą maską spokoju, i wstrząsać piersią jego falującą gwałtownie. Żaden muskuł nie drgnął na twarzy, tylko oczy jego południowe sypały iskrami.

Cecylja korzystając z tej niespodzianej pomocy, rzuciła się ku drzwiom.

— Panie!—zawołała—ktokolwiek jesteś, uwolnij mnie od niego.

Wilhelm zrazu gniewny i dumny spojrzał przez ramie na śmiałka, który odważył mu się przeszkadzać; ale skoro ujrzał twarz jego, stanął jak osłupiały i pobladł gwałtownie. Pewność siebie, czelność niezachwiana, opuściły go w jednej chwili; był jak winowajca przed sędzią, jak dziecię przed mistrzem, a z ust jego, jak okrzyk tłumionej zgrozy, wyrwało się to jedno imię.

— Kiljan!

— Tak jest Wilhelmie—odparł Kiljan głosem stanowczym lecz cichym, jak gdyby usta zaciśnięte wypowiadały mu posłuszeństwo—nie spodziewałeś się spotkać mnie tutaj.

Hrabia milczał; żaden z sarkazmów któremi odpowiadał bezbronnej dziewczynie, nie przyszedł mu teraz do myśli.

Kiljan postąpił krok naprzód i przed piorunującym wzrokiem jego spuściły się śmiałe źrenice Wilhelma. Kiljan nachylił się ku niemu.

— Idź ztąd, szepnął tylko—i nie powracaj nigdy; a śpiesz się, bym nie zapomniał że jedno nazwisko nosimy.

Tego rozkazu Wilhelm nie dał sobie dwa razy powtarzać; wyszedł śpiesznie, a kroki jego słychać było po stromych wschodach, aż ucichły w oddaleniu.

Kiljan i Cecylja pozostali sami. Wówczas młodycz łowiek zbliżył się do niej; twarz jego była

bladą jeszcze—ale gdy przemówił, głos jego stracił całą ostrość brzmienia, miał tylko dźwięk sympatyczny.

— Przebacz mi pani—wyrzekł z wytworną grzecznością, kontrastującą dziwnie z ubraniem rzemieślniczem i z poddaszem, w którem się znajdowali;—przebacz mi to najście twego mieszkania. Ale przechodząc usłyszałem jak wzywałaś pani pomocy, poznałem głos człowieka, który cię krzywdził samą obecnością swoją.

Cecylja zrazu nie była w stanie odpowiedzieć. W obec prześladowcy swego potrafiła wstrzymać łzy; teraz pogwałcone uczucia odzyskiwały swe prawa. Z twarzą ukrytą w dłoniach, łkała gwałtownie.

Kiljan obejrzał się niespokojnie po mieszkaniu, świadczącem o nędzy znoszonej wytrwale, o nieszczęściu z którem walczono, i wzrok jego pałający przed chwilą nabrał tej nieskończonej słodyczy, jaką mają czasami oczy południowców, w których każde uczucie maluje się silnie. Kiljan, trafem, igraszką losu, czy też z prawa urodzenia, miał aksamitne źrenice Hiszpanów lub Kreolów; długie czarne rzęsy zakręcone, przysłaniały je zazwyczaj; ciemne powieki łagodziły ich wyraz; zresztą rysy jego szlachetne i wyraziste nie miały nic obcego. Z pewnością człowiek ten nie pomyślał nigdy o powierzchowności swojej i dla tego powierzchowność

odbijała właśnie wewnętrzną istotę jego. Znać w nim było i przebyte niezachwianem sercem koleje i rany odebrane w walce życia, a zabliźnione wolą; znać było siłę ducha i ciała czerstwość i pogodę myśli. Widać zaznał cierpienie, bo spoglądał na Cecylję z głębokiem współczuciem.

— Pani—wyrzekł miękko i cicho zbliżając się do niej—przebacz mi jeśli jestem natrętnym; uspokój się przez litość! powiedz czy mogę ci być w czem użytecznym?

Te słowa podwoiły tylko łzy dziewczyny. Tak dawno odwykła od współczucia, tak dawno samotna walczyła z sobą, że teraz siły wypowiadały jej posłuszeństwo. Młody hart jej ducha topniał w obec tych wyrazów pociechy; płakała ciągle, próżno siląc się przemówić.

Kiljan zrozumiał, że teraz spłakać musiała łzy długo tłumione; zobaczył spazmatyczne łkania, wstrząsające jej całą postacią. Nie tracąc czasu nalał szklankę wody, zaprawił ją laurowemi kroplami które przyniósł od siebie, i odejmując lekko jej rękę od twarzy, podawał jej napój. Cecylja spojrzała na niego z za łez z nieopisanym wyrazem wdzięczności; on teraz dopiero dostrzegł i zrozumiał, jak bardzo ona piękną była. Oczy jej spoglądały na niego tak smutnie, tak ufnie! blade usta składały się do uśmiechu, a białe ręce złożone na piersiach zdawały się przyciskać rozburzone serce.

I mimowolnie współczucie jego zmieniło się w inne uczucie. Ręka którą podawał jej wodę, drżała; słowa któremi przemawiał, byłyto zwykłe słowa pociechy, ale dźwięk głosu nadawał im głębsze znaczenie i moc przekonywającą. Cecylja zwolna odzyskała panowanie nad sobą, podniosła głowę, otarła łzy i spojrzała dokoła z pewną trwogą.

— Nie lękaj się pani—wyrzekł Kiljan, który zrozumiał znaczenie tego spojrzenia—niema go już tutaj, nie powróci więcej.

— O nie znasz go pan—odparła dziewczyna.

Dziwny, tajemniczy półuśmiech przebiegł po ustach Kiljana.

— Nie znasz go pan—powtórzyła; wola jego niezłomna, kaprys nieubłagany, zemsta niemiłosierna. Powiedział że powróci i dotrzyma słowa.

— Nie pani! przysięgam ci, że noga jego nie przestąpi więcej tego progu.

Taka była stanowczość w tych słowach, że Cecylja mimowolnie zmierzyła okiem człowieka, który dawał jej to zapewnienie. Cóż on za władzę posiadał nad hrabią Wilhelmem Horeckim? dla czego tamten na pierwsze słowo jego opuścił to poddasze? dla czego sam widok jego potrafił zniweczyć bezczelną spokojność, z jaką znosił jej wyrzuty i wzgardę? Na to spojrzenie pełne zapytań, Kiljan odpowiedział tylko smutnym, właściwym sobie uśmiechem; ale w tym uśmiechu, w obejściu się jego,

było coś wzbudzającego taką ufność, że Cecylja śmielej spojrzała w przyszłość.

On zwolna, ostrożnie, jak człowiek przywykły dotykać ran palących, wybadał jej położenie. Doszła już do stopnia zrozpaczenia, które ukryć się nie może; czuła się tak opuszczoną, tak na łasce losu, tak znękana walką, że bez oporu powiedziała mu wszystko. W przeszłości jej nie było nic, czegoby wyjawić nie mogła, a zresztą z Kiljanem spowiedź była tak łatwą! on odgadywał to co jej usta wahały się wymówić, dopełniał słów, których jej brakło, jak gdyby żył pomiędzy tymi co ją pokrzywdzili, jakby znał mowę, obyczaje i myśli tajemne tego świata, co ją odpychał dla tego tylko, że nie chciała zrobić mu ustępstwa, że nie uznała tego krwiożerczego władcy dzisiejszego wieku—bożka Miljona. I słuchał ją z cichem poszanowaniem, z współczuciem bratniem. A kiedy przyszła do dni ostatnich, gdy pokazała mu pismo odebrane przed chwilą, które skazywało ją na przymusową bezczynność, gdy wyszeptała, że jutro może nie będzie miała schronienia i dachu, wymowne oko jego zapałało.

— Bądź pani spokojną—wyrzekł drżącym głosem—Biedni powinni wspierać się wzajemnie; pracę odpowiednią ja pani wynajdę. Zresztą, powtarzam to raz jeszcze: ani hrabia Wilhelm, ani nikt inny

bez woli twojej nie przerwie smutnego spokoju twego życia.

Dziwną była przekonywająca władza tego człowieka. Cecylja uwierzyła mu bez wahania, czuła że obiecywał to tylko czego potrafi dotrzymać, że we współczuciu jego nie było ni czczej ciekawości, ni dziecinnej przechwałki. Siła wewnętrzna, pogodna, pewna siebie, promieniała mu z czoła, podbijała mu myśli i serca ludzi dobrej woli; a przytem w głosie jego, w spojrzeniu, zdawała się dźwięczeć jakaś struna tajemna, skazana siłą woli na milczenie. Zdawało się, że myśląc o drugich, odrywał się od skrytego cierpienia; że pocieszając obcą boleść, sam znajdował pociechę.

Gdy Cecylja była spokojniejszą, on obejrzał się po izdebce, jakby szukał czy jej czego nie brakło, i dostrzegł jej biedny obiad ostygły oddawna.

— Pani nie jadłaś nic dzisiaj, zawołał z pewnym wyrzutem.

Cecylja uśmiechnęła się wzruszając ramionami.

— Nie mogłam jeść—odparła jak dziecko przyznające się do winy.

— To źle bardzo, rzekł młody człowiek pół żartem pół serjo;—nie zbadałaś jeszcze pani wszystkich tajemnic ubóstwa,nie nauczyłaś się wielu twardych prawd naszego życia. My ludzie pracy, panno Cecyljo, powinniśmy szanować samych siebie, jako jedyny kapitał posiadany. Zdrowie nie jest

dla nas tylko przyjemnością, ale potrzebą niezbędną; choroba to zbytek na który nas nie stać. Nie wolno nam poddawać się rozdraźnieniu nerwów, nie wolno nam zważać na ból żaden; nieubłagana konieczność każe nam iść naprzód, bo biada temu co ustaje na drodze. Bądź jak bądź, w dniu każdym trzeba sił nabrać na jutro, więc nie można zapominać o posiłku.

— Masz pan słuszność—odparła dziewczyna z pewnym dreszczem przerażenia—wiele bardzo nauczyć mi się potrzeba.

I zniechęcona oparła głowę na ręku; te powszednie prawdy zbyt twarde były dla niej.

— Więc—dodała po chwili—na co walczyć; czyż śmierć nie jest lekarstwem na wszystko?

Nie był to czczy frazes rozpieszczonego dziecka, ale ostatni wyraz istoty, która długo bardzo znosiła nad siły. Kiljan spojrzał na nią z wyrzutem, i wzruszenie silniejsze od woli wybiło mu na twarz. Mógł jej powiedzieć, że nie umiera się od razu; że choroba w nędzy, to opuszczenie, to głód i zimno najczęściej; a śmierć to prawie zawsze łóżko szpitalne, w ogromnej sali pośród jęków, skarg, wyrzekań; że nim się skona, trzeba patrzeć na konanie drugich, i widzieć ich konwulsje przedśmiertne. Ale nie uczynił tego; zrozumiał że nie pora była dodawać goryczy i trwogi tej zbolałej kobiecie, i rzekł tylko z przymuszonym uśmiechem:

— W twoim wieku panno Cecyljo, śmierć to próżna zachcianka; wierzaj mi, nie umiera się tak łatwo, zwłaszcza gdy się umrzeć pragnie. Więc nie mówmy o tem daremnie; mówmy o życiu, które chociaż ciężkie, ma jednak swoje piękne chwile. Nieprawdaż?

— Ja nie zaznałam ich dotąd—odparła—ja nie wiem nawet jak szczęście wygląda.

— Tembardziej zaznać go pani powinnaś; kto wie co chowa ci przyszłość.

Ale ona wstrząsnęła smutnie głową.

— Jesteś pan dobry—wyrzekła—chcesz koniecznie pogodzić mnie z losem, który znosić muszę, ale nie potrafisz wmówić we mnie, że on jest słodkim.

Kiljan patrzał na nią przez chwilę głęboko i łagodnie.

Każden los—odparł poważnie—ma gorycze i słodycze sobie właściwe; wszystko zależy na tem by ich dopatrzeć, by odszukać w głębi własnego ducha strunę wesela, i rozszerzyć granice myśli tego królestwa, danego każdemu na własność nienaruszalną, nad którem powinniśmy panować samowładnie. Patrz pani na to słońce chylące się do zachodu; czyż ono nie przyświeca zarówno każdemu co patrzeć umie? czyż cuda świata nie powinny napełniać każdej piersi harmonją i spokojem? A w krainie ducha, czyż nie napotykamy tyle czystych roz-

koszy? dla człowieka co je zaznać umie, cóż znaczą zewnętrzne okoliczności? Wszak szczęścia nie daje ani położenie, ani fakt żaden; ale zdolność użycia, idea którą do każdej rzeczy przywiązujemy.

Mógł mówić długo. Cecylja słuchała go chciwie, zawieszając swe jasne spojrzenie na jego oczach promiennych przekonaniem, jak gdyby piła spragniona pogodną mądrość słów jego. Poraz pierwszy przemawiano do niej w ten sposób; pod wpływem tych wyrazów budziły się w niej myśli, instynkta zmieniały w przekonania.

— Mów pan jeszcze—zawołała gdy zamilkł—twoje słowa dają siłę i pokój.

Uśmiechnął się pogodnie, wesoło prawie.

— Więc, spytał, przyznajesz mi pani słuszność, zawierzysz radom moim? jestem wiele starszy od ciebie panno Cecyljo, wiekiem i doświadczeniem.

— O wierzę panu—zawołała.

— Masz pani słuszność—odparł poważnie—dotąd niezawiodłem nigdy nikogo.

Przez chwilę zdawał się zapominać o niej, myśl jego biegła w przeszłość; ale to trwało krótko.

— Więc naprzód—dodał żartobliwie—wracając do realnych warunków życia, musisz się pani zupełnie poddać władzy mojej.

Promień wesela nadawał nowy urok jego wyrazistej twarzy. Cecylja zapominając o wszystkiem, mu-

siała odśmiechnąć się nawzajem, skłaniając głowę na znak posłuszeństwa.

— Naprzód, musisz być pani spokojną, musisz porzucić wszystkie troski. Zaręczam, że jutro będziesz pani miała więcej roboty niż jej podołać potrafisz; ale trzeba postarać się o taką, która najbardziej produkcyjną będzie. Czy znasz pani rysunek? czy potrafisz malować wachlarze, kolorować sztychy? Tu spotkałabyś mniej konkurencji niż w szyciu i zwyczajnych kobiecych robótkach.

— Probowałam malować, i udawało mi się nie źle; jednak nie wiem czemu wszędzie odmawiano mi roboty.

— Domyślam się, że to była sprawa hrabiego Wilhelma; ten człowiek nie cofnie się przed żadnym środkiem dla osiągnięcia celów swoich. Na tej drodze mógł on zwalczyć samotną, niedoświadczoną kobietę; ale ja stawię mu czoło, obaczymy kto z nas silniejszy.

Kiljan wymówił te ostatnie słowa powolnie, z brwią ściągniętą, niby sam do siebie. Cecylja słuchała go z coraz większem zdumieniem; zdawało jej się, że ma do czynienia z jakimś czarodziejem, władającym ukrytemi siłami. Jednak nie wątpiła wcale o prawdzie słów jego, i pytała znów samej siebie: kto był ten człowiek kryjący pod ubiorem rzemieślniczym tak wykwintne obejście, tak głębokie myśli?

jakim sposobem on posiadał tyle siły i tyle słodyczy zarazem?

— Więc będziesz pani spokojną do jutra?—zapytał zwracając znów mowę do niej głosem tak miękkim, że w nim dźwięczała prośba prawie; pamiętaj o tem co mówiliśmy przed chwilą: zdrowie, to jedyny kapitał ubogiego. Ja chcę abyś pani spała spokojnie; musisz mi to przyrzec.

Ciche łzy wdzięczności zbierały się w oczach Cecylji, spojrzenie jej zwilżone było wymowną odpowiedzią.

Kiljan je zrozumiał.

— To nie dość jeszcze—mówił dalej—na początek jestem bardzo wymagający. Teraz powinnaś pani wypić herbatę, a tego już sam dopilnować muszę.

Dnia tego było święto w ubogiem poddaszu. Stół wysunięty na środek pokoju, a na nim wkrótce zakipiał samowar i stanęły wszystkie herbaciane przybory, które znalazły się u Kiljana. Cecylja nakryła stół białym obrusem i ustroiła kwiatami; mała lampka rzucała na wszystko wesołe światło; przez okno otwarte na balkonik obwinięty bluszczem, widać było niebo zasiane gwiazdami. Oboje zasiedli wówczas do skromnej wieczerzy, przy której Cecylja gospodarowała z prostotą i wdziękiem swobody. Poraz pierwszy od lat wielu czuła się w atmosferze przyjaznej, rozwijała się w niej, rozkwitała niejako; bratnie słowo powróciło jej wiarę w życie, i według

przepisów Kiljana myślała o jutrze bez trwogi. On był poważnym jak zwykle; żart jego i uśmiech nawet miały tę bolesną pogodę, do której dochodzi się tylko przez zawody, próby i cierpienia znoszone z niezachwianem męztwem. Oczy jego chodziły za nią z jakimś wyrazem miękkim i przyjaznym, mgliły się słodyczą zapomnianą oddawna. Czy tylko uczucie spełnionego obowiązku wywołało na twarz jego ten wyraz? któż to mógł odgadnąć? On sam w tej chwili nie badał wrażeń swoich; ale błogo mu było gdy kobieca ręka przygotowywała mu napój, gdy twarz jej piękna i przyjazna rozweselała mieszkanie samą obecnością swoją, gdy wzrok jej zwracał się na niego promienny ufnością, i uśmiech wykwitał na usta.

Rozmawiali o tem jutrze tak groźnem dla biednych, o sposobach wywalczenia go dla osamotnionej kobiety—gdy ciężkie kroki dały się słyszeć na wschodach, i Franciszek zastawszy drzwi niezamknięte, wszedł do izdebki. Ale na widok Kiljana siedzącego naprzeciw Cecylji zmięszał się i chciał odejść; młody człowiek zauważył to odrazu.

— Co to powiecie Franciszku?—zapytał patrząc mu w oczy.

— Ej nic panie—mówił stróż widocznie zakłopotany tem niespodzianem spotkaniem; przyszedłem bo... bo...

Kiljan wstał od stołu i zbliżył się do niego.

— Czy chodzi wam o komorne?

— Tak panie... to jest... ja chciałem... przypominałem... Panna Cecylja powiedziała, że dziś zapłaci... To nic, nic, powrócę kiedy indziej.

I cofał się ku drzwiom.

— Nie Franciszku, ja muszę dzisiaj rozmówić się z tobą.

Zbliżył się do niego bardziej jeszcze.

— Czy pamiętasz,—spytał tak cicho by Cecylja słyszeć go nie mogła—gdy żona twoja chorowała na tyfus, kto ją leczył i doglądał?

Franciszek podniósł oczy zdziwione, bo pierwszy raz w życiu Kiljan wspominał dobrodziejstwo swoje.

— Pan, panie Kiljanie — odparł, jakżebym to mógł zapomnieć?

— Zapomniałeś o tem i właśnie dzisiaj. Czy pamiętasz kiedy właściciel tego domu chciał cię oddalić ze służby, którą zaniedbywałeś przy kieliszku—kto cię utrzymał na miejscu?

— To pan także.

— Kto syna twego oddaje do szkół, kto córkę umieścił w haftarni?

— To pan jeszcze, i wdzięczni mu będziemy do śmierci.

Kiljan lekko brwi ściągnął na ten wyraz.

— Nie chcę wdzięczności żadnej, wiesz o tem dobrze; ale zapomniałeś tego com ci powtarzał codzień, co chwila, zapomniałeś haniebnie.

Franciszek spuścił oczy; widać sumienie jego obciążone było, bo nie mógł znieść wzroku Kiljana.

— Zapomniałeś—mówił dalej młody człowiek, że biedny biednego wspomagać powinien; że krzywda samotnej sieroty, to grzech wołający o pomstę do Boga; zapomniałeś, że zamiast dorzucać bliźniemu ciężaru, powinieneś ulżyć go ile ci sił stanie. Zapomniałeś, że to com uczynił, nie uczyniłem dla ciebie osobiście Franciszku, boś na to nie zasłużył; ale dla tego, że dopełniając mego własnego obowiązku, wskazywałem go i tobie także. A teraz powiedz mi, dla czego dręczyłeś tę biedną kobietę listami, których odbierać nie chciała? dla czego wpuściłeś tu hrabiego Horeckiego? dla czego upominałeś się o komorne w imieniu właściciela, który o tem nie wiedział?—Powiedz mi, ile zapłacono ci za to?

— Panie, wyjąkał stróż—jestem biedny, pan to wie najlepiej; mam dzieci... hrabia rzucał rublami... a panna Cecylja... panna Cecylja... jak zwykle...

— Wiele wziąłeś?—przerwał mu Kiljan głosem cichym ale tak stanowczym, że Franciszek odparł bez wahania.

— Dwadzieścia rubli panie.

— Jutro te dwadzieścia rubli odniesiesz hrabiemu, rozumiesz?

— Nie mam już ich panie; rubla tylko co wydałem, może się pan zapytać w sklepiku na rogu.

— Ty wiesz, że mnie nie łatwo oszukać; oto masz tego rubla, pożyczam ci go. Pieniądze te są źle zarobione Franciszku, to grosz Kaimowy! czy wiesz wiele on łez kosztował, czy wiesz, że mógł kosztować drożej daleko? Oddasz je jutro, a jeślibyś tego nie uczynił, to ja zupełnie zapomnę o tobie, bo będziesz ostatnim niewdzięcznikiem.

Franciszek ze spuszczoną głową wyszedł z izdebki; nie w smak mu był rozkaz Kiljana, a jednak moralna potęga jego była tak wielką, iż czuł że go spełnić musi.

Młody człowiek powrócił do Cecylji. Ona stała na balkonie, głowę wsparła na złożonych rękach, i spoglądała w górę. Kiljan zatrzymał się w progu i patrzył na nią przez chwilę wzrokiem, jakimby matka patrzeć mogła na biedne cierpiące dziecko, i milczał, jakby lękał się jej przerywać to spokojne marzenie. Ale dziewczyna usłyszała kroki jego, i zwróciła ku niemu głowę z uśmiechem.

— Teraz, rzekł Kiljan—panno Cecyljo, muszę ci powiedzieć dobranoc, i przypomnieć uczynioną mi obietnicę spokoju. Jutro rano sam zobaczę się z właścicielem tego domu; znam go trochę—on pewno niepokoić cię nie będzie, a w południe postaram się o robotę.

Cecylja wyciągnęła ku niemu rękę.

— Jak podziękować panu—szepnęła.

— Nie dziękując wcale; czyż w danym razie nie uczyniłabyś pani dla mnie tej małej przysługi, którą mam sposobność wyświadczyć? To panię zupełnie uwolnić powinno od wszystkich obowiązków wdzięczności, na którą nie zasłużyłem niczem dotąd.

— Niczem! zawołała dziewczyna— pozwól pan sercu memu o tem sądzić, ale powiedz mi przynajmniej kto jesteś?

— Cóż panię imię moje obchodzić może? Jestem sam, rzucony w życie jak pani, nie mam rodziny, i pracuję na twardy chleb powszedni. Czyż to nie dość by stworzyć pomiędzy nami rodzaj braterstwa?

— Więc nie chcesz mi pan nawet powiedzieć imienia swego?

— Imię moje jest Kiljan; imię to mało używane jest w kraju naszym, i dla tego służy mi ono prawie za nazwisko; pracuję w fabryce wyrobów chemicznych. Czy to pani wystarcza?

Te ostatnie słowa dodał zwykłym sobie smutno żartobliwym tonem.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy.

— Rozumiem,—wyrzekła zarumieniona —ukrywasz pan nazwisko swoje, przebacz mi niewczesne pytania. Wiem że jakiekolwiek są powody pana, z pewnością muszą być słuszne i szlachetne.

— Nie pani—odparł młody człowiek z pewną dumą, — ja nie mam nic do ukrycia, nazywam się Kiljan Horecki.

I nie czekając dalszych zapytań, pożegnał Cecylję.

Gdy się to działo w domu przy Śto Jańskiej ulicy, hrabia Wilhelm, po niespodzianem spotkaniu z Kiljanem, zły i gniewny zbiegł z czwartego piętra,i spotkawszy swój tilbury czekający na niego na Zamkowym placu, pochwycił lejce z rąk grooma i popędził Krakowskiem Przedmieściem. Brama dziedzińca pałacu Horeckich była na oścież otwartą, pełno powozów stało przed nim rzędem.

—Aha—mruknął młody człowiek,—to znowu ten przeklęty piątek! matka moja pracuje dla biednych.

Rzeczywiście w wielkim salonie dolnych apartamentów, znajdowało się liczne grono pań. Piątkowe godziny robocze hrabiny bardzo uczęszczane bywały; ubiegano się o to by do nich należeć, bo zbierały się tam tylko najdystyngowańsze kobiety, sam puch kwiatu arystokratycznego towarzystwa stolicy. Być przypuszczoną do piątków, znaczyło to samo co mieć patent na wysokie stanowisko w społeczeństwie, na wykwint i miłosierdzie zarazem; one otwierały zarówno podwoje świata i wrota niebieskie, i prowadziły prosto do zbawienia, drogą usłaną różami. Było to poświęcenie bez ofiary, i dobroczynność bez kosztu głośno objawiona światu, sławiona przez usta modnych kaznodziei; nie dziw więc że w dzień ten, tak długi rząd powozów stał przed gankiem pałacu.

Salon hrabiny przedstawiał obraz godny pędzla Mierisa lub Velasqueza—tyle tam było świetnych barw, lśniących materij, misternie ułożonych włosów i pięknych twarzy.

Gwar miejski konał tutaj; wysokie pokoje ustrojone kwiatami nie przypominały niczem dusznych mieszkań Warszawy, rzeźwiły chłodem i wonią wiosenną. Wielkie balkonowe okna otwarte na ogród, przepuszczały do pokoju światło złagodzone ciężkiemi draperjami firanek a w tym półcieniu; migotały szeleszczące jedwabie, któremi ustrojone były szlachetne pracownice. Na stołach z mozajki, na lakowych konsolach obok Etruskich wazonów i Sewrskich kandelabrów, rozłożone były grube płótna i wełniaki, odbijając dziwnie od kosztownych sprzętów, od białych paluszków i wytwornych postaci tych co je trzymały w ręku.

Hrabina Marja Horecka, jako gospodyni domu, rozdawała robotę z nieporównanym, sobie tylko właściwym wdziękiem—bo umiała władać swemi ruchami, głosem, spojrzeniem, z mistrzostwem które nawet jej towarzyskie koło admirowało i próżno starało się naśladować. Wzruszenie jej ramion, równało się wyrokowi zaguby. Biada człowiekowi który je ściągnął na siebie. Skinienie jej ręki wymazywało z rzędu żyjących; uśmiech otwierał na oścież podwoje łaski; spojrzenie wzniesione, było całym poematem, skargą,oburzeniem i zgrozą pobo-

żną. Nawet lekkie poruszenie brwi i nozdrzy wystarczało do spiorunowania śmiałka, coby się dopuścił jakiegobądź przekroczenia przeciwko temu co podobało jej się uważać za właściwe, nietylko pod względem form towarzyskich, ale nawet postępowania, pojęcia i smaku. A przyznać należy, iż to co hrabina uważała za właściwe, zamykało się w straszliwie ciasnych granicach, i zdawało się wyjęte z jakiego średniowiecznego kodeksu, którego epoka wydawała się jej ideałem socjalnego ustroju. Obdarzona tak znakomitem pojęciem historycznem, hrabina mówiła mało; czcze słowa i nic nie znaczące frazesa spadały z jej ust z Olimpijską powagą; całą doniosłość nadawało im dopiero brzmienie głosu lub ruch wymowny. Byłato kobieta lat pięćdziesiąt kilka mająca, w której resztki niepospolitej piękności sprzymierzone z całym doborem kosmetyków, zwycięzko walczyły z czasem. A jednak w jej obejściu nie było nic zalotnego, coby usprawiedliwiało żądzę podobania się jeszcze, ten cały arsenał podrobionych wdzięków. Przeciwnie, hrabina Marja była zimnego serca, czy też surowej cnoty. Zresztą miała rodzaj pogardy dla wszystkich gorętszych uczuć; a jeśli stroiła się i malowała, czyniła to tylko przez wzgląd na swe wysokie stanowisko. Miała się w dobrej wierze za wyjątkową w ludzkości istotę, która nie powinna podlegać zwyczajnym kolejom. Starość, była według niej

rzeczą gminną, niedozwoloną w pewnych socjalnych sferach. „Fi donc, estce qu'on vieillit“! Słowa te wymawiała na serjo, ściśle stosując się do nich. I dla tego obsypywała twarz pudrem à la maréchale, różowała lica, wodziła pędzelkiem po brwiach i włosach, z głębokiem przekonaniem, iż dopełnia tym sposobem obowiązku względem towarzystwa, nieledwie względem kraju i ludzkości. Nie zastanowiła się nawet nad tem, czy jej to było przykrem lub miłem; bo trzeba oddać jej tę sprawiedliwość, że miała za zasadę nie uchylać się nigdy od żadnego obowiązku.

Ale jeśli hrabina nieubłaganą była dla samej siebie, surowość tę rozciągała i do drugich; najmniejsze uchybienie przeciw formom przyjętym, było dla niej zbrodnią wołającą o pomstę do nieba, może jedyną zbrodnią, jaką rozumiała. To też sumienie jej było czyste jak bursztyn, jak kryształ; podobnej zbrodni nie dopuściła się nigdy. Życie jej było jednem pasmem konwenansowych zajęć, nieskalanych żadnym serdecznym wybuchem, żadną myślą wyższą. „Tak się nie robi—w ten sposób się nie mówi —to nie jest przyjęte“. Te proste formuły wystarczały jej zupełnie do spokojnego życia; pojęcia jej nie przechodziły po za nie, i żadna wątpliwość nie zaniepokoiła nigdy bezmyślnej niewinności jej duszy. Wyraz „dlaczego“ nie istniał w jej słowniku; nie wymawiała go nigdy sama i nie cierpiała

w ustach drugich. I gdyby w raju ziemskim zamiast matki Ewy towarzyszką Adama była hrabina Marja Horecka, ludzkość z pewnością wegetowałaby dotąd w pierwotnym pokoju; nie przechodziłaby nigdy zaszczytnych kolei swoich, nie dobijałaby się z trudem wiedzy i chwały.

Z wychowania, usposobienia i stanowiska swego hrabina była zapamiętałą stronniczką każdego *statu quo*. Każda rzecz istniejąca, chociażby i najgorsza, wydawała jej się doskonałą już dla tego samego, że istniała; chcieć zmienić ją w czemkolwiek, było to popełnić grzech, na ukaranie którego niebo i ziemia nie miały dość piorunów.

Byłto uosobiony ideał ślepego serwilizmu. Gdyby los ją był rzucił w starożytną społeczność, byłaby bez wahania się na skinienie arcykapłana rzuciła własne dziecko na stos ofiarny; w średnich wiekach, na rozkaz rodziny byłaby wstąpiła w mury zakonne i poświęciła się Bogu; za czasów wielkiej monarchji Francuzkiej, markiza Montespan lub pani du Barry, nie miałyby wierniejszej sługi.

Dzisiaj hrabina nie mając tak zaszczytnych obowiązków do spełnienia, wzdychała nieustannie nad bezbożnością i rozkiełznaniem tego wieku, który nic uszanować nie może, i pilnowała ściśle linji demarkacyjnej, jaka rozciągać się powinna pomiędzy wielkim światem a pospolitą rzeszą śmiertelników. W wielki tydzień kwestowała w modnych kościo-

łach; w czasie zimy uczęszczała na wszystkie dobroczynne bale, koncerta, teatra, strojąc się i bawiąc na intencję nieszczęśliwych. Co więcej, w każden piątek aż dwie godziny poświęcała robocie dla biednych, gromadząc wkoło siebie szlachetne panie, równie gorliwe jak ona o dobro społeczne, oraz dojrzewające, dojrzałe i przejrzałe panny. Pomiędzy temi ostatniemi, niestety! wypadało pomieścić pierworodną jej córkę, hrabiankę Amelję.

Hrabianka należała do rzędu arystokratycznych piękności, wiotkich, smukłych, białych i mglistych jak dziewice Ossyana; była czarującą gdy miała lat szesnaście; ale ile upłynęło wiosen od tych błogich lat szesnastu, niedyskretnie byłoby liczyć. Czas bywa nieubłaganym wrogiem dla podobnego rodzaju piękności; nakształt kwiatów są one śliczne, dopóki nie zwiędną i nie staną się od razu szkaradnemi. Niema dla nich przejść, ni półcieni łagodnego zachodu. Naraz, delikatne rysy jak zwarzone szronem, nabierają ostrości; nos i broda stają się szpiczaste, i barwią się różami schodzącemi z lica; śnieżna płeć mieni się w żółte cienie przy oczach i skroni, przywodząc na myśl stare alabastry lub opylone pastele—i eteryczna dziewica przemienia się nagle w starą pannę, suchą i wywiędłą. Taką stała się Amelja, tem bardziej, że wyraz jej twarzy dowodził, iż bez najmniejszej rezygnacji znosiła to przedłużone dziewictwo. Nie spowodowało go za-

dne zapatrzenie się w jaki wymarzony ideał, ani wierność własnemu sercu; ale po prostu to, że okoliczności silniejszemi były od woli, że jakieś majątkowe układy sprzeciwiały się matrymonjalnym zamiarom. Hrabia starał się o utworzenie majoratu, wydziedziczającego córki na korzyść Wilhelma; męża więc z odpowiedniem położeniem trudno było znaleźć w podobnych warunkach dla hrabianki Horeckiej, nawet wówczas gdy piękną była.

Z wdzięków młodości pozostały tylko Amelji słodkie illuzje; opatrzność spuściła jej na oczy dobroczynną zasłonę. Napróżno zwierciadło odsyłało jej wierny wizerunek obecny; ona widziała się w niem zawsze taką jaką była kiedyś, i nie mogła darować światu i ludziom, że nie podzielali jej złudzeń.

Słowa jej podobne były do miodu zaprawnego piołunem; gorycz i żal istoty wydziedziczonej przebijały w każdem spojrzeniu. Tłumiona niechęć do rodziców którzy ją krzywdzili, do brata mającego z jej krzywdy korzystać, objawiała się często ironicznym wybuchem. Nieraz nawet jej sarkastyczna werwa szła dalej, i dotykała rzeczy uświęcone obyczajem—co znów wzbudzało najwyższe zadziwienie i niezadowolenie samej hrabiny. „Amélie, mon enfant, que dites vous donc?“—mawiała wówczas, wzruszając ramionami sobie tylko właściwym sposobem. Amelja, której niewinnym celem było

podrażnienie matki, milkła na chwilę; ale za pierwszą sposobnością znowu wybuchała, jak gdyby i ona także miała do spełnienia opatrznościową missję dokuczania drugim, a temu szlachetnemu powołaniu przeniewierzyć się nie chciała. Raziła ją każda młodość, każdy spokój, każde wesele, tak jak puszczyka razi światło dzienne; pracowała by je gasić w koło siebie jawnie i skrycie, myślą, wolą i uczynkiem, z wytrwałością godną lepszej sprawy— mszcząc się na społeczeństwie całem za jakieś skryte bole i zawody.

Teraz hrabianka otoczona młodszem pokoleniem towarzystwa, szyła jakiś czepeczek, i za każdym ściegiem wpychała igłę z takim wyrazem, jakby nieszczęśliwy kawałek płótna był jej śmiertelnym wrogiem.

Hrabina patrzyła na nią zdaleka z pewnym niepokojem; widocznie zły humor Amelji był wyrazistszym niż zwykle—a matka wiedziała z doświadczenia, że w podobnych razach nie było dla niej nic świętego.

Pomiędzy gruppami pracownic toczyły się rozmaite rozmowy.

— A propos comtesse—mówiła jedna z nich do hrabiny Marji—nie widzę już od dawna tej ładnej guwernantki; coż się z nią stało?

— Ah! ne m'en parlez pas—odparła zagadniona, ze skinieniem ręki podobnem do całej pogrzebowej

mowy; te wszystkie guwernantki, to istny ród jaszczurczy. Jesteś pani bardzo szczęśliwą, że masz samych synów; doprawdy zazdroszczę ci tego.

— O! niema czego doprawdy! z guwernerami stokroć większa bieda. Nie wiadomo zkąd się to bierze; a przytem ma tak dzikie pojęcia o wszystkiem, takie nieuszanowanie dla rzeczy uświęconych, tak złe manjery! Drżeć muszę prawdziwie powierzając im moich synów.

— Tak jak ja swoją córkę.

— Czy masz już kogo hrabino, na miejsce tej ładnej panny... panny... zawsze zapominam jej nazwiska.

— Zapomniałam i ja, ale nazwisko nic tu nie stanowi. Imaginuj sobie pani...

I nachylając się do ucha sąsiadki, szepnęła jej słów parę przyjętych z rumieńcem oburzenia.

— Jużto, odparła po chwili zagadniona z uśmiechem—trzeba przyznać iż dowiodła dobrego smaku; sans compliments comtesse, hrabia Wilhelm jest czarujący.

— Ależ on wcale nie zważał na nią; sam nawet pierwszy zwrócił na jej manewra moją uwagę, sam ostrzegł mnie by ją oddalić.

— To się pojmuje... w domu rodziców, guwernantka siostry—fi donc! hrabia Wilhelm est trop gentilhomme pour cela.

— Naturalnie, Wilhelm nadto się sam szanuje, a przytem mówiąc między nami, serce jego na prawdę zajęte.

— Piękną księżniczką Stefanją, nie prawdaż?

Hrabina uśmiechnęła się znacząco.

— Niech to jeszcze pozostanie entre nous—odrzekła uszczęśliwiona, że tak ważna tajemnica znaną już była światu.

— Sądziłam że to rzecz już ułożona.

Ułożona prawie, czekamy tylko na przyjazd księżnej Matyldy babki Stefanji,ażeby ukończyć nos arrangements de famille.

Wilhelm tymczasem dowiedziawszy się że Ojciec jest w domu, udał się wprost do apartamentów jego.

Hrabia Felix Horecki nie miał jeszcze lat sześćdziesięciu, a jednak blady, suchy, wysoki i przygarbiony wiekiem lub jakimś wewnętrznym ciężarem, wydawał się starszym daleko. Twarz jego wyniszczona, była jednak imponującą. Pomarszczone czoło podnosiło się dumnie; tylko usta przycięte miały wyraz dwuznaczny, harmonizowały z oczami kosemi, które nigdy nie spoczęły na jednym przedmiocie, nigdy nie podniosły się spokojnie na twarz drugą, ale biegały nieustannie, jakby lękały się ludzkiego wzroku, jakby raziło je światło każde. Głowa jego obnażona z włosów, ściśnięta w skroniach, o wydatnych pociągłych rysach, przypominała popiersia

rzymskie z Cezarowych czasów. Wypisana była na niej wyraźnie nie tylko starość człowieka, ale starość epoki i społeczeństwa, której był jednym z reprezentantów; wypisane było na niej coś podobnego do moralnego bezprawia owych wyuzdanych czasów. W uśmiechu jego cynicznym znać było przeżytego rozpustnika, któremu z wychylonej czary ziemskich rozkoszy zostały same męty tylko. Starość jego nie wzbudzała szacunku; nie było w niej nic z tego ukojenia i tej łagodnej pogody, cechującej schyłek szlachetnie przeżytego wieku. Przeciwnie, znać w nim było jakieś bezsilne żądze, jakieś niewczesne żale, niewiarę w siebie i drugich, i troski tajone nie wzbudzające współczucia, jak gdyby kryły czyny nie znoszące dziennego światła.

Jednakże wyraz ten pochodził zapewne z choroby lub z dziwactw właściwych wiekowi; bo hrabia Feliks znanym był światu całemu, jako jeden z dobroczyńców ludzkości. Był członkiem wszystkich filantropijnych towarzystw, był pierwszym zawsze do niesienia głośnej pomocy bliźnim; imię jego błyszczało na czele wszystkich składek dla dotkniętych jakąbądź klęską.

Szeptano wprawdzie pocichu, że hrabia Horecki za młodu jeszcze korzystając z nieobecności brata, wyzuł go z majątku; ale musiała to być wierutna bajka—bo gdy tenże brat po długich latach powrócił do kraju, hrabia Feliks był zupełnie zrujnowa-

ny, a brat przeciwnie przywiózł ogromny majątek, który rzucił blask nowy na starożytny ród Horeckich. Rzecz więc jasna jak słońce, że w działach oszukanym być nie mógł. Szeptano także, iż brat ten miał jedynaka syna, którego umierając powierzył opiece stryja; że syn ten potem odsuniętym został od mienia ojca, i przepadł bez wieści.

Byli tacy co utrzymywali, że widywano go w gronie ubogiej młodzieży uczęszczającej do uniwersytetu; że nosił nawet ubranie rzemieślnika—ale to już wyglądało na bezsensowne bajki, wymyślone przez zawistnych. Przecież w pewnym świecie takie rzeczy się nie dzieją; przecież hrabia Feliks kochał synowca jak własnego syna—a człowiek jego stanowiska i urodzenia nie mógł się czegoś podobnego dopuścić. Zresztą są prawa i sądy, nie dozwalające pokrzywdzeń takich—a nikt nigdy nie słyszał, by ogromna fortuna hrabiego Juljusza zaprzeczaną była bratu jego, który od lat dziesięciu używał jej spokojnie, i nawet stracił jej część znaczną.

I to wszakże nie było rzeczą dziwną wcale, bo człowiek tak jawnie dobroczynny, musiał wiele więcej tracić tajemnie na szlachetne uczynki; zapewne wspaniałość serca unosiła go po za granice rozsądku—i wspomagając drugich zapominał o sobie. Tak przynajmniej twierdzili ci, co zbliska znając hrabiego, zasiadali za jego stołem, jeździli jego powozami, ścigali się na jego koniach; a przecież onito

najlepiej znać mogli codzienne stosunki domu, którego byli niejako członkami.

Teraz hrabia Feliks rozciągnięty w wygodnym fotelu palił cygaro, przeglądając jakieś rachunki. Człowiek ten, który miljony przepuścił przez ręce, teraz nachylony nad cyframi mienił się wyraźnie; blada twarz jego zachodziła żółcią,—znać opanowywała go ostatnia z namiętności: miłość złota.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, i Wilhelm wszedł niespodzianie do pokoju.

Ojciec podniósł na niego wzrok niby nie patrząc, zmierzył go niechętnem okiem, i chciał przemówić; ale Wilhelm nie zostawił mu na to czasu. Widocznie był on w jednej z tych faz, w których okoliczności zdzierają z twarzy człowieka zwykłą maskę spokoju, nałożoną prawem obyczaju.

— Ojcze—rzekł rzucając na sofę z gniewem kapelusz i rękawiczki—ojcze! on jest znowu w Warszawie.

Papiery wypadły z rąk hrabiego; podniósł głowę machinalnym ruchem, i spuścił ją na piersi z rodzajem znękania.

— Widziałeś go?—zapytał po chwili stłumionym głosem.

— Widziałem.

— Wilhelmie, czy nie omyliło cię podobieństwo jakie?

W tych słowach była nadzieja, którą się hrabia chciał łudzić. Wilhelm wzruszył ramionami.

— Mówiłem z nim—wycedził przez zęby.

— Gdzie, jak, kiedy, co on ci mówił?—pytał ojciec urywanym głosem.

Syn jednak nie miał ochoty wdawać się w zbytnie szczegóły, dla tego odparł po chwili milczenia.

— Trzeba raz koniecznie coś stanowczego przedsięwziąść.

— Co?—spytał powolnie hrabia podnosząc głowę. I fałszywe wejrzenie jego spotkało się z okiem Wilhelma. Syn i ojciec jednocześnie spuścili oczy, jak gdyby przelękli się wzajem tego co w nich wyczytali.

Nastało długie milczenie—ci ludzie nadto dobrze się rozumieli. Hrabia pierwszy przemówił.

— Nie mam powodu go się lękać.

Może tem słowem chciał przekonać syna, a może wmówić w samego siebie spokojność, której nie miał.

— Nie chciałbym—wyrzekł Wilhelm—by teraz wznowiono mowy o naszych familijnych sprawach; to mogłoby utrudnić małżeństwo moje.

Ojciec uśmiechnął się pogardliwie.

— Alboż świat pamięta tak długo tych co z jego widowni zniknęli? kto go dziś pozna?

Hrabia miał słuszność, a jednak słowa jego pełne ludzkiej mądrości nie przekonały Wilhelma, któ-

ry goryczy dzisiejszego spotkania zapomnieć nie mógł.

— Na to spuszczać się nie można—odparł, jak gdyby czekał tylko zachęty by mówić dalej.

— Owszem, na to spuścić się trzeba—rzekł ojciec—bo... bo jakimże sposobem mogę oddalić go ztąd?

— Ojciec bo lubi półśrodki,—powiedział syn z pewną przymówką.

— Dotąd jednak doprowadziły mnie one zawsze tam gdzie chciałem. Bądź spokojny Wilhelmie; cóż nas obchodzić może ten człowiek? Niemamy przecież powodu go się lękać; a gdy zostaniesz mężem księżniczki Stefanji, nasze dwie rodziny złączone uczynią położenie nasze niezachwianem.

Te słowa krzyżowały się dziwnie; bo jeśli hrabia nie miał powodu lękać się Kiljana, cóż znaczyło to małżeństwo jego syna? jakie położenie ono wzmocnić miało? Wilhelm zresztą nie pytał o to, a ojciec mówił dalej.

— Spodziewam się też, że w tym czasie majorat nasz zatwierdzonym będzie; powtarzam ci bądź spokojny.

— Łatwo to powiedzieć—odparł syn—ja nim być nie mogę; sam jego widok drażni mnie.

— I cóż ztąd? trzeba postępować jak gdybyś był spokojny, jak gdybyś nie wiedział wcale, że on jest tutaj.

— Nienawidzę go!—wybuchnął Wilhelm.

— A ja...—wyrzekł powolnie hrabia z takim wyrazem w głosie, że ten coby go słyszał zadrżałby nad losem człowieka, o którym wymówione były te dwa krótkie słowa.

— On zawsze stanąć musi na drodze mojej, zawsze, we wszystkiem.

— Jakto—spytał ojciec z ironją świadczącą, że dobrze znał syna; miałżeby współzawodniczyć z tobą o rękę księżniczki Stefanji?

Wilhelm podniósł oczy na ojca widząc że żartował; ale hrabia znów nachylony nad papierami pokonał już pierwsze wzruszenie, sprawione niespodzianą wiadomością przyniesioną przez syna. Byłto znów ten cyniczny starzec drwiący z wszystkiego. W milczeniu więc przygryzł Wilhelm wargi, a Feliks mówił dalej, nie odrywając wzroku od zajęcia swego.

— Między nami mówiąc Wilhelmie, nadużywasz trochę kawalerskiego życia i praw jedynaka robiącego długi; to może zaszkodzić ci trochę więcej niż jego obecność.

— Hm—mruknął syn—czyż ojciec dużo więcej odemnie nie stracił?

Hrabia wzruszył ramionami.

— Trać sobie wiele chcesz, byle dziś o tem nie mówiono; każda rzecz ma swój czas właściwy, a niecierpliwość was młodych zawsze gubi. Czyż ni

możesz prowadzić porządnego życia dopóki się nie ożenisz? Wiesz przecież iż nie jestem Katonem; po ślubie rób sobie co ci się podoba, zastawiaj sidła na ładne twarzyczki. Ale teraz nie dawaj powodu plotkom towarzyskim. Ożenienie to, w dzisiejszych warunkach, to kwestja ważna bardzo; od tego nawet czynią zależnem zatwierdzenie majoratu.

— O! co do księżniczki Stefanji, z tej strony nie lękam się niczego—rzekł Wilhelm z dumą właściwą zdobywcom serc.

Hrabia spojrzał na niego z pod oka, a w spojrzeniu tem był odcień zazdrości i pogardy. W grze życia był on dużo mocniejszym od syna; ród jego karłowaciał. Widział to, bo nie zaślepiała go wcale miłość ojcowska, i miłość ta nie przeszkadzała mu zazdrościć synowi wszystkich sposobów użycia, które jemu starość wytrąciła z ręki. Uznał więc za stosowne dodać.

— Zdaje się, iż nie potrzebuję ci zalecać, byś o tem spotkaniu nie wspominał przed Amelją.

— Ah!—zawołał młody człowiek z niechęcią,— za kogoż mnie ojciec bierze?

— Wiem jak lubisz sprzeciwiać się siostrze, często nie przebierając w środkach.

Te ostatnie słowa zmięszały nieco Wilhelma. Chciał wyczytać na twarzy ojca do czego on zmierzał; ale swoim zwyczajem hrabia mówiąc nie pa-

trzał wcale na niego, a wyraz żaden nie poruszał jego rysów.

— Nie rozumiem prawdziwie co ojciec chce powiedzieć; czyż ona mogłaby myśleć o nim?

— Któż to wie! Amelja jest złośliwa i skryta.

— I cóż ona zrobić może?

— Hrabia wzruszył ramionami.

— Sądziłem, że lepiej znasz kobiety; oneto właśnie mają zwyczaj czepiać się spraw zrozpaczonych, i targać na niepodobieństwa.

— Amelja nie uczyni tego.

— Nie spuszczaj się na to, i nie przywodź jej do ostateczności.

Hrabia zamyślił się, nie dodał nic więcej, i siedział dalej nieruchomy z głową zwieszoną. Wilhelm przechodził się wielkiemi krokami po pokoju. Każdy z nich szedł za kierunkiem własnych myśli, i nie miał nic do powiedzenia drugiemu. Milczenie zaległo pokój, i byłoby trwało Bóg wie jak długo, gdyby go nie przerwało wejście lokaja z oznajmieniem, że obiad podano.

Dla starego hrabiego chwila ta, jak zwykle dla przeżytych rozpustników, miała pewną uroczystość. Sam z kuchmistrzem układał zawsze program całodzienny, a obiady i kolacje jego słynęły pomiędzy smakoszami stolicy. Pomimo dolegającej mu troski powstał więc skwapliwie i przeszedł do jadalnej sali, gdzie zgromadziło się wkrótce całe towarzy-

stwo domowe,—bo trudno tym ludziom spoglądającym na siebie wzajem z nieufnością i niechęcią, dać świętą nazwę rodziny, chociaż łączył ich węzeł krwi i wspólne nazwisko. Żaden też z jej członków nie przerywał ponurego i nudnego milczenia tej wykwintnej uczty; a jednak nie brakło tam żadnego zbytku, na który Warszawa zdobyć się mogła w obecnej porze.

Nazajutrz, gdy Cecylja obudziła się po pierwszej nocy spokojniejszego snu, spojrzała w koło siebie ze zdziwieniem jakie wznieca każda niespodziana zmiana losu. Otaczały ją te same bielone ściany, też sprzęty ubogie, a jednak spoglądając na nie czuła się swobodną, szczęśliwą prawie. Zmiana więc była w niej samej, wiara i ufność zastąpiły ponurą rozpacz dni poprzednich; czuła, że nowy żywioł wszedł w jej życie. Cały ten dzień wczorajszy, w którym przechodziła przez tyle uczuć, mglił się w jej pamięci jak sen czarodziejski. Zapytywała znowu samej siebie, kto był ten człowiek łagodny jak kobieta, a jak stal hartowny, który silną ręką odżegnał od niej nieszczęście, i samem ukazaniem się swojem przyniósł jej pomoc i pociechę. Co znaczyło to arystokratyczne nazwisko, jakie zmuszony pytaniami rzucił jej w końcu z rodzajem niechęci? Jakim sposobem syn rodziny Horeckich pracował w zakładzie fabrycznym? Jednak widocznie miał prawo je nosić, bo śmiało spojrzał w oczy Wil-

helmowi, który cofnął się przed nim. Cecylja nie była w stanie rozwiązać tych zagadek, nad któremi myśl jej pracowała daremnie.

Około południa zastukano do jej drzwi, i po chwili ukazał się Kiljan. Młody człowiek zmęczony był bardzo; widocznie krótkie chwile odpoczynku poświęcił na spełnienie wczorajszych obietnic, i przynosił jej na początek pęk wachlarzy do malowania.

Rumieniec radości wybiegł na twarz dziewczyny. Mogła więc naprawdę wystarczyć sobie! a przytem ta praca artystyczna nęciła ją wiele więcej niż szycie, i korzystniejszą była. Kiljan wymienił nazwisko kupca od którego obstalunek pochodził; był to ten sam dla którego pracowała poprzednio, który bez żadnej przyczyny odebrał jej robotę. Powiedziała to Kiljanowi.

— Wiedziałem o tem—odparł zagadniony, z tym nieokreślonym uśmiechem właściwym ustom jego, w którym była i litość, i pogarda i smutek pogodny; tam była ręka hrabiego Wilhelma.

— Jak pan to wiesz—zawołała—jak potrafiłeś wpływ jego zniweczyć?

Młody człowiek podniósł głowę z jakimś wyrazem wyzwania i potęgi, ale wyrzekł spokojnie tylko te krótkie słowa.

— Znam go oddawna.

— I cóż ztąd?

— Znać ludzi—mówił dalej—to znaczy zedrzeć myślą maskę nałożoną na ich twarz i czyny, a tem samem mieć ich na w pół w ręku swoim. Bo mało ludzi dzisiaj nie ukrywa czegoś, nie ma tej słabej strony w sumieniu i życiu, którą jak ohydną ranę tai przed światem. Czyż pani nie domyślasz się tego?

Ona dotąd nie wiedziała o tem; życie było dla niej pełne tajemnic, których istnienia nie przypuszczała nawet. Nie znalazła też jeszcze sama w sobie tej odśrodkowej siły, która wypręża się pod naciskiem cierpienia i umie zapanować nad każdem położeniem, dźwigając w górę jednostki zarówno jak społeczeństwa. Cierpienie przyjmowała z bierną rezygnacją, i byłaby prędzej znalazła odwagę do męczeńskiej śmierci, niż odwagę do walki. Dla tego z rodzajem zachwytu spojrzała na Kiljana, który stał wsparty o stół, na którym rozłożył jako zdobycz jej przyszłą pracę.

— Wiele—zapytał po chwili milczenia—płacono pani dotąd? Cecylja wymieniła nic nie znaczącą kwotę.

— Te warunki—mówił .dalej Kiljan—zdawały mi się zbyt uciążliwe dla pani; postarałem się o inne, sprawiedliwsze.

Rzeczywiście układ jaki uczynił podwajał prawie jej zarobek.

— Jakim cudem—pytała dziewczyna—potrafiłeś pan to uczynić? On uśmiechnął się znowu łagodnie.

— Bardzo prostym; pani byłaś samotną, opuszczoną, więc rzuconą na pastwę chciwości świata, który każdą słabość wyzyskiwać musi.

— A pan?

— Ja—odparł—potrafię zdobyć sobie życie i obronić się od świata, ludzi i nędzy; to dość dla mnie. Ale mówmy o pani. Tym sposobem—dodał wracając do poprzedniej rozmowy, jak gdyby niechętnie mówił o samym sobie,—będziesz pani mogła za tydzień lub dwa opłacić mieszkanie, a do tej pory ręczę, że nikt cię niepokoić nie będzie.

— Pan jesteś moim zbawcą!—zawołała dziewczyna z wybuchem mimowolnym.

— Nie panno Cecyljo, nie przyznaję ci wcale prawa wdzięczności. Doświadczyłem sam wiele złego, wiem jak niesprawiedliwość jest ohydną, i dla tego o ile to w siłach moich, staram się jej nie dopuszczać. Oto wszystko.

Tak wielka była prostota w tych słowach, że Cecylja umilkła; Kiljan patrzał na nią przez chwilę.

— Gdybyś potrzebowała mnie pani, to przyszlij pani Franciszka, a spełnię co zażądasz.

Widocznie nie chciał nawet narzucać jej obecności swojej; stał ciągle jakby gotów do odejścia, chociaż śpieszno mu nie było, a wejrzenia jego dojmu-

jące z trudnością odrywały się od młodej dziewczyny.

Ona patrzyła na niego nieśmiało, nie mówiąc słowa, bo wiedziała, że on poświęcał dla niej jedyny skarb ubogiego, czas drogi. A jednak czuła, że on opuszczał ją niechętnie, że ona sama oglądać się za nim będzie. I milczała nie mogąc znaleźć słowa coby odpowiadało jej uczuciu.

W tej chwili dźwięk zegara ozwał się w pobliżu; Kiljan wysłuchał go uważnie.

— Czas już na mnie—rzekł zabierając się do wyjścia.

Był już przy drzwiach, gdy tknięty nową myślą zwrócił się do Cecylji.

— Musisz mi pani uczynić jedno przyrzeczenie—wyrzekł z nieopisanym wyrazem w głosie.

— Przyrzeknę wszystko—odparła,—mów pan.

— Samotna dola do której nie przywykłaś pani, ma swoje gorycze i przerażenia; przyrzecz mi więc, że w każdej złej chwili jakaby przyjść mogła, wezwiesz pomocy i opieki mojej.

— Czyż pan wątpiłeś o tem?—wyrzekła z pogodnym uśmiechem, który dziwny blask rozlał na jej śliczną twarz. Ale nie lękaj się pan o mnie; teraz czuję w sobie odwagę, zdaje mi się, że znieść potrafię wszystko co mi zły los przynieść może.

Kiljan zrazu nic nie odpowiedział; oko jego z czcią i rozrzewnieniem spoczęło na tej wątłej

istocie, stworzonej zda się do samych rozkoszy życia, a która tak łatwo pojmowała wszystkie twarde prawdy jego.

— A więc daj Boże—odparł z pewnym odcieniem smutku w głosie—byś nie zapotrzebowała mnie pani nigdy.

— Chcesz pan więc bym dzieliła z tobą same złe chwile,—zawołała Cecylja, z wyrzutem mimowolnym.

I zatrzymała się nagle. Te słowa wybiegły z jej ust zanim obrachować potrafiła ich znaczenie, a płomienny rumieniec który oblał jej czoło, powiększył jeszcze jej pomieszanie. Stała naprzeciw niego różowa jak zorza, ufna, szlachetna i jak dziecko wydając wejrzeniem i słowem najskrytsze uczucia.

Ale Kiljan nie korzystał z tego i odparł z prostotą.

— Wezwij mnie pani w złej lub dobrej chwili, a przybędę zaraz.

Ścisnął jej maleńką rączkę, i oddalił się unosząc może z sobą niczem nie zatarty jej obraz.

Cecylja stała jeszcze minutę w miejscu gdzie ją zostawił, jakby zasłuchana w szeleście jego kroków ginących w oddaleniu, lub w bicie własnego serca. Potem podniosła głowę, i z zapałem zabrała się do pracy. Godziny mijały, a ona zapominała o nich; myśl jej i ręka zarówno zajęte były. Jednak praca

ta nie musiała być uciążliwą, bo wyraz twarzy pozostał swobodny, a czasem uśmiech dziwnej słodyczy wybiegał na jej usta, jakby wiodła jakąś tajemniczą rozmowę z samą sobą, jakby unosiły się wkoło niej złote sny młodości i opromieniały aureolą marzenia zajęcia codziennego życia.

W dwudziestym roku życia tak prędko przerzucić się można od rozpaczy do szczęścia! Łzy nie zostawiają jeszcze śladu w myśli ni bruzd na twarzy; życie wre i kipi, serce ufa tak łatwo, a przyszłość miga tęczowemi barwami wysnutemi z bogactw własnej piersi, i na przekor wszystkiemu. W tej chwili Cecylja była szczęśliwą tem szczęściem niezależnem od ludzi i okoliczności, tem wewnętrznem szczęściem, które przez wielkie prawo harmonji i równowagi odezwać się tylko może w całej potędze w piersi wydziedziczonych świata tego, w piersi tych, których życie jest ciężkie a sumienie czyste.

* * *

W jednym z dworków na Marszałkowskiej ulicy, w mieszkaniu od frontu, znajdowały się dwie osoby: podżyły mężczyzna i młoda dziewczyna. Mieszkanie było dość obszerne i wygodne, chociaż na pierwszy rzut oka określić było trudno klassę i zamożność zamieszkujących je osób. Były tam sprzęty zbytkowe silące się na pewną pokaźność, razem

pomieszane z rzeczami służącemi do codziennego użytku. Jakiś nieład i dyzharmonja cechujące ludzi, którzy wyszli ze sfery ubóstwa, na których powszednia praca ciążyć przestała, a którzy w zamian nie zdobyli sobie ani pojęć ani nawyknień innych.

Mężczyzna był ponury, dziewczyna była smutna. Rysy pierwszego były brzydkie i pospolite; ona miała bardzo ładną twarzyczkę, bladą trochę i nacechowaną wyrazem pognębienia i niepokoju skrywanego starannie; bo ile razy wzrok mężczyzny padł na nią, oczy jej odwracały się szybko od okna w którem były utkwione, a białe paluszki przerzucały brudne karty francuzkiego romansu, pochodzącego znać z przedmieściowej czytelni. Ubranie mężczyzny było to coś nieokreślonego pomiędzy wszystkiemi stanami; powierzchowność jego była zaniedbaną i wymuszoną zarazem, gdy przeciwnie dziewczyna ubrana i uczesana starannie, przedstawiała z nim dziwny kontrast. On miał wyraz przebiegłości bezczelnej, cechującej łotrów wszystkich klas społeczeństwa; pewno nie jednego oszukać i wyzyskać musiał. Ona miała bezmyślne i zaćmione oczy istot obdarzonych małym rozumem, w których życie nie wyrobiło własnowolności, i które loicznem prawem dla tego samego wyzyskiwanemi i oszukiwanemi być muszą.

Dotąd, wszystko pomiędzy tym dwojgiem ludzi było kontrastem; a jednak przypatrzywszy im się

bliżej, można było dostrzedz, że mieli wspólne rysy. W nim i w niej zarówno uderzał brak naturalności; oboje przybierali pewną maskę, naciągali się do pewnych form nie pasujących do ich ustroju właściwego. Pozowali jedno przed drugiem, a może i przed samemi sobą. W nim uderzała jakaś napuszoność, przesada w obejściu się, stroju i ruchach, połączona z wymuszoną swobodą, której nie czuł na prawdę; ona zaś siliła się przybrać powierzchowność i mowę sfery towarzyskiej, której widać nie znała wcale.

Oboje zdawali się wytrąceni z właściwych kolei, szukali swego środka ciężkości by stanąć na niem stosownie do dalszych planów i marzeń życia; ale jakiemi były te marzenia? odgadnąć trudno.

Twarz mężczyzny wywiędła, ospowata, biaława, odbijała rażąco od czerwonawych, siwiejących włosów, ktorych płaskie kosmyki obejmowały jego ścieśnione czoło. Wypełzłe brwi, po nad szaremi oczami zaledwo znaczne, czyniły tę twarz przykrą bardzo, nadając jej jakieś dalekie podobieństwo z lisem, kuną, wiewiórką. Wyraz jej był podstępny a chciwy. Jakieś brudne, tajone żądze paliły się w jego wzroku przyćmionym, i mimo woli i wiedzy jego wybijały rumieńcem na twarz i żarem w źrenicy. Rzadki uśmiech jego był podstępny, nadawał ohydne piętno całej fizjonomji, szpecił jeszcze i wykrzywiał rysy ukształtowane znać wpły-

wem nizkich namiętności i stłumionych wybuchów. Dzisiaj człowiek ten wzbudzał wstręt i obawę; coś z niego wołało by go się strzedz i omijać zdaleka, jak zwierzę jadowite. Siedział podparty na stole oświeconym przyćmioną lampą, a oczy jego chmurne i fałszywe spoczywające na dziewczynie, nabierały ludzkiego wyrazu. Jakkolwiek człowiek ten był upodlonym, kochał córkę swoją. Ona zdawała się nie uważać na niego, spuszczała głowę na książkę.

— I cóż tam czytasz Andziu?—zapytał w końcu ochrypłym głosem.

Dziewczyna drgnęła.

— To bardzo zajmująca historja—odparła nie podnosząc oczów.

— Cóż takiego przecież?

— Mój ojcze, to tajemnice Paryża.

— Tajemnice Paryża—odmruknął,—wielka rzecz! i Warszawa ma swoje.

Córka usłyszawszy te ostatnie słowa, spojrzała na niego ukradkiem, z niedowierzaniem, prawie z trwogą; i chcąc może ujść przed spojrzeniem jego lub wypowiadając swą myśl skrytą, mówiła dalej.

— To nie tak piękne jak ostatnia powieść którą czytałam; tam książe żeni się z biedną dziewczyną.

— I cóż to dziwnego—pochwycił z emfazą ojciec; dziś zniknęły już przecież czasy przesądów,

porównały się stany, a każdy jest twórcą swego losu.

Andzia słuchała go poważnie, z uśmiechem; znać słowa te odpowiadały jej myślom.

Ojciec siedział milczący czas jakiś, potem wziął czapkę leżącą w kącie, i wyszedł pogwizdując jakąś nieokreśloną nutę.

Zaledwie dziewczyna znalazła się samą, zmieniła szybko postawę i wyraz twarzy, odrzuciła książkę niecierpliwym ruchem i skoczyła do okna, które oddawna już wzrok jej nęciło. Otworzyła je ostrożnie i wyjrzała na ulicę; ale znać nie dostrzegła tego czego szukała, bo po kilku minutach powróciła na dawne miejsce, wołając „Małgorzato, Małgorzato!“

W tej chwili drzwi w głębi pokoju uchyliły się, i rozczochrana głowa starej kobiety wsunęła się niemi.

— Panienko, czy panienka sama?

— Sama—odparła ze łzami w głosie dziewczyna. A widząc że stara milczała, dodała po chwili gwałtownie.—Nie widziałaś go Małgorzato?

Stara pokiwała głową.

— Ani widać ani słychać panienko, taki już pewno nie powróci więcej.

Andzia załamała ręce.

— To być niemoże Małgorzato, nie mów tak.

Małgorzata uśmiechnęła się złośliwie.

— Panienko, tak zawsze bywa.

— Nie, nie! to obecność ojca odstraszyła go; od dni kilku jak na złość o tej godzinie nie wychodził z domu. Musiałaś nieuważać, on tutaj był pewno.

— Moje stare oczy jeszcze dobrze widzą; nie było go. Ja mówiłam zawsze że się na tem skończy.

— I cóż ja pocznę nieszczęśliwa—zawołała Andzia zalewając się łzami.

Stara patrzała na nią przez chwilę z wyrazem, w którym litość mięszała się z zawiścią. I ona także kiedyś była młodą i piękną, i ją może oszukano także; może teraz zazdrościła drugim darów życia, których uszanować nie potrafiła.

— I cóż ja pocznę—powtarzała Andzia.

— To co i każdy, panienko; zapomni się, przeboli, jak nie jedno w życiu.

Dziewczyna spuściła oczy zarumieniona.

— Ja go nie mogę zapomnieć—szepnęła—on mnie już nie może opuścić.

Małgorzata spojrzała na nią znacząco i wzruszyła ramionami; dziewczyna płakała. Los jej różnił się wiele od losu zaklętych pasterek z romansów, których tyle czytała; a młody człowiek kochany przez nią, nie przypominał niczem szlachetnych książąt co je poślubiali.

Andzia byłato zwyczajna, rozpróżnowana dziewczyna bez opieki i moralnego kierunku; znała świat jedynie z pensjonarskich marzeń, z ro-

mansów, i fałszywych deklamacij ojca. I uwieść się dała pierwszemu lepszemu co stanął na jej drodze, tem łatwiej że olśnił ją bogactwem, wykwintem i nazwiskiem swojem, że znała go od dziecka i przywykła uważać go za wyższą istotę. A teraz opuszczona wyglądała go daremnie.

Długo płakała jeszcze. Małgorzata pocieszała ją po swojemu, a za każdym szelestem, za każdym zbliżającym się krokiem, obie kobiety podnosiły głowy i słuchały z za łez i szeptów.

— Panienko—mówiła służąca—na miłość boską, niechże panienka tak nie płacze! Pan powróci i spyta o przyczynę; cóż my mu powiemy?

Na wspomnienie ojca łzy Andzi płynęły z nową gwałtownością; lękała go się jak dziecko nieposłuszne obawia się kary. Żadne inne poczucie moralne nie powstało w niej dotąd.

A tymczasem człowiek który wzbudzał taką trwogę, przechodził jedną z ulic łączących Marszałkowską z Nowym Światem, gdy niespodzianie, mijając sklep oświetlony, spotkał się oko w oko z Kiljanem. Znał go, bo na widok otwartego czoła i pogodnego spojrzenia młodego człowieka zmięszał się, i jakby unikając go, w bok się rzucił. Może zdziwiony był prostem ubraniem jego, może sam nie dowierzał sobie; bo spoglądał na niego z boku z nieufnością i trwogą prawie.

Nic jednak w postawie Kiljana nie usprawiedliwiało tego uczucia. Przeciwnie, jego bystre oko dojrzało od razu idącego naprzeciw siebie mężczyznę, i ruch jaki uczynił kryjąc się wgłąb cienia; ale nie zważając na to zbliżył się do niego przyjaźnie.

— Jak się masz Ciarkowski—wyrzekł z pewnem odcieniem wzruszenia; cóż to, czy mnie nie poznajesz?

Przez tę krótką chwilę człowiek nazwany Ciarkowskim miał czas ochłonąć z pierwszego wrażenia, i nawzajem powitał Kiljana z tą mięszaniną przybranej swobody i czelności, która stanowiła właściwość jego, a do której teraz dołączało się jakieś uniżenie, które daremnie stłumić usiłował. Znać było, że nawykł szanować i słuchać Kiljana, i nie mógł pozbyć się tego nawyknienia.

— Rzeczywiście—odparł po chwili—trudno mi było poznać pana; niewiedziałem nawet że pan znowu jesteś w Warszawie. Sądziłem że opuściłeś ją na zawsze według życzenia hrabiego Feliksa.

— Nie—wyrzekł młody człowiek—tej myśli nie miałem nigdy; podróżowałem tylko w interesie fabryki w której pracuję. Zresztą sądzę, że nie powinienem więcej już obchodzić hrabiego Feliksa, tak samo jak i on mnie.

Mówił to naturalnie i na pozór tak spokojnie, że Ciarkowski podniósł nieznacznie wzrok na niego, jakby śledząc prawdy tych słów.

— Ale mówmy o tobie Ciarkowski; jakże ci się powodzi?

— Ot tak zwyczajnie, nieźle, to jest jak bywa w biedzie—odparł jąkając się zagadniony, podzielony widocznie pomiędzy uczucie próżności, a niechęć wydania się przed Kiljanem z obecnym dobrobytem.

— Porzuciłeś służbę?

— Tak panie, wolałem inną pracę, któraby nie upadlała człowieka.

Kiljan uśmiechnął się nieznacznie.

— Żadna praca nie upadla—wyrzekł łagodnie; ale do czegoż się zabrałeś?

— Ot tak, z łaski pańskiego ojca nazbierałem trochę grosza, straciłem żonę, zostałem sam z córką.

Nie była to wcale odpowiedź na zapytanie Kiljana, ale on nie nalegał. Ostatnie słowa zwróciły myśl jego na inny przedmiot.

— A Andzia!—pochwycił—musiała wyrość na śliczną dziewczynę.

— Wyrosła, wyrosła! posyłałem ją na pensję—odparł z pewną dumą Ciarkowski,—ciągnąłem się do ostatka by jej dać edukację; umie po francuzku, gra na fortepjanie.

— I cóż z nią myślisz robić?

— Trudno panie, trudno! dziewczyna nie stworzona do pracy, nic nie lubi tylko czytać. Pan sam panie Kiljanie mógłbyś z nią rozmawiać.

— Chętnie bardzo Ciarkowski, radbym ją zobaczył. Gdzież mieszkacie? Czy nie zapomniała o mnie?

— Jakto? pan raczyłbyś—zawołał uradowany Ciarkowski; ale mówiąc to rzucił wzrokiem na ubior młodego człowieka, i dodał prostując się.—A jakżeby miała zapomnieć!

Kiljan nie zwrócił uwagi na urywane sprzeczne mowy dawnego kamerdynera swego ojca. Myśl jego biegła w przeszłość i w niej tonęła. Ciarkowski miał wielką ochotę dowiedzieć się coś o zamiarach i obecnem położeniu jego; ale obejście się młodego człowieka chociaż przyjazne, było tak harde, i tak od razu odkreśliło granice po za które przejść było niepodobna, że zaniechał niewczesnych pytań. Uniósł tylko obietnicę odwiedzenia Andzi, i objąwszy lisim wzrokiem szlachetną postać Kiljana, poszedł w swoją stronę.

Po tem spotkaniu, długo bardzo Kiljan przebiegał gorączkowym krokiem ulice miasta; piersi jego kipiały warem. Dawne pamiątki, zagasłe nadzieje, zabliźnione rany krwawiły się znowu, burząc spokój zdobyty wysileniem woli. Krzywdy zapomniane odzywały się ponurym chórem w piersi jego. Czyż daremnie walczył i pracował lat tyle, by jedno spotkanie i kilka słów marnych mogły umysł jego wytrącić z kolei, i rzucić znowu na straszne manowce ducha, które kiedyś przebywał? Byłże on

dzieckiem tylko mającem słabość zapomnienia, lub człowiekiem dość silnym, by zwalczyć samego siebie i wyjść zwycięzko z próby cierpienia? To pytanie zadawał sobie, a jedyną odpowiedzią było mu przyśpieszone bicie krwi, która szalonem tętnem rozrywała mu piersi i rozsadzała skronie.

Cała przeszłość upiorna zmartwychwstawała w nim i gryzła mu serce. Kalejdoskop wspomnień przesuwał się w myśli jego. Pasował się z niemi długo, aż w końcu obok dawno zamierzchłych postaci poczęła mglić się obecna chwila, i jasna twarz niewieścia. Aż na tle brudnych żądz i ludzi których stał się ofiarą, wypłynęła czysta postać dziewczyny i rozświeciła chmurny widnokrąg pamiątek. I fale wzburzonych uczuć uspokoiły się zwolna. Czegoż mógł żałować, na co się uskarżać, gdy czuł że jedno nieskalane serce biło jednakiem tętnem z sercem jego? czyż mógł się nazwać teraz samotnym i wydziedziczonym na świecie?

Powoli za myślą i kroki jego skierowały się ku Staremu-Miastu. Nie było późno jeszcze, bo wszedłszy na dziedziniec kamienicy na Śto-Jańskiej ulicy, zobaczył oświecone okno na poddaszu,i Cecylję stojącą na swym balkoniku. Dziewczyna pochylona była naprzód, jak gdyby czekała kogoś, a postać jej wdzięczna rysowała się wyraźnie na jasnem tle okna. Nie myślała ukrywać oczekiwania swego,

i usłyszawszy Kiljana nie cofnęła się, ale przeciwnie z bijącą piersią czekała dalej.

Od dnia owego pierwszego wieczoru spędzonego razem w pokoju Cecylji, upłynęło już kilka tygodni. Widywali się choć krótko, ale codzień prawie. On starał się oszczędzać jej przykrości nierozłącznych od jej położenia; w krótkich chwilach wolnych odnosił jej robotę, starał się o inną. Dzięki jemu, spokój i względny dostatek zajaśniał w biednej izdebce dziewczyny, i hrabia Wilhelm nie pokazał się więcej.

To też Cecylja zwracała się do Kiljana jak kwiat do słońca. Ufność jej była bez granic, ale wdzięczność chowała w głębi serca; bo gdy mówić chciała, spojrzenie i uśmiech jego zapierały jej słowa na ustach. Wydawał jej się innym jak świat cały; bo być dobrym i dobrze czynić, zdawało się konieczną potrzebą jego natury, jak gdyby sam był wdzięcznym za sposobność wyświadczenia przysługi. Łagodna powaga jego, pogoda niezachwiana nigdy, miała urok niewypowiedziany; trzeba bylo koniecznie kochać go i szanować.

On także ujrzawszy Cecylję podwoił kroku, i za chwilę na balkonie stały obok siebie dwie postacie.

— Czekałaś na mnie tak długo panno Cecyljo— rzekł młody człowiek wpatrując się w nią z zachwytem.

— Czekałam i niepokoiłam się, nie wiem czemu, jak dziecko; ogarniała mnie trwoga, czy się panu co złego nie stało.

Mówiąc to podniosła wzrok promienny na niego, i dojrzała przy migotliwym gwiazd blasku bladość jego czoła i zmącony wyraz twarzy.

— Nie omyliłam się—zawołała, załamując mimowolnie ręce; pierwszy raz widzę pana takim jak dzisiaj. Co panu jest?

Nie było w tych słowach śladu czczej ciekawości; wymówiła je bez zastanowienia, jak wybuch współczucia i serca, bo rozumiała jak wielką być musi ta wewnętrzna burza, co wypiętnowała mu się aż na twarzy.

— Nic się nie stało, nic mi nie jest—odparł młody człowiek z przymuszonym uśmiechem, przesuwając ręką po czole, jakby chciał zetrzeć z niego ślad bolesnych myśli. Dziewczyna wstrząsnęła głową.

— Przebacz mi pan—szepnęła—nie mam prawa do ufności twojej;ale—powtórzyła smutnie wpatrując się w niego—ja się nie mylę.

— To prawda—odparł Kiljan po chwili wahania czy wewnętrznej walki; masz pani słuszność—cierpiałem.

To była pierwsza skarga jaka wyszła z ust jego, pierwsze słowa o sobie samym. Zamilkł, wsparł czoło na ręku, i tak zostawał czas jakiś zwyciężony

wspomnieniami czy współczuciem, ogarnięty parną, rozstrajającą atmosferą letniej nocy. Hart jego ducha topniał widocznie.

Gdy podniósł głowę, Cecylja stała zapatrzona w niego jak w tęczę, a bladość jego przeszła na jej lice.

— Cierpiałeś pan—wyrzekła zwolna, nieśmiało, jak gdyby mówiła pomimo chęci, parta uczuciem silniejszem od woli, a lękała go się zadrasnąć; cierpiałeś, pan co tak umiesz panować nad okolicznościami, i we wszystkiem upatrzyć słodycz i pociechę.

On uśmiechnął się lekko.

— Ja wiem że to nikczemność ducha tak się dać zwyciężyć złym wspomnieniom. A jednak...

Nie skończył słów zaczętych i zamyślił się znowu, patrząc na głęboką kopułę nieba migającą tysiącem świateł, jak gdyby im zazdrościł niezachwianej pogody, którą postawił za ideał dla myśli i uczuć swoich. Ale na próżno; duch jego uniesiony niewidzialnym prądem, cofał się w przeszłość uparcie, tak że nawet te dwie zbawcze gwiazdy, błyszczące nad nim w jasnej twarzy Cecylji, nie mogły zupełnie oderwać go od niej. W tej chwili lekka chmura przesłoniła niebo i przeszła bez śladu.

— Czemuż—mówił dalej Kiljan—przeszłość wpija się w najtajniejsze głębie istoty naszej, i tam tkwi nieubłaganie, wracając w danej chwili do myśli i na usta? czemu nie przemija pod tchnieniem czasu,

nakształt tego obłoku wiatrem przegnanego, nie mącąc ducha tak samo, jak te nizkie pary nie zdolne są zmięszać się z promieńmi co błyszczą po nad niemi!

— Czyż tak być powinno?—wyrzekła Cecylja—człowiek wyrabia się pod ręką okoliczności. Bez tego coś pan przechodził wczoraj, czy byłbyś tem czem dziś jesteś?

— To prawda—odparł—jestem niewdzięcznym względem losu. Ale dla czegoż pamięć mięsza mi obecną chwilę, dla czego myślą przychodzi odcierpieć mi znowu to co przebolałem już dawno? A jednak, gdyby to nawet było w mocy mojej, nie wyparłbym się przeszłości, nie przeinaczył jej wolą moją. Bądź jak bądź, onato z rozpieszczonego dziecka zahartowała mnie na człowieka.

— Więc czegoż pan żałujesz—spytała, i umilkła nagle. Przyszło jej na myśl, że wśród tego życia nieznanego jej,on zostawił może miłość jaką i dotąd może nosi w głębi piersi serdeczną ranę, wiecznie krwawą, wiecznie palącą.

Kiljan spojrzał na nią i zrozumiał jak zawsze, bo trwoga i boleść żadna nie miały dla niego tajemnic. Przez chwilę wpatrywał się wgłębie jej źrenic utkwionych w niego tak ufnie, a tak przejrzystych, że na nich myśl każda wypisywała się wyraźnie. Wyciągnął rękę i dłoń jej pochwycił w swoje dłonie, niby rozbitek czepiający się zbawczej kotwicy.

Milczał długo, a gdy przemówił, głos jego był drżący i łagodny jak szept miłości.

— Posłuchaj pani i osądź sama, co z tej przeszłości mogło pozostać mi w sercu; otworzę ci głąb piersi mojej spustoszonej przez wszystkie zawody, jakich człowiek doświadczyć może, a jednak bijącej zawsze jednakiem tętnem. Ja nie chcę by przeszłość moja chowała ci jakąbądź tajemnicę, bo ciebie kocham Cecyljo, całą potęgą istoty mojej.

Ręka którą trzymał ścisnęła jego rękę, wzrok dziewczyny zatonął w jego oczach z zachwytem niepokalanej miłości—i to było całą jej odpowiedzią.

On nie potrzebował pytać o więcej; oboje rozumieli się oddawna. A jednak w tej uroczystej godzinie, gdy serca i życia tych dwojga wzgardzonych łączyły się świętym węzłem; gdy te dwie dłonie bez skazy zespoliły się uściskiem, w duchach ich zapaliła się jasność tak czysta, tak wielka, że wszystko dawne zagasło w niej na zawsze. Od tej chwili zjednoczeni wszechwładną potęgą uczucia, zbrojni ufnością bez granic i wiarą wzajemną, wsparci jedno na drugiem, spojrzeli zgóry na nędze życia, odetchnęli pełną piersią rajską atmosferą szczęścia, i zapanowali nad marnemi warunkami świata całą siłą ludzi, co doszli do celów przeznaczeń swoich, i pełnego rozwicia wszystkich władz duchowych.

I oni pokrzywdzeni, odrzuceni przez ludzi, oni co przeszli przez wszystkie piekła życia, co doznali obłudy, zdrady i podłości, zapomnieli na raz gorzkich doświadczeń swoich; a zwątpienie żadne, żadna przyszła trwoga nie zmąciła im tej błogosławionej chwili.

— Kocham cię Cecyljo—powtórzył Kiljan, opasując ramieniem jej kibić, i przyciskając ją do piersi; kocham cię i błogosławię czas miniony, który mi podobną chwilę zgotował. Wszak powierzysz mi życie swoje?

— Życie i przyszłość—powtórzyła patrząc na niego promiennem okiem; gdzie zechcesz, gdzie mnie zawiedziesz, pójdę bez trwogi, choćby podzielić mi przyszło zawody i bóle, choćby skonać mi przyszło.

On przycisnął ją mocniej do siebie, ale słowa te zupełnego oddania się nie zdziwiły go. Uczucie jego było tej samej miary. Więc rzekł poważnie, chociaż głos drżał mu na ustach.

— Masz słuszność Cecyljo moja, łączymy się na złą i dobrą dolę. Ja wiem, że znajdę w tobie osłodę w pracy, pomoc w potrzebie, odwagę w walce, wiarę, ufność i przebaczenie; ja wiem, że na twojem sercu jak na opoce wesprzeć się mogę.

— Kiljanie! ja będę tobie tem wszystkiem czem zapragniesz, ja nie uczuję nawet bólów życia zapatrzona w ciebie.

Umilkła—i tylko gwiazdy co patrzyły na nich, były świadkami cichych łez rozkoszy, płynących po jej twarzy zrumienionej pierwszem wyznaniem. Serce przy sercu biło silnie, jednozgodnie, i zdało się, że z za tych gwiazd brylantowych spoglądał wszechwładny archanioł miłości, i spłynął pomiędzy nich w promiennej chwale. I nastała cisza długa, jak gdyby czuli wkoło siebie obecność nieśmiertelnego.

Kiljan przerwał ją pierwszy.

— I nie zapytasz mnie o nic Cecyljo?—wyrzekł, ani nawet o tę przeszłość?

— Cóż mi ona znaczy? musiała być szlachetną skoro wyrobiła cię takim jakim dziś jesteś. A zresztą jakiebądź były minione fakta, ja teraz kocham ciebie.

On uśmiechnął się z zachwytem na ten wyraz bezwarunkowej wiary; tylko to jedno serce do niej zdolne było. Wsparty taką miłością czuł się dumnym, wielkim, szczęśliwym, jak prawdziwy pan świata.

— A jednak—odparł—przeszłość moja także do ciebie należeć musi; oddaję ci się cały z tem dziedzictwem życia. Chociażbyś chciała nawet odrzucić je, nie możesz.

— Ja nic nie odrzucam—pochwyciła; masz słuszność, to co jest twojem mojem także być powinno. Ze wspólnego życia, ni wspomnienia ni myśli za-

dnej wykluczać nam nie wolno. Mów mi o sobie Kiljanie; jeżeliś cierpiał, ja mam prawo do cierpień twoich, do win jeżeliś przewinił, do szczęścia i miłości jeśliś był kochanym.

— Nie byłem kochanym nigdy—odparł Kiljan wstrząsając głową.—Ale posłuchaj przeszłości mojej, to powieść długa i bolesna; ja raz zażegnać muszę sercem twojem to widmo wspomnień, które dotąd nieraz kłóciło mi obecność.

I z ręką w jej ręku, z oczami zatopionemi w jej oczach—mówić zaczął.

— Powiedziałem ci nazwisko moje Cecyljo; i szanowałaś dalsze milczenie moje, chociaż nazwisko to musiało budzić twą ciekawość. Jestem synowcem hrabiego Feliksa Horeckiego, jedynym synem brata jego Juljusza, dziedzicem całego majątku który posiada. Zrodziłem się w zbytku, chowałem w złotych pieluchach, do lat ośmnastu zaznałem same rozkosze.

Matki mojej nie znałem nigdy, niewiem nawet jej pochodzenia, ojczyzny, nazwiska z rodu. I tutaj plącze się węzeł mego losu. Zato ojciec był mi ojcem i matką zarazem; w pierwszych nawet latach dzieciństwa, nie poczułem straty mojej, nie doznałem braku matczynej opieki. Ojciec zastąpić ją umiał. Pierwszy wiek mój spędziłem w nieustannych podróżach, bo zdało się, nie było kąta ziemi, którejby ojciec mój nie zwiedził przez długie lata

koczującego życia. Przebiegał on na przemian kipiące warem zwrotnikowe strefy, i ponure bieguno-we kraje. Niepokój wewnętrzny, smutek nieuśpiony niczem, zdawał się gnać go jak wiecznego tułacza z miasta do miasta, i z kraju do kraju. Ni dziewicze lasy Nowego Świata, ni południowa Europa zdobna cudnym klimatem i cudami cywilizacji, ni wyspy rozkoszne rozsiane po oceanie Australskim, nie zdołały zatrzymać go czarem swoim w tej wędrówce bez celu ni kresu. Ogromny majątek pozwalał mu zadość uczynić wszystkim fantazjom czy potrzebom znękanego ducha; bo odkąd go zapamiętam, był poważnym i smutnym bardzo, a czoło jego surowe rozjaśniało się dla mnie tylko jednego Jam był całą miłością jego, jedynym uśmiechem życia.

Chociaż sierota, byłem szczęśliwym; czułem się troskliwie, rozumnie, niewypowiedzianie kochanym. A czyż dziecku więcej potrzeba? Wzrastałem wśród różnych krajów, scen, klimatów, zawsze pod tą opieką która przewidzieć umiała potrzeby i prawie chęci moje; rozwijałem się pod jej wpływem, umysł mój był szybki i jętny.

O matce niemówiono mi nigdy. Raz tylko z nieoględnością dziecka rzuciłem ojcu znienacka pytanie, gdzie była matka moja, i pamiętam dotąd tę chwilę i wywołane wrażenie. Ojciec mój zadrżał cały, i zakrył twarz rękami; czas jakiś zdawał się

pasować sam z sobą, a ja pojąłem że cierpiał, i obejmując kolana jego, bo wyżej dostać nie mogłem, tuliłem się do nich z płaczem. Wówczas on przygarnął mnie do siebie silnie, namiętnie; podniosłem głowę, spojrzałem w twarz jego—był bladym bardzo.

— Matka twoja jest w niebie, Kiljanie,—rzekł głosem w którym łzy drżeć się zdawały—ty jeden zostałeś mi po niej.

Odtąd nie pytałem go już nigdy więcej. Bo chociaż dziecko, wychowany pod cieniem cierpienia rozumiałem, że są struny których nie dotyka się bezkarnie. Oto wszystko co wiem dotąd o matce mojej, oto co mi po niej zostało.

I dobył zawieszony na szyi złoty medaljon. Była w nim minjatura zatarta, wypełzła, przedstawiającą młodą kobietę piękną jak marzenie. Farby straciły świeżość barw, róże zeszły z jej ust i liców, i twarz ta podobną była do sennego widziadła. Zdawała się wizerunkiem wiotkiego ducha bez krwi, o alabastrowych rysach, a nie portretem żywej kobiety. Tylko oczy wielkie, czarne, świeciły namiętnym a słodkim blaskiem z za długich rzęs, z za ciemnych powiek, z jakimś wyrazem smutnym a głębokim, jakby przeczuwały, że tak prędko zagasnąć im przyjdzie. A wejrzenie to miało urok tak dojmujący, że można było zapatrzeć się w nie bez końca, i nie zapomnieć go nigdy. Na szafirowo

kruczych włosach zarzucona hiszpańska mantyla, równie jak oczy i barwa włosów świadczyć się zdawała o pochodzeniu południowem.

— Ten wizerunek—mówił dalej Kiljan—znalazłem na piersiach umarłego ojca; to cała moja spuścizna! To też w dniach nędzy, zwątpienia i głodu nawet, nie rozstałem się z nim nigdy.

Umilkł, przez chwilę wpatrując się w minjaturę; ale nie zważając na wzruszenie swoje, jakby oddawna przywykł nad niem panować, ciągnął dalej opowiadanie.

— Kończyłem lat siedmnaście, gdy mój ojciec wrócił do Polski. Tu po raz pierwszy poznałem hrabiego Feliksa i jego rodzinę. Dotąd pomiędzy nim a bratem stosunki były zimne bardzo, z powodu dawnych zajść, których historji nigdy nie znałem dokładnie. Podobno większą część rodzicielskiego spadku zagarnął hrabia Feliks, korzystając z nieobecności brata. Za powrotem swoim jednakże, ojciec mój zastał go zrujnowanym prawie zupełnie; nierząd, rozpusta i zbytki roztrwoniły źle nabytą fortunę. Widząc to ojciec mój, zapomniał przeszłości; nieszczęście brata zbliżyło go do niego. Nietylko ofiarował mu dom swój, przypuścił do świetnego życia jakie prowadził, ale serce jego szlachetne, niepomne uraz, otworzyło się znowu dla rodziny.

Bo też w Feliksie znalazł najczulszego brata; tak, że nieraz patrząc na stryja zadawałem sobie pytanie, jak on mógł przebyć bez mego ojca długie lata życia? Ja byłem ulubieńcem stryjostwa; kochali mnie więcej niż wszystko, więcej niż własne dzieci nawet. On nieustannie chciał mnie mieć przy sobie, ona chciała mi zastąpić matkę. Wilhelm zdawał się zgadywać myśli moje, przewidywać życzenia; a Amelja—nad Amelję ja nic nie widziałem na świecie całym.

Byłem bardzo szczęśliwy. Pieszczoch ludzi i losu, wierzyłem wszystkim i wszystkiemu. Bo i dla czegoż wierzyć nie miałem? nikt dotąd nie zawiódł mnie, nic przeniewierzył mi się nigdy. Wyciągałem do świata otwarte ramiona i serce pełne a spragnione. Nie wiedziałem nawet co to fałsz, podłość, obłuda; uczucia moje były czyste, życie uśmiechało mi się w poranku swojem, pragnienia zamieniały się w czyn, marzenia stawały się faktem. Dotąd na mojem niebie nie było cienia chmurki nawet.

To też wzrok mój błyszczał radością, uśmiech nie schodził z ust; ślizgałem się po powierzchni życia z nieporównaną swobodą ducha, nie przewidując, jak dziecko, ukrytych przepaści jego. Byłem szczęśliwy, i szczęście to rozlewać musiałem w koło siebie, bo nieraz promień jego padał na poważne oblicze ojca i rozchmurzał je. Znajomości moje były

liczne; gdziekolwiek zwróciłem się, wszyscy byli mi przyjaciołmi. A jednak domowe koło najwięcej miało dla mnie uroku, bo tam była Amelja...

Kochałem ją. Niech słowo to nie przeraża cię Cecyljo; miłość ta przeszła dawno, niepowrotnie, bo ona sama ją zabiła. A dziś, gdy ją sądzę zdaleka, gdy z rozwagą człowieka wspominam namiętność dziecka, dziś ja tego uczucia nawet miłością nazwać nie śmiem. Ale wówczas miałem lat ośmnaście, serce moje rwało się do współczucia, kipiało warem żądz młodzieńczych. Amelja chociaż starsza odemnie, była piękną, zręczną, znała serca ludzkie i sposób podbijania ich; majątek ojca mego był ogromny, ona nie miała posagu... Późno bardzo grę jej zrozumiałem, w chwili nieszczęścia dopiero. Podbić mnie, było dla niej łatwą igraszką; pragnąłem kochać, i rozmarzony, upojony, poddałem jej się bez wahania, uwierzyłem jej spojrzeniom, słówkom, obietnicom.

Kochałem ją—jednak tej miłości nie wyjawiłem jeszcze ojcu, chociaż nie przyszło mi nigdy przez myśl, by on mógł się sprzeciwić zamiarom moim poślubienia Amelji. Wszakże tworzyliśmy nietylko jednę rodzinę, ale dom jeden nawet. Ulubieniec losu od kolebki, nie pojmowałem nieszczęścia, a gromu, który tak nagle we mnie uderzył, nie byłem długo w stanie zrozumieć.

Tu zatrzymał się, zbierając myśli czy siły na bolesne wspomnienia; ale po chwili mówił znów spokojnie.

— Było to na wiosnę. Niezwykle gorące słońce w maju dopiekało już upałem; za kilka dni, według zwyczaju, mieliśmy opuścić Warszawę, i wyjechać na wieś. Tam dopiero chciałem odkryć ojcu tajemnicę mego serca, której strzegłem dotąd z dziecinuną skrytością pierwszej miłości. Namiętność wrzała w piersi mojej, a jednak myśl sformułowania jej przed kim bądź na świecie, przejmowała mnie zimnym dreszczem. A ilekroć mówić chciałem, nie znajdywałem ni głosu ni słów, bo żadne do miary uczuć moich nagiąć się nie chciały. Milczałem więc ukrywając mój skarb serdeczny, bo zdawało mi się, że ojciec nawet mógł zranić mnie niebacznem słowem lub uśmiechem; że każda obca ręka zetrze z kwiatu mej miłości pył i wonie—i wstyd jakiś niewytłumaczony zamykał mi usta.

Powoli towarzystwo każde stało mi się uciążliwe. W chwilach, których nie mogłem spędzać z Amelją, lubiłem błąkać się bez celu, z myślą o niej tylko, bo ta nie odstępowała mnie nigdy.

Dnia jednego, po zwykłej samotnej przechadzce wieczorem, wcześniej niż zwykle wracałem do domu. Jakiś niepokój dziwny opanował mnie, bez przyczyny śpieszyłem się, i pierwszy raz w życiu trwożyłem się czegoś. Pamiętam wszystko dokładnie,

jakby to wczoraj było. Powietrze było duszne i parne, niebo miało jakiś ciemny, miedziany koloryt w którym gasły łuny zachodu. Błyskawice bez grzmotu nieustannie przebiegały ciężkie chmury. Szedłem ku domowi, gdy ujrzałem powóz ojca pędzący cwałem. Zaledwie miałem czas to zauważyć, gdy jeden z naszych służących biegnąc prawie naprzeciw mnie, potrącił mnie, i nie poznawszy w mroku wieczornym, biegł dalej nie słysząc pytań moich.

Są chwile w życiu w których najmarniejsze wypadki zdają się sprzymierzać przeciwko nam. Gdyby ten człowiek wówczas był przemówił do mnie!...

Zaniepokojony wszedłem w bramę pałacu naszego. Była otwartą, szwajcar opuścił swoje stanowisko. Co to znaczyło wszystko? chciałem zapytać, kierowałem się ku gankowi—gdy nagle w jednem z okien ujrzałem białą postać wychyloną, czekającą na mnie. Zapomniałem o wszystkiem. Ona skinęła; wszedłem bocznemi drzwiami, a ona przez korytarze puste w tej chwili, powiodła mnie w głąb ogrodu.

Czy to wszystko było wypadkiem ślepego trafu? Czemuż wówczas nie spotkał nas ktokolwiek, chociażby ostatni posługacz ludnego domu!

Jam nie pamiętał na nic, trzymając rękę Amelji, zapatrzony w jej oczy, poraz pierwszy może zupełnie sam na sam z nią w tej niepewnej godzinie mroku. Poraz pierwszy slysząc jej wyraźne wyznania,

wśród upajającej woni egzotycznych kwiatów rozstawionych w około, siedząc przy niej na marmurowej ławce, klęcząc u jej kolan pod blaskiem błyskawic, zapominałem że świat istnieje, że prócz nas dwojga są inni ludzie na ziemi. Ona pozbyła się ostrożności czy dumy zwykłej; była trwożna, miękka, łzawa jak nigdy. Wówczas przysięgliśmy sobie, że żadna potęga rozdzielić nas nie potrafi; przysięgliśmy żyć dla siebie, i umrzeć dla siebie, chociażby świat cały przeciwko nam powstał. A świadkami słów tych było niebo okryte złowrogiemi chmurami, prute błyskawicami, i wicher gorący jak samum pustyni. Porywał przysięgi nasze, i zdawał się nieść je gdzieś w głębie nieskończoności, czy w przepaść zapomnienia.

Tymczasem w oknach pałacu zapalały się i gasły światła, przenoszone snać bezładnie z pokoju do pokoju. Przez okna otwarte dochodziły szmery, gwary, łkania nawet. Nie zważałem; w uszach moich brzmiała tylko upajająca muzyka jej głosu, jej słów miłosnych nie mierzonych tą światową normą, która nawet bicia serca zagarnia pod władzę swoją. Widziałem tylko jej delikatne kształty, niby posąg alabastrowy ożywiony ogniem mojej piersi, niby duch siłą pragnień niebu wydarty.

Straszne były te chwile—jak gdyby los przez okrutną igraszkę chciał postawić mnie u szczytu marzeń, by potem strącić bardziej z wysoka.

Niebo i burza zdawały się mi grozić, ostrzegać; jam nie zważał. A jednak serce konało mi w piersi z nadmiaru szczęścia czy z tajemniczego przeczucia, jak gdybym po za jej słowami słyszał niewyraźne jęki i głos jakiś, co mnie wołał rozpacznie. Była chwila nawet w której głos ten wydał mi się tak wyraźnym, że porwałem się z przed jej stóp. Kiljanie,—szepnęła Amelja nie puszczając rąk moich, i oglądając się trwożnie.

Ale jakby na odpowiedź, kroki jakieś dały się słyszeć w pobliżu. Zanim obejrzeć się zdołałem, ona zniknęła jakby zdmuchniona wiatru powiewem. Byłem sam, a naprzeciw mnie ukazała się idąca od pałacu poważna postać. Poznałem ją. Był to doktór, stary przyjaciel naszej rodziny. Przy migotliwem świetle błyskawic ujrzałem twarz jego pobladłą. On także zdziwił się widząc mnie tutaj, i zatrzymał się jakby niedowierzał własnym oczom.

— Co tu robisz Kiljanie—zapytał smutnie, surowo prawie—miejsce twoje jest przy konającym ojcu; chodź!

— Przy konającym ojcu!—powtórzyłem jak gromem rażony, i stałem w miejscu topiąc w nim źrenice obłąkane, bo nie zrozumiałem nawet zrazu co chciał powiedzieć.

On zbliżył się do mnie i wziął za rękę.

— Czyż nie wiesz że ojciec twój umiera?—spytał z szorstkością i niemiłosierdziem ludzi nawykłych do patrzenia na śmierć i cierpienie.

Wstrząsnąłem się cały, ale oprzytomniałem nagle. Cios ten zbudził mnie z upojenia rozkoszy w którem się znajdowałem. Ale nie odpowiedziałem nic; pytanie jego nawet nie przedstawiało myśli mojej żadnego sensu wyraźnego. Mogłżem znać niebezpieczeństwo ojca i nie być przy nim?

Ale doktor nie zrozumiał milczenia mego, i pytał dalej.

— Czy sam byłeś Kiljanie?

W istocie fakt ten, żem znalazł się w głębi pałacowego ogrodu, a nie dowiedział się od nikogo o nagłej chorobie ojca, nie spotkał żadnego z szukających mnie ludzi, mógł zdawać się niemożliwym. Ileż razy w życiu przychodzi nam się przekonać, iż rzecz najmniej prawdopodobna jest właśnie rzeczywistością!

Ale teraz ja prawdy nawet powiedzieć nie mogłem bez narażania Amelji i tajemnicy naszej; zresztą nie miałem chęci ni woli próżnego usprawiedliwiania się, bo myśl o umierającym opanowała mnie samowładnie. Doktor mógł mnie potępić jako wyrodnego syna; i cóż mi to znaczyło? Ja biegłem jak szalony do pokoju ojca.

Leżał rozciągnięty na łóżku, z głową wysoko wspartą o poduszki; mrok śmierci zalegał jego szlachetne czoło, ręce obnażone były pokłute, zbroczone skrzepłemi kroplami krwi, którą na próżno puścić usiłowano. Napadem apopleksji rażony, padł

na wschodach swego pałacu. Przywołani lekarze zaledwie zdołali na kilkanaście minut powrócić mu przytomność. Te niepowrotne chwile ja straciłem z Amelją. Teraz cały prawie fakultet Warszawski zgromadzony w przyległym salonie naradzał się półgłosem, ale snać żadnej nie mieli już nadziei.

Hrabia Feliks stał obok brata, rękę jego kostniejącą trzymał w swoich rękach, i nachylony do ust jego zdawał się chwytać ostatnie urywane słowa jakie z nich wychodziły. Oczy umierającego krwią nabiegłe, zachodzące bielmem śmierci, miały ten straszny wyraz niepokoju, który cechuje zwykle wzrok konających. Ale w oczach ojca mojego tkwiło coś więcej jeszcze, coś jakby niepokój i troska doczesna. Bo gdym wszedł, źrenice jego ożywiły się wyraźnie, duch zapanował przez chwilę nad obumarłemi zmysłami, i posłużył się niemi raz ostatni. Poruszył ustami, ale daremnie, dźwięk żaden z nich nie wyszedł; tylko oczy w których się resztka życia skupiła, z twarzy brata przeszły na mnie z nieopisanym wyrazem miłości,jak gdyby tem ostatniem spojrzeniem polecał mnie jeszcze opiece i sercu jego.

Jam się rzucił ku niemu, i klęcząc przy nim cisnąłem do ust ręce jego; ale ręce te były już zimne i sztywne.

Co dalej działo się zemną, nie wiem dokładnie; oderwano mnie od zwłok ojca, czuwano jak nad

szaleńcem. Byłem doprawdy szaleńcem! po raz pierwszy ujrzałem oblicze nieszczęścia. Odtąd miałem widywać je codzień.

W tej pierwszej chwili buntowałem się przeciw złemu, które mnie spotykało; nie mogłem znieść tej myśli żem stracił ojca, nie odebrawszy nawet pożegnalnego uścisku ni błogosławieństwa jego.

Jak długo zostawałem w stanie nawpół obłąkania nawpół bezczucia? nie [illegible]m zrazu zdać sobie sprawy.

Kiedym po raz pierwszy spojrzał wkoło przytomnem okiem, leżałem w łóżku w moim sypialnym pokoju; ale na próżno szukałem obok siebie przyjaznych twarzy, które dawniej przy lada słabości, otaczały mnie z taką troskliwością. Nie było ni stryja, ni stryjenki, ni Amelji, ni Wilhelma nawet. Dzwoniłem, nie przyszedł nikt; wołałem, nie odpowiadał mi głos żaden. Byłem opuszczony, zapomniany, ja na którego skinienie zbiegał się dawniej dom cały. Co to znaczyło? pojąć nie mogłem.

Nareszcie drzwi mego pokoju skrzypnęły lekko, i ukazała się w nich główka Andzi, dziesięcioletniej córki zaufanego kamerdynera ojca mego, którą ja bardzo lubiłem i często darzyłem cukierkami. Widząc że miałem oczy otwarte, dziewczynka wsunęła się do pokoju.

— Czy pan nie potrzebuje czego?—spytała.

— Gdzież jest twój ojciec, gdzież wszyscy?—zawołałem z despotyzmem człowieka nawykłego do rozkazywania.

Andzia potrząsnęła główką.

— Wszyscy są na pogrzebie pana hrabiego— szepnęła smutnie; mnie tutaj kazali pilnować czy pan nie będzie chciał czego.

Zakryłem twarz rękami. Na wstępie samem dawało mi się czuć sieroctwo. Chciałem zapłakać—nie mogłem. Piersi tłoczył mi ciężar nad siły.

W tej chwili nie zastanowiłem się nad tym niepojętym faktem, że opuścili mnie wszyscy tak dalece, że nawet nad chorym jeszcze, zlecono straż temu dziecku, jakby z miłosierdzia nad jakim żebrakiem. A Amelja? Amelja która mi wydarła ostatnie chwile ojca, czyż ona nie powinna była być przy mnie!

To wszystko przyszło mi na myśl później dopiero; wówczas, z mowy Andzi zrozumiałem to tylko, że w tej chwili właśnie odbywał się pogrzeb, że miejsce moje było przy trumnie zmarłego.

Powstałem z trudnością, ubrałem się nie zważając że nie pomyślano nawet o żałobnych dla mnie szatach, i wyszedłem. Służba cała była w rozstroju; nie znalazłem ani koni ani powozu mego. Czas naglił, głos dzwonów Śto Krzyzkiego kościoła odzywał się przeraźliwie aż w głębi ducha mojego. Spieszyłem Nowym Światem przeciskając się z trudnością przez tłumy zalegające ulicę. Potrzebowa-

łem zobaczyć jaką twarz kochaną, uścisnąć dłoń przyjazną, zahaczyć się o coś sercem, chociażby o tę trumnę, którą grzebać miano, bo jakiś dreszcz mroźny ściskał mi piersi.

Spotkałem orszak żałobny wychodzący z kościoła, i przyłączyłem się do niego. Było tam wszystko na co świat zdobyć się może, by otoczyć okazałością ten ostatni pochód człowieka. Ośm koni ciągnęło wóz żałobny poprzedzony niezliczonym szeregiem księży; dym pochodni ćmił światło dzienne, żałobne pieśni zmięszane z odgłosem dzwonów, głuszyły wszystko. Stryj mój, w grubej żałobie, wraz z Wilhelmem szedł tuż za ciałem. Zbliżyłem się— spostrzegł mnie, bo jego kose oczy biegały nieustannie wkoło z widocznym niepokojem. Napróżno stroił twarz w wyraz boleści, wzrok zdradzał go. Spostrzegł mnie, i licom jego nagle zabrakło krwi; zachwiał się i wsparł na ramieniu syna. To trwało zaledwie mgnienie oka; obecni pomyśleli pewno, że żal po bracie zwyciężał siły jego. Ale po chwili odzyskał panowanie nad sobą; krwisty rumieniec oblał mu czoło, i nie zatrzymując się, wyminął mnie jakby obcego człowieka stojącego mu na drodze; a w przelotnem spojrzeniu które mi rzucił, było zdziwienie, wstręt, trwoga, i nawet coś, co chciało być pogardą. Potem szedł dalej, niby nie zważając na obecność moją; tylko gromnica drżała mu w ręku.

Zrazu nie zrozumiałem tego; wszakże w tym smutnym dramacie śmierci, pierwsze miejsce mnie się należało prawem nieszczęścia. Cóż stanąć mogło pomiędzy mną a ciałem ojca? kto śmiał mnie od niego oddzielać? Ale wówczas ujrzałem tysiące spojrzeń skierowanych ku mnie, tysiące szeptów przebiegło powietrze. Wkoło mnie były wprawdzie twarze znajome; tylko wyraz tych twarzy tak różnym był od tego z którym zwykli mnie byli witać, żem nie wiedział,czy otaczało mnie grono przyjaciół czy też obcych ludzi. Z kolei spojrzałem po sobie; wówczas dopiero spostrzegłem żem nie był w żałobie. Ja jeden osierocony, nie nosiłem widomego znaku sieroctwa. Czyż to wystarczało by odłączyć mnie od grona krewnych, by pozbawić współczucia przyjaciół? A zresztą, jeśli tu uchybiłem formom przyjętym, czyjaż w tem była wina? Czy dla tego serce moje mniej zakrwawionem było?

Wówczas miałem jeszcze ośmnastoletnią naiwność; sądziłem, że świat może patrzeć w istotę rzeczy, a nie na zewnętrzną formę. Nie wiedziałem że ludzie widzą to tylko co chcą zobaczyć, to co im jest wygodnem i poręcznem. To wszystko leżało dopiero w przyszłości mojej, tego wszystkiego nauczyć mi się trzeba było.

Tak odprowadziłem zwłoki ojca do grobu. Pierwsze wrażenie opuszczenia ominęło mnie szybko;

w tym smutnym pochodzie zapomniałem o ludziach co mnie otaczali, o wszystkiem co ojcem moim nie było. W sercu mojem, w obec tylu niechętnych, świeciła wielka miłość zmarłego, i w sierocym żalu stopiły się wszystkie inne uczucia.

I już nie wiem czy hrabia Feliks ustąpił mi z drogi przy grobie, czy odsuwano się czy zbliżano się do mnie, w czasie gdy na własnych barkach niosłem trumnę ojca z żałobnego wozu na ostatni spoczynek. W obec boleści mojej świat i ludzie istnieć przestali.

Dopiero gdy się obrzęd zakończył, gdy przebrzmiały żałobne mowy i zamknięto ciężkie drzwi rodzinnej naszej kaplicy, gdy tłum znajomych i ciekawych opuścił cmentarz, obejrzałem się—byłem sam jeden. Wówczas uczucie osamotnienia ogarnęło mnie straszne, nieubłagane, i opierając czoło o marmur kaplicy, zapłakałem palącemi łzami.

Długo tak zostawałem nie mając siły oderwać się od martwego kamienia, który w tej chwili mniej zimnym mi się wydawał niż ludzie otaczający mnie tak niedawno. Nie miałem odwagi pomiędzy nich powracać, czułem instynktownie że ze śmiercią ojca zerwał się jakiś łańcuch, łączący mnie ze światem; ale zdać sobie z tego sprawy dokładnej nie mogłem jeszcze. Nie wiedziałem że ja, syn jego jedyny, dziedzic ogromnego majątku, zaręczony sercem z ukochaną kobietą, naraz jeden straciłem więcej

niż to wszystko, stałem się Parjasem społeczeństwa, przestałem mieć rodzinę, nazwisko i dach nad głową—jeślim go zawdzięczać nie chciał litości ludzkiej, lub okupywać podłością.

Powróciłem do domu machinalnie. Dotąd nie wiem jak i kiedy znalazłem się znowu w pałacu. Słudzy wszyscy przybrani w żałobną liberję, zapomnieli powstać gdym przechodził; nie byłem w stanie zważać na to. Serce moje przepełnione, wezbrane, potrzebowało współczucia lub samotności przynajmniej. Znalazłem ją w apartamencie moim. Ani stryj ani nikt z rodziny nie przyszedł podzielić rozpacz moją; jam ich też nie szukał.

Nad wieczorem dopiero, zastukano do drzwi moich, i niemeldowany wcale wszedł prawnik zajmujący się interesami ojca mego. Znałem go zdaleka, wiedziałem że prawość jego powszechnie cenioną była. Wszedł, i popatrzył chwilę na twarz moją bladą i znękaną, z głębokim smutkiem; a potem, jakby pchnięty mimowolnym uczuciem, wyciągnął rękę, i ścisnął dłoń moją szczerze, gwałtownie. Byłato dla mnie pierwsza oznaka współczucia; serce moje zmiękło, i gotów byłem rzucić się jak dziecko na piersi tego obcego człowieka, który przecie okazał mi twarz ludzką i ludzkie uczucie.

Wyraźnie miał on coś do powiedzenia mi, bo stosunki nasze nie były dość poufałe, by upoważniały go do prostych odwiedzin. Chociaż mało obe-

znany z biegiem interesów materjalnych, miałem jednak jakieś wyobrażenie, że majątek każden wymagał dopełnienia pewnych formalności; dla tego wskazałem miejsce gościowi memu z pewną wdzięcznością, że przy suchych formach prawnych potrafił zostać i pokazać mi się człowiekiem.

Prawnik usiadł, a ja czekałem w milczeniu aż mnie sam objaśni o powodach przyjścia swego. Widocznie jednak przychodziło mu z trudnością rozpocząć rozmowę, bo przez czas jakiś spoglądał po kolei na mnie i na portret ojca wiszący na ścianie, jak gdyby badał twarz moją i twarz zmarłego.

— Przebacz mi pan—rzekł w końcu niepewnym głosem, jakby zdziwiony żem go przyjmował milczeniem, i nie domyślał się z czem przyszedł do mnie;—przebacz mi pan, jeżeli poważę się uczynić kilka niezbędnych zapytań.

— Mów pan—odparłem.

— Przysłany tutaj jestem od hrabiego Feliksa—mówił dalej powolnie, wyraźnie badając wrażenia jakie słowa jego czyniły na mnie—ale wrażeniem jedynem było zdziwienie. Badania zdawały mi się nie na czasie, nie w miejscu; jednakże słuchałem dalej w milczeniu.

— Czy pan byłeś przytomnym ostatnim chwilom ojca?

7*

Na te słowa krew gwałtownie uderzyła mi do twarzy, bo te minuty ostatnie, które mi ukradzione zostały, ciążyły mi na sumieniu.

— Nie, odparłem—nieszczęśliwy przypadek zrządził żem przybył za późno.

Twarz prawnika zasępiła się nieznacznie.

— Tak stało się i z mną—mówił dalej; hrabia Juljusz czując zgon blizki, przysyłał po mnie; fatalność chciała że nie znaleziono mnie w domu.

Nie pojąłem wcale całego znaczenia tych słów, ale wspomnienia jakie one budziły, były mi tak bolesne, żem zakrył twarz rękami.

— Czy pamiętasz pan matkę swoją—pytał znów prawnik po chwilowej przerwie.

— Nie—odrzekłem—odumarła mnie dzieckiem; oto medaljon z jej wizerunkiem zapewne, który znalazłem na piersiach zmarłego.

Pochwycił medaljon i obejrzał go skwapliwie; obracał na wszystkie strony, jakby szukając daty jakiej lub imienia. Medaljon otwierał się rzeczywiście; był w nim promień kruczych włosów, i nic więcej.

— Matka pana była Hiszpanką—mówił przypatrując się minjaturze;—wszak prawda?

— Ja niewiem nic o matce mojej—wyrzekłem, ojciec nie wspominał o niej nigdy.

— Jakto! nawet panu?

— Nawet mnie.

Nastała chwila ciszy. On zdawał się ważyć myśli i słowa, ja czułem coś nadzwyczajnego w obejściu i badaniu jego; ale rzeczywistość tak daleką była od pojęć moich, że nawet najdalszy jej odbłysk nie przeraził mnie ani na chwilę.

— Czy ojciec nie zostawił panu jakich zapisów, papierów, jakich zleceń na przyszłość?

— Nic wcale—odparłem ze spokojem niewiadomości.

Prawnik milczał czas jakiś, niepojmując może spokojności mojej.

— W takim razie—wyrzekł zwolna, przycichłym głosem—pozostaje mi objaśnić pana, że hrabia Juljusz zmarł bez testamentu.

Nie zrozumiałem wcale co znaczyć miały te słowa, ta solenność i ostrożność z jaką wymówione zostały, i patrzyłem w oczy tego człowieka, snać wymownym wzrokiem, bo spuścił głowę. Teraz przyszło mi na myśl, że zapewne stryj mój, od którego mienił się być przysłany, lękał się o dalsze zamiary moje, lękał się by ze śmiercią ojca mego nie stracił zajmowanego stanowiska. Tym sposobem nawet tłumaczyłem sobie niepojęte dotąd obejście się jego ze mną, i dla tego pośpieszyłem z odpowiedzią.

— Ojciec mój nie potrzebował zostawiać na piśmie woli swojej; wiedział dobrze, iż dla mnie ona

zawsze świętą będzie. Powiedz pan odemnie stryjowi, że dla niego nic się tutaj nie zmieniło.

Ale na te słowa prawnik z kolei podniósł na mnie wzrok zdumiony.

— Ależ pan nie zrozumiałeś mnie!—hrabia Juljusz zmarł bez testamentu.

— Rozumiem — odparłem zniecierpliwiony—ale cóż to mnie obchodzić może, mnie jedynego syna?

Tutaj widocznie nieświadomość moja czy brak pojęcia położenia, przyprowadziły mecenasa do ostateczności, bo zawołał z wybuchem, w którym prawnik zwyciężał człowieka.

— Bardzo dobrze! jeśli pan to udowodnić możesz; co do mnie, w takim razie będę prawdziwie szczęśliwym.

— Udowodnić co?—zapytałem zdumiony; bo myśl sama by ktoś mógł zaprzeczyć synowstwa mego, zdawała mi się tak bezsensowną, żem patrzał na człowieka który mówił do mnie, jak na warjata.

Ale on mówił dalej poważnie.

— Udowodnić prawa swoje do nazwiska i majątku ojca.

— Jakto?—zawołałem powstając śmiartelnie blady na te słowa, które zdawały mi się obelgą—pan śmiałbyś...

Nie mogłem skończyć. Niepohamowana południowa krew zagrała we mnie, i gotów byłem rzucić się na człowieka, który poważył się wymawiać ta-

kie wyrazy; głos zamarł mi w piersi. Ale on nie zmieszany wcale powstał także, i wyrzekł łagodnie.

— Panie Kiljanie, byłem przyjacielem twojego ojca.

Te wyrazy uspokoiły mnie cudem, gniew mój stopił się w żal; podniosłem wzrok na portret zmarłego, który zdawał się spoglądać na mnie ze ściany smutnemi oczyma, i wyrzekłem to jedno słowo skargi: „Mój Ojcze"—jak gdyby on mógł odpowiedzieć mi i obronić mnie.

Prawnik patrzał na mnie z prawdziwem wzruszeniem.

— Panie Kiljanie—zawołał chwytając rękę moją—wszak widzisz, że przychodzę tutaj w imieniu prawa. Dla mnie, jesteś i być musisz zawsze synem Juljusza Horeckiego; ale na miłość Boską powiedz mi, czy nie posiadasz aktu ślubnego rodziców, własnej metryki, lub wskazówki przynajmniej gdzie i kiedy ożenił się twój ojciec?

— To wszystko znajdować się musi w papierach jego.

Prawnik milczał czas jakiś; w głowie jego widać rodziły się domysły i podejrzenia, bo odparł cicho obzierając się wkoło, jakby się lękał ścian co nas otaczały.

— W papierach tych nie znaleziono nic, nic wcale.

Spuściłem głowę przygnębiony; nie byłem w stanie jeszcze objąć całej rzeczywistości, czułem tylko że coś okropnego ciążyło nademną.

— To niepojęte—mówił mecenas jakby sam do siebie, przechadzając się nierównym krokiem po pokoju;—nie, to być nie może! tu leży tajemnica jakaś niezbadana!

Nieodpowiedziałem nic. W umyśle moim poczęło się rozjaśniać; nie byłem znów tak niedoświadczonym, bym nie pojmował położenia. Jednak nie potrafiłem zmierzyć całej jego okropności.

— A więc—zapytałem po chwili—jeżeli nie będę mógł dowieść urodzenia mego?... i wzrok utopiłem w prawniku.—To cóż? mów pan, wszak widzisz ze jestem spokojny. Powinienem wiedzieć wszystko.

— W takim razie nie masz pan prawa do żadnego spadku, bo prawo nie uznaje egzystencji twojej.

— Ale w takim razie majątek przechodzi na stryja; on kocha mnie jak własnego syna. On, Wilhelm...

Na ustach miałem trzecie imię, Amelji; ale nie wymówiłem go, tylko serce moje zaległa pociecha dziwna. Cóż mi znaczyło wszystko, kiedym posiadał jej miłość, jej słowo!

Jednak trwało to krótko, prawnik przerwał bieg moich marzeń. Zbliżył się do mnie, wziął za rękę, i wymówił z przyciskiem topiąc oczy w moje czoło, jakby czytał przez nie szalone moje myśli.

— Bądź pan człowiekiem; ja przysłany tu jestem przez hrabiego Feliksa.

Pod wzrokiem jego zadrżałem od stóp do głowy; pojąłem, że to co mi miał powiedzieć, straszniejszem było niż wszystko co powiedział dotąd—i wytężyłem siły ducha pod tłocznią cierpienia, by odebrać cios śmiertelny. Chciałem, jak on wyrzekł, pokazać mu się człowiekiem.

— Mów pan—szepnąłem—mów prędko.

— Hrabia żąda byś pan raz na zawsze zrzekł się nazwiska Horeckich, do którego praw udowodnić nie możesz; żąda byś opuścił kraj natychmiast, a w zamian ofiaruje...

— Nie kończ pan!—przerwałem.—Straciłem ojca; dzisiaj wiem że nie miałem nigdy rodziny, że pieszczoty któremi mnie otaczano, były kłamstwem i podłością. Ale nazwiska mego ni praw które mieć mogę, nie zrzeknę się nigdy dobrowolnie.

— Na cóż pan liczysz?—spytał z żywością;—czy chcesz zaprzeczyć stryjowi majątku, który obejmuje wbrew sumieniu może, ale zupełnie prawnie, dopóki nie potrafisz pan złożyć dowodów o których mówiłem?

Te słowa zawierały dla mnie jakąś nadzieję.

— Więc sądzisz pan—wyrzekłem—że one znaleźć się mogą?

— Tu nie chodzi o przypuszczenie moje osobiste —odparł krótko.

— Ale mnie chodzi o nie—mówiłem—ja nie wierzę by ojciec mój zostawił mnie na łasce losu; te papiery gdzieś są, gdzieś być muszą.

Masz pan słuszność—odrzekł jakby uderzony nową myślą.—Gdybyś nie był zupełnie prawym dziedzicem jego imienia i majątku, hrabia Juljusz byłby szukał sposobów zapewnienia ci ich za życia, byłby radził się doświadczenia mego, sporządził testament. Tak, to dla mnie w tej chwili jasne bardzo; te papiery gdzieś są, jeżeli...

— Jeżeli...—pochwyciłem niezdolny pojąć całej myśli jego.

— Jeżeli nie zostały zniszczone—dokończył tak cicho, żem więcej odgadł niż dosłyszał słowa które chciał powiedzieć.

— Nie! to być nie może!—zawołałem uniesiony pierwszym popędem serca;—on, brat mego ojca, on mógłby to uczynić?!

Domysł prawnika otwierał w duchu moim takie przepaście, żem w niego od razu uwierzyć nie mógł. W owej chwili, gdyby ojciec umarły powstał z grobu i zaparł się mnie, byłby mi jeszcze łaskę wyświadczył. Pragnąłem teraz przekonać się o nieprawości urodzenia mego, o wszystkiem co mogło oczyścić stryja z tego strasznego zarzutu, który nie ja mu czyniłem, ale nieubłagana loika faktów. Jam niechciał uwierzyć w podłość człowieka, którego kochać przywykłem. Jam nie mógł zrozumieć od

razu, że zbrodnia ukryć może swój ohydny charakter; żem ją spotkał w człowieku co się codziennie łamał zemną chlebem,co podzielał dach jeden zemną. Jam wstydził się tej myśli samej. A jednak na przekor woli, przekonanie moje zdobytem już było. Napróżno wołałem: to być nie może—ja wiedziałem że tak jest.

Prawnik nie odpowiedział nic na gorączkowe zaprzeczenie moje; może żałował słów swoich. Dla niego co przywykł oddawna grzebać w śmiecisku ludzkiem, co sądził świat rozumem, doświadczeniem, i znał wszechwładną potęgę Bożka Miljona; dla niego podejrzenie zwało się już przeświadczeniem. W myśli jego wyrok zapadał na hrabiego Feliksa; ale zapewne nie uznał za stosowne ogłaszać go światu, i jak błędny rycerz stawać w obronie uciśnionej niewinności. Czasy błędnych rycerzy minęły niepowrotnie; dziś nikt nie nadstawi czoła ni piersi za cudzą sprawę. Dotknąć Parjasa, jest to samemu zostać Parjasem. Mecenas nadto dobrze znał świat, by o tem niewiedzieć.

Zresztą są katastrofy zupełne, nieszczęścia bez ratunku; moje było jednem z takich. Współczucie jego nie mogło zmienić faktów, ani powrócić mi położenia towarzyskiego, imienia, majątku, wszystkiego com na raz utracił przez cudzą zbrodnię. Na cóż więc miał marnować je daremnie, tembardziej że żadna, by najmniejsza wskazówka nie popierała

moralnego przekonania, jakie obadwaj powzięliśmy o tej zbrodni?

Ten co ją spełnił mógł spać spokojnie, mógł chodzić między ludźmi z podniesionem czołem; odkrycie jej zdawało się niepodobnem, ślad wszelki zatarty. Przez proste zniszczenie kilku kart papieru, wymazany zostałem z rzędu żyjących, stawałem się nędzniejszym od syna żebraka, który przynajmniej na ojca swego powołać się może.

— I cóż pan zamierzasz dalej?—spytał prawnik po długiej przewie, rzucając mi obojętnym głosem to zdawkowe pytanie, jakby szukając sposobu wycofania się zręcznie od własnego współczucia.

Co?—ja nie wiedziałem wcale, czułem tylko że pod tym dachem chwili jednej zostać mi nie wolno; ale odpowiedzi wyraźnej dać nie mogłem, nie miałem jej w sobie.

Prawnik nie nalegał; czuł może iżby mu wypadało doradzić coś, zająć się losem i kierunkiem moim. On, który mienił się przyjacielem ojca mojego i szczycił jego zaufaniem, zapewne nie chciał brać na głowę tego ciężaru, ani zjednywać sobie tym sposobem nienawiści hrabiego Feliksa. Ja wdzięczny mu byłem, że przynajmniej nie powtarzał mi już o ofiarach jego, nie namawiał do ich przyjęcia.

Odchodząc ścisnął mi rękę, i rzekł z pewnem wahaniem się.

— Pamiętaj pan jednak, w razie gdyby kiedyś trafił się ślad jakiś, pamiętaj o mnie.

To był ostatni wyraz współczucia człowieka, który był przekonanym o słuszności sprawy mojej; człowieka, którego świat poważał, jednego z przyjaciół ojca mego. Czegóż więc spodziewać się mogłem od innych? Byłato pierwsza praktyczna lekcja życia, godny przedmiot rozmyślań; ale nateraz nie miałem na nic woli ni czasu. Trzeba mi było naprzód opuścić ten dom, i udać się—gdzie? Nie myślałem nad tem, nie dbałem o to, byle coprędzej wyjść z tych progów, które zdawały się palić mi stopy zarzewiem.

Ale zanim je przestąpić miałem na zawsze, zapragnąłem raz jeszcze zobaczyć pokój ojca, pożegnać te ściany, te martwe przedmioty wśród których żył i umarł. Zapominając żem przestał być panem tego domu, skierowałem się do apartamentów jego.

Szedłem szybko gorączkowym krokiem, gdy w dawnym przedpokoju ojca lokaj siedzący na straży chciał mnie zatrzymać. Odepchnąłem go odedrzwi jednym zamachem ręki i wszedłem; ale zaledwie próg przestąpiłem, cofnąłem się o kroków kilka mimowolnie.

Przed biórkiem ojca, w głębi pokoju, siedział hrabia Feliks.

Niebyłem przygotowanym na to spotkanie, i twarz spłonęła mi rumieńcem, jak gdybym to ja

był winowajcą a on pokrzywdzonym; nie śmiałem podnieść oczów na to zhańbione czoło. Stryj na mój widok zadrżał i pobladł, ale opamiętał się szybko; zrozumiał zapewne, że na dobrej grze tej chwili mogła polegać przyszłość, i ułożył stosownie wyraz i postać całą. Gdym spojrzał na niego, tylko biegające kose oczy, tylko lekkie drżenie rąk świadczyć mogło o wewnętrznem jego wzruszeniu.

Zresztą nic w nim nie przypominało już człowieka którego znałem dotąd. Odrzucił maskę noszoną tak cierpliwie lata całe, twarz jego zmieniła się wraz z nagłą zmianą położenia; z przyjaznej, serdecznej, jaką widywałem zawsze, stała się zimną, nieubłaganą, szyderczą. Na ustach jego ujrzałem po raz pierwszy cyniczny uśmiech, dziś zda się przyrosły już do nich, jak gdyby tryumfem brudnych żądz urągał światu.

Nie byłbym wszedł tutaj wiedząc że go spotkam; ale cofnąć się też nie chciałem. Traf postawił na przeciw mnie tego człowieka, a ja rad byłem temu; chciałem przynajmniej bryzgnąć mu w oczy ostatnią bronią uciśnionych—pogardą, i zostawić po sobie nie wspomnienie cichej ofiary, ale groźbę pokonanego wroga. Bo pierwsze wrażenie przeminęło szybko; byłem teraz niczem innem tylko nieubłaganym wrogiem mego stryja. Nienawidziłem go wszystkiemi instynktami sprawiedliwości, szlachetności i prawdy; nienawidziłem nie tyle za wyrzą-

dzoną mi krzywdę, ile za obaloną wiarę, za obłudną miłość, za zdradzone zaufanie ojca. Bo tutaj, w tej komnacie napełnionej dla mnie duchem zmarłego, wspomniałem sobie to ostatnie spojrzenie jego utkwione w brata i we mnie, z tak dojmującą siłą.

Przez chwilę mierzyliśmy się oczyma ze stryjem; aż on nie mogąc znieść wzroku mego, odwrócił głowę, i rzekł z całym spokojem na jaki się mógł zdobyć.

— Czego chcesz tutaj Kiljanie? wszakże adwokat mój musiał wyjaśnić ci dokładnie położenie. Czy namyśliłeś się przyjąć ofiary moje?

Milczałem szukając słów któremiby uczucia sformułować się mogły; ale on nie patrzał na mnie, nie widział wyrazu twarzy, a milczenie snać wytłumaczył opacznie, bo mówił dalej.

— Czy je znajdujesz zbyt małemi? w takim razie mów czego żądasz, chciałbym coś uczynić dla ciebie.

Bezwstyd tego człowieka przechodził wszelką miarę. Jak on śmiał w jednej chwili zapomnieć czem był dawniej dla mnie, i przemawiać w ten sposób! Sądził zapewne, że ma do czynienia z niedołężnem dzieckiem, rozpieszczonem zbytkiem i próżnowaniem, jakiem byłem wczoraj jeszcze. Ale nie odbierając odpowiedzi na tę dobrotliwą mowę, spojrzał na mnie z pod oka, i dostrzegł pewno źrenice moje pałające; bo powstał z nerwowym dreszczem,

obejrzał się wkoło, jakby szukając pomocy jakiej, dzwonka którymby mógł zwołać służbę.

— Nie lękaj się stryju—rzekłem cicho, bo głos wydobywał się z trudnością ze ściśniętej piersi, i zbliżając się, by lepiej mnie mógł usłyszeć.—Patrz jestem spokojny, jestem panem siebie; ja nie przyszedłem cię zabić, ja chcę tylko rozmówić się z tobą.

Teraz on z kolei milczał, szarpiąc niespokojnym ruchem batystową chustkę trzymaną w ręku.

— Stryju—rzekłem—ojciec umierając polecił mnie opiece twojej; jakżeś się z niej wywiązał?

Wyniosła twarz Feliksa zmroczyła się, chciał coś mówić, zaprzeczać; nie dałem mu na to czasu.

— Widziałem ostatnie spojrzenie umierającego; on polecał mnie tobie wzrokiem jeszcze, gdy już mówić nie mógł.

— To też—odparł stryj mój odzyskując panowanie nad sobą—powtarzam, chciałbym coś uczynić dla ciebie Kiljanie.

— Coś uczynić dla mnie!—zawołałem—strzeż się stryju! przyrzucasz szyderstwo do krzywdy. Obrawszy mnie z imienia i majątku, chcesz mi rzucić jałmużnę, choć wiesz dobrze iż jestem synem brata twojego. Tobie na to nie potrzebne były dowody; obejście się zemną jego i twoje, samo już za dowody wystarczyć mogło.

Wzruszył ramionami, jakby tym sposobem zapierał się dawnej miłości ku mnie; ja nie tracąc czasu na próżne słowa, mówiłem dalej.

— A jeśli dowody jakich wymagają formy prawne nie znalazły się, to wiedz, że ja ciebie o to oskarżam; ty jeden korzystać mogłeś z wyjątkowych okoliczności w jakich się znajdowałem, ty jeden miałeś interes w ich zniszczeniu, ty jeden ich zniszczyłeś.

— Mówiłem z takiem przekonaniem, że hrabia drżał i chwiał się pod słowami memi; widziałem chwilę, w której gotów był paść przedemną i żebrać przebaczenia, sądząc może iż cud jakiś odkrył mi tajemne czyny jego. Byłem nadto niedoświadczony by korzystać z tej chwili, w której słowo jedno mogło zważyć szalę przeznaczeń naszych; nie dodałem go — hrabia też opamiętał się szybko i odparł.

— Zapominasz iż wszystkie formalności zachowane były; papierów tych szukałem, nie ja sam ale stróże prawa. Zresztą przebaczam nieoględne słowa żalowi twemu; one nie zmienią położenia ani dobrych zamiarów moich względem ciebie. Powiedz więc czego żądasz?

— Ja chcę wszystko albo nic, tu niema półśrodków. Jesteś opiekunem moim lub wydziercą; więc albo nie potrzebuję jałmużny żadnej, albo nie przyjmę nawet kęsa chleba z twojej ręki. Tylko pamiętaj stryju, że wyjdę ztąd przeświadczony o słuszno-

ści praw moich i o twojej zbrodni. Pamiętaj że szukać będę sprawiedliwości, że będę ci wieczną groźbą. Bo jeżeli nie dzisiaj to kiedyś ja praw swoich dojdę i dowiodę.

Hrabia słuchał mnie ze spuszczoną głową, ponuro; nie przerywał mi i nie odpowiadał—bo na mowę moją mógł tylko jednę dać odpowiedź, a tej właśnie dać nie chciał.

Nie miałem tu co robić dłużej; wyszedłem, a głuchy łoskot drzwi rzuconych gwałtownie, pogonił za mną złowrogiem echem.

Przechodząc korytarzem prowadzącym od dawnych apartamentów ojca do moich, spotkałem kamerdynera jego, najdawniejszego ze wszystkich sług naszych. Widząc mnie, przylepił się prawie do ściany, jakby chcąc skryć się przedemną. Więc i jego już odstraszyło nieszczęście. Jednak nie zważałem na to.

— Ciarkowski —spytałem zatrzymując się, bo dziwna myśl przyszła mi do głowy, że ten człowiek mógł rozjaśnić niepewność otaczającą pochodzenie moje; ile lat służyłeś u ojca mego?

To proste pytanie zmięszało go widocznie.

— Nastałem do pana hrabiego gdyś pan był małym jeszcze—odparł siląc się okazać żal po zmarłym, i obcierając chustką suche oczy.

— Wiem o tem, pamiętam cię od dziecka; ale ile lat temu wszedłeś do naszego domu?

— To już bardzo dawno—rzekł po długim namyśle, nie dając mi odpowiedzi wyraźnej; i znów rozwodzić zaczął urzędowe żale, jakby chcąc przerwać dalsze badania.

W tej chwili niecierpliwiły mnie one, czułem w nich fałsz jakiś; zresztą w obec mojej boleści, która nie miała słów ni łez, każden głośny objaw żalu zdawał mi się świętokradztwem. Wahałem się czy pytać dalej, ale nie miałem nic do stracenia; a kto wie, jakie światło odpowiedź jego rzucić mogła w mój umysł.

— Czy znałeś matkę moją—mówiłem, patrząc w oczy jego unikające moich.

— Ja nie wiem—wybełkotał niewyraźnie.

— Jakto nie wiesz? czy znałeś matkę moją?

— Ja nic nie wiem o pani hrabinie—odparł jąkając się; nie słyszałem o niej nigdy.

Odszedłem nie pytając więcej. Wróciłem jeszcze do siebie. Ze wszystkich rzeczy, które przecież były moją wyłączną własnością, wziąłem tylko portret ojca, pędzla Ary Scheffera, przed kilku laty malowany w Paryżu, i kilka drobnych po nim pamiątek. Kończyłem właśnie ostatnie przygotowania moje, bo nie chciałem niczyjej pomocy, gdy zastukano do drzwi nieśmiało. Serce uderzyło mi gwałtownie w piersi; nie wszystkich jeszcze pożegnałem w tym domu, nie wszystkie pogrzebałem nadzieje.

Dotąd załatwiłem rachunek z ludźmi tylko, ale jeszcze nie z sercem mojem.

Otworzyłem drzwi z dreszczem nadziei. Gdyby to była Amelja! Nie widziałem jej od owej chwili przysiąg wzajemnych; czyż ona mogła zapomnieć ich tak prędko? Ta myśl nie przeszła mi nawet przez głowę. Wierzyłem w nią. Ale czyż ona nie wiedziała co się działo w tym domu, i czyż nie powinna była ponowić ich teraz? Sądziłem ją podług siebie; ja byłbym tak uczynił.

Nadzieja była szaloną, ale jam jej czekał, jak potępiony czeka odbłysku zbawienia; sądziłem że nie potrafię nawet wyjść z tego domu, nie zobaczywszy jej jeszcze. Ale to nie była ona, tylko córeczka Ciarkowskiego, Andzia, która płacząc rzuciła się ku mnie.

— Więc pan ztąd wyjeżdżasz, panie Kiljanie— mówiła spoglądając na mnie z niedowierzaniem; powiadają wszyscy że pan jedziesz na zawsze. Czy to prawda? Dla czego pan nie zostaniesz w tym ślicznym pałacu?

— Czy cię kto tutaj przysłał Andziu?—spytałem, chcąc przerwać jej słowa, a może kryjąc przed samym sobą ostatnią nadzieję.

— O nie, ja przyszłam sama—zawołała dziewczynka; wymknęłam się od ojca, bo mnie puścić nie chciał. On chowa jakieś papiery, rachuje pieniądze, dużo bardzo pieniędzy, i cieszy się; powiada że

więcej służyć nie potrzebuje, że ja będę bogatą. Ale co mi tam, kiedy pan odjeżdżasz.

W innej chwili te słowa dziecka byłyby mnie zastanowiły; później one powróciły mi do myśli. Zkąd Ciarkowski zbogacił się nagle śmiercią ojca mego, który przecież zmarł bez testamentu? Teraz ten żal jej roztapiał chłód pozorny, którym uzbroiłem się na tę straszną godzinę, bo ona z okrucieństwem nieświadomego dziecka targała rany moje; każde jej słowo było mi męczarnią.

— Przestań Andziu—zawołałem, przytulając do siebie tę jedyną istotę, która mnie kochała, i wstrzymując łzy gwałtem wymykające mi się z pod powiek; zobaczymy się jeszcze.

W tej chwili niecierpliwy głos Ciarkowskiego dał się słyszeć, wołając „Andziu, Andziu!“ Dziewczynka zapominając o mnie pobiegła prędko, a ja nie zastanawiając się wcale nad tem co usłyszałem od niej, kończyłem przygotowania moje.

Tego dnia jeszcze opuściłem pałac Horeckich.

Gdym się znalazł w nędznej izdebce hotelu, w którym tymczasowo szukałem schronienia, zastanowiłem się dopiero sam nad sobą, nad przyszłością. Zrazu nie czułem nic prócz palącego bolu, prócz pokrzywdzenia i obrazy śmiertelnej. Byłem jak człowiek, który z wysokości spadł nagle w przepaść. Wszystko kręciło się i wirowało w mózgu moim bezładnie; aż zwolna w tym chaosie cierpień, poczę-

ła mi wschodzić jutrzenka nadziei. Kochałem, sądziłem żem kochany. Z tą wiarą świat mógł usunąć mi się z pod stóp, jam nie był jeszcze nieszczęśliwym. Rozumiałem wprawdzie, że zmiana położenia musiała oddziałać i na sercowe szczęście moje; przewidywałem że przeszkody, niepodobieństwa nawet—jeżyć się będą w koło miłości naszej; ale dopókim zachował wiarę w tę jedną istotę i w to jedno serce, czułem się zdolny wszystko zwalczyć, przezwyciężyć wszystko.

Co robiła Amelja? co myślała? co cierpiała?—Czemu nie przesłała mi choć słówka jednego zachęty, pociechy? Czy mogła to uczynić? Dla czego nie było jej na pogrzebie ojca mojego? Czy była chorą lub zrozpaczoną? Niepokój o nią zapanował po nad wszystkiemi innemi względami; zapominałem o sobie, zatopiony w myśli o niej tylko. Zawiedziony, opuszczony od wszystkich, potrzebowałem zobaczyć ją koniecznie.

Zbyt dobrze znałem obyczaje domowe i rozkład godzin mej niegdyś rodziny, by mi trudnem było dostać się niepostrzeżenie do pałacu Horeckich. Wiedziałem kiedy Amelja jest samą, kiedy gra, czyta, modli się lub przechadza—i ze zręcznością zakochanego, korzystałem z dawnej zażyłości naszej. Przez dni kilka niecierpliwy, zgorączkowany, zakradałem się do ogrodu; siadałem na tej ławce wśród rozkwitłych azalei i rododendronów, które

słyszały przysięgi nasze,i czekałem opanowany niepokojem, szarpany myślą jedną. Aż w końcu ujrzałem ją zbliżającą się zwolna. Byłoto przy zapadającym zmroku, tak samo jak dnia owego. Stałem ukryty za krzewami, ona nie widziała mnie wcale; wzruszenie nad siły przykuło mnie do miejsca, odejmując mi ruch i głos. Patrzyłem na nią przyciskając rękami serce, które rwało mi się i omdlewało w piersi. Ona była ostatniem dobrem, które mi zostało z przeszłości, ostatnią nadzieją zrozpaczonego.

Piękność jej nie straciła nic przez te dnie żałosne; lica nie pobladły wcale, na czole jej nie było smutku, w oku tęsknoty żadnej; w wytwornej żałobnej szacie, w zarzuconym koronkowym burnusie na jasne sploty włosów, szła niedbale po chodnikach wysypanych żwirem, obrywając listki kwiatów roztargnioną dłonią. To nie była kochanka której szukałem, o której marzyłem; żadne cierpienie moje nie odbiło się na jej twarzy. A jednak myśl jakaś czy wspomnienie skierowało jej kroki ku tej ławce marmurowej, przy której widzieliśmy się po raz ostatni. Usiadła na niej, odrzuciła czarną koronkę z białego czoła, i wpatrzyła się w przestrzeń. Czy marzyła, czy wspominała?—nie mogłem odgadnąć z jej spojrzenia.

Niezdolny pohamować się dłużej, wyszedłem z ukrycia jak szalony; ukląkłem przy jej stopach,

chciałem przycisnąć rozgorzałe czoło do jej ręki. Ale ona krzyknęła lekko i powstała.

— Ameljo—zawołałem—nie lękaj się, to ja jestem.

I upojony, podniosłem wzrok błagalny chcąc zaczerpnąć w jej oku siły i odwagi. Ale źrenice jej wlepione były we mnie z takim obojętnym chłodem, żem się cofnął jakby przed obcą kobietą, która przypadkiem tylko wzięła na się postać Amelji.

— Czy mnie nie poznajesz?—szepnąłem.

Ona poznać mnie musiała—alem ja jej nie poznawał. Gdzież był ten czarujący uśmiech, co na mój widok kiedyś rozjaśniał jej lica? gdzie ta promienność spojrzenia?; a gdzie było jej serce?

Przez chwilę stała w miejscu, jakby wahając się co ma uczynić; ale nie była to walka miłości. Nie; na jej twarzy czytałem tylko troski i myśli, ale nie uczucie. Osłupiałym wzrokiem patrzyłem na tę istotę strojną we wszystkie wdzięki niewieście, a pozbawioną niewieściej duszy; która w dni kilka zapomniała przysiąg i zaklęć swoich, i w tak strasznej chwili, na cierpienia, na miłość moją wyszukiwała odpowiedzi, a nie znalazła jej natychmiast w głębi serca.

Teraz ona mogła odejść w pokoju, nie byłem w stanie jej zatrzymać. Ale zapewne uważała za stosowne pozbyć się raz na zawsze natrętnych wspomnień i natrętnego człowieka, bo wyrzekła.

— Czegoż pan chcesz odemnie?

Nie wiedząc o tem, powtarzała mi słowa hrabiego Feliksa; to była jego nieodrodna córka.

Milczałem, patrząc na nią ciągle; na podobne zapytanie ja nie miałem odpowiedzi.

— Czegóż pan chcesz odemnie?—powtórzyła dumnie.

— Teraz już nic—odparłem ponuro; sądziłem żem zostawił tutaj narzeczoną, omyliłem się, przebacz.

— Narzeczoną?—wyrzekła z nieopisanem zdziwieniem; ja nie mogę być narzeczoną człowieka bez nazwiska, majątku i położenia. Czyż pan nie rozumiesz tego, czyż to potrzebuje tłumaczenia?

Słowa jej były lodowate, odpychające; mówiła jakby czuła się w prawie jeszcze czynić mi wyrzuty, że los strącił mnie z położenia które zajmowałem, że ona cierpieć mogła z tego powodu—bo gdy je wymawiała, pierś jej podniosła się westchnieniem. Dla czego ona westchnęła? To westchnienie przykuło mnie w miejscu, i dało mi siłę do mówienia dalej, jak gdybym nie wiedział zgóry, że wszystko daremnem będzie. Ale serce wezbrało mi na usta.

— Ty kochałaś mnie Ameljo—zawołałem—nie odbieraj mi wspomnienia przynajmniej; powiedz, powtórz żeś mnie kochała.

— I cóż ztąd — odparła — przeszłość minęła jak sen.

Spuściła zamyślone czoło, a jam patrzał na nią drżący, trwożny, zbolały, jak zranione zwierzę. W tej chwili jeszcze byłbym przebaczył jej wszystko, i wił się u jej stóp za promień nadziei, chociażby za iskrę żalu. Ale czekałem jej próżno.

— To minęło — powtórzyła tylko pogrążona w myślach—minęło niepowrotnie.

A jednak żałowała że to minęło, jak się żałuje snu pięknego; czułem to w dźwięku jej głosu.

— Ameljo—wyszeptałem—nie mów tego; ja cię tak kocham! Powiedz mi że cierpisz także; powiedz mi że los i ludzie, ale nie serce twoje, stają pomiędzy nami. Wsparty na sercu twojem, ja los i ludzi zwalczę—przysięgam ci!

I wyciągałem ku niej ramiona—miałem całe życie na ustach. Ale na te słowa, na ten ruch, który wydawał jej się zuchwalstwem, hrabianka ocknęła się jakby z marzenia.

— Zapominasz się pan—wyrzekła chłodno, zbierając w koło siebie fałdy koronkowego burnusa, i obwijając się niemi jakby chronić się chciała przed mojem plebejuszowskiem dotknięciem.—Powinieneś był zrozumieć sam, że pomiędzy nami skończyło się wszystko, i oszczędzić nam obojgu tej bezużytecznej sceny.

Miała słuszność. Mogłem wprawdzie przypomnieć jej własne przysięgi, jej pojęcia gardzące marnemi względami świata, jej mowy o wartości serc, któ-

rych nic rozdzielić nie może, jej lekceważenie dla różnicy majątku, wieku, położenia—wówczas gdy te wszystkie warunki leżały po mojej stronie. Ale zbyt dumnym byłem na to; a potem, czemże są słowa, z których woń serdeczna uleci; czem miłość, gdy gardzić trzeba istotą ukochaną?

Hrabianka odeszła w milczeniu, a ja padłem na ławkę pół martwy; teraz na prawdę byłem nieszczęśliwy. Jak świat ten wielki i szeroki, nie miałem na nim nikogo i nic—nic wcale.

Jakie odtąd było życie moje?—Bóg widział. Długi czas upłynął, zanim wychowany w puchowej atmosferze zbytku, zdołałem nauczyć się tych powszednich prawd, które znają wszyscy. Rzeczywistość była dla mnie nowością straszną. Ręce moje pieszczone niezdolne były do pracy, jak prawdziwe ręce patrycjusza. Wychowany starannie, umiałem wprawdzie wiele rzeczy pozornie, ale wśród nich ani jednej takiej, którąby się spożytkować dała na chleb powszedni. Za dni szczęścia lubiłem naukę, bawiłem się nią często, i tysiące luźnych wiadomości krzyżowało się w głowie mojej; ale z tego wszystkiego nie umiałem wysnuć syntezy żadnej. Instynkta moje były szlachetne; ale dopóki one nie wytrzymały rzeczywistej próby, były to instynkta tylko—i nic więcej. Słowem, byłem w całem znaczeniu tego wyrazu jedną z tych bezużytecznych a kosztownych istot, niedoszłych do samopoznania siebie,

których celem jedynym jest przeigrać życie, nie domyślając się nawet otchłani jakie ono kryć może.

Żelazny uścisk nędzy starł we mnie na miazgę starego człowieka; potrzeba nauczyła mnie myśleć, konieczność—pracować. Niemiłosierna szkoła nieszczęścia mogła zabić mnie moralnie, równie jak fizycznie, a jednak inaczej się stało; po pierwszych chwilach odurzenia zacząłem przychodzić do siebie; nowe siły żywotne budziły się we mnie w zetknięciu z rzeczywistością. Pozostawiony sam zupełnie, nauczyłem się rachować li tylko na siebie samego. Rozwijałem się na duchu, i wzrastałem moralnie wśród twardych warunków życia.

Przechodziłem chwile straszne! mierzyłem się oko w oko z widmem szaleństwa, samobójstwa—aż w końcu z dziecka stałem się człowiekiem.

I dziś gdy spoglądam po za siebie, gdy przypominam sobie tę przeszłość mroczną, gotów jestem błogosławić nieszczęściu, które zmusiło mnie wejrzyć w siebie, które odsunęło przedemną zasłonę świata, i zdarło maskę z twarzy i serc ludzkich. Lata przeminęły od dni które wspominam, a gorycz ich jeszcze jest w ustach moich.

Powoli jednak w myśli mojej pojęcie człowieczeństwa rozwinęło się w całej potędze, osobista zawziętość i osobista krzywda stopiły się w uczucie pogardy. Ale walka pomiędzy mną a stryjem nie skończyła się dla tego; ona trwać musi, dopóki spra-

wiedliwość walczyć będzie z uciskiem, dopóki prawda z fałszem bój toczyć będzie. On ma w ręku ostatni wyraz materjalnej potęgi—pieniądz, i to co pieniądz daje; przebaczenie podłości, szacunek ludzki, admiracją głupich, pochlebstwa nikczemnych, prawo ucisku i sądu nad bliźnim. A jednak ja samotny i ubogi postanowiłem szukać broni przeciw niemu, i protestować siłą wolnego ducha przeciw uciskowi i sądowi jego.

Tam gdzie myśl wznosi się swobodna po nad przesądy praw światowych, gdzie silna ręka zdobywa chleb powszedni, a swobodne serce na nim przestać umie—tam kończy się potęga hrabiego Feliksa i jemu podobnych.

Myśl i wiedza zwyciężyć musi w końcu materjalną siłę—więc rzuciłem się do wiedzy i chłonąłem ją piersią spragnioną. Nieszczęścia jednostek bez pożytku dla społeczeństwa przechodzić nie powinny, bo w nieszczęściu każdego człowieka odbija się zawsze zło społeczne. Pod karą upadku jednostka walczyć z niem musi, i przygotowywać tym sposobem poprawę i wyjarzmienie przyszłości. Jam się czuł w prawie i obowiązku moim, gdy wśród nędzy osamotnienia i ucisku, walczyłem niezmordowanie z Bożkiem Miljonem, i z tymi co zaprzedali mu sumienie swoje. Walka ta łatwą nie była. Prócz materjalnych trudności, prócz tych koniecznych warunków, które każdy pracą przezwyciężać musi; spotyka-

łem wszędzie i na każdej drodze złą rękę ludzi, którzy dla własnego bezpieczeństwa potrzebowali uniżyć moją głowę, zniweczyć działalność, i wepchnąć nazawsze nienawistnego bo skrzywdzonego człowieka, w przepaść upadku lub zapomnienia.

Próżno szukałem dla siebie zawodu; każdy potrzebował przygotowawczych lat nauki—a przez ten czas nieubłagana konieczność codziennego chleba wołała na mnie.

Są położenia, w których nauka jest niedostępnym zbytkiem. Nie starczyło mi na nią.

Zrazu kierowałem się na doktora; dwa lata nawet przy nadludzkich wysileniach, żyjąc chlebem i wodą, potrafiłem utrzymać się w uniwersytecie: ale poznałem że to nadaremnie. Systematyczne przeszkody stawały i mnożyły się przedemną na każdym kroku. Środki któremi zazwyczaj utrzymuje się w podobnych położeniach młodzież uboga, mnie wysuwały się z ręki jakby czarem. Hrabia Feliks chciał zmusić mnie do przyjęcia warunków swoich; hrabia Feliks lękał się dnia, w którym ja mógłbym wejść jako lekarz w arystokratyczne koła stolicy, i walczyć z nim na jego własnym gruncie. Nie mogłem zostać ani lekarzem, ani prawnikiem, ani osiągnąć żadnego położenia, któreby mogło stać się niebezpiecznem wrogowi memu.

Gdyby wówczas zemsta była jedynym bodźcem moim, byłbym przeklinał te zapory postawione na

jedynej drodze, którą dojść do niej mogłem. Ale wśród tych lat walk, zapasów i cierpień, jam przestał nienawidzić osobiście stryja; nienawidziłem więcej niż człowieka jednego—bo nienawiść moja rozciągnęła się do wszystkiego co podłe a potężne. Więc zrozumiałem że walkę rozpocząć mogę na każdem polu, i skuteczniej jeszcze niż na gładkiej posadzce salonów, wśród atmosfery buduarów; że nauka powinna być celem a nie środkiem, bo w niej leży uniżenie silnych, wyzwolenie maluczkich, porównanie środków społecznych, i cała potęga przyszłości. Więc zgodziłem się zostać jednym z tych cichych pracowników na praktycznej drodze postępu, którzy przez każde nowe odkrycie, przez każde ujarzmienie materji, stali się dobroczyńcami ludzkości. Zrozumiałem że najbardziej nawet poświęcona działalność jednostki, niczem jest w obec działalności wiedzy; że przez proste zastosowanie jakiegobądź wynalazku, przez wydarcie by najmniejszej tajemnicy przyrody, zdolny jestem więcej daleko uczynić dla świata, niż przez życie całe ofiar i miłosierdzia. I postanowiłem dopóki mi życia starczy, prowadzić tę cichą walkę ze złem—bo wiem, że zwycięztwo jest nieomylnem. A jakkolwiek słabe są siły moje i drobne środki które mam w ręku, doniosłość ich może być olbrzymia.

Umilkł, i w tej chwili zapomniał zupełnie o tych wszystkich co go zranili kiedyś; a Cecylja zapatrzo-

na w niego,zdawała się słuchać jeszcze,i piła sercem spragnionem słowa, z których drgało życie jego. Przez tę krótką noc, przeżyli oboje przeszłość jego całą; cierpieli, nienawidzili, walczyli razem—a teraz znów spojrzenia ich topiły się w zachwycie miłości.

— Kiljanie—wyrzekła cicho Cecylja; chciałabym być godną ciebie. Napróżno mówisz, że działalność człowieka staje się wielką dopiero na drodze wiedzy; ty nie czekasz na to, i stajesz się wsparciem i opieką tych wszystkich, których tylko dosięgnąć zdołasz promieniem wzroku.

— Niepowinnaś dziwić się temu—odparł—cierpiałem, znam z doświadczenia gorycz i niebezpieczeństwo każdej złej doli. Ale dobra wola moja, jakkolwiekby czynną była, niczem jest prawie w obliczu cierpień społecznych. Ja chciałbym otrzeć łzy wszystkie i zniszczyć ich zdrój na zawsze, a na to trzeba coś więcej niż cała fortuna hrabiego Feliksa, choćbym ją i posiadł nawet. Napróżno drogę nauki zamykano przedemną; zepchnięty ze szczytów towarzyskich, szukałem jej w skromniejszych praktycznych sferach. Potrzebowałem chleba; więc jako prosty robotnik wszedłem do fabryki wyrobów chemicznych; nie wahałem się czas jakiś zostać prostem kółkiem w mechanizmie pracy, ale byłem kółkiem myślącem. Nie stać mnie było na laboratorja i doświadczenia kosztowne; uczyłem się w nocy teo-

rji, we dnie stwierdzałem ją twardą praktyką. Obeznałem się z materjalną stroną nauki, z jej zastosowaniem—stałem się użytecznym. Udało mi się uprościć niektóre sposoby, inne korzystniejszemi uczynić. Podniosłem się w hierarchji fabrycznej, rozszerzył się mój zakres działalności, wydobyłem się z uścisków nędzy, bo dzienny zarobek powiększył się znacznie. To co mam dzisiaj, wystarcza aż nadto na skromne potrzeby moje; bo nauczyłem się raz na zawsze odrzucać z życia wszystko to, co się robi dla ludzkiego oka, a co ja stanowczo za zbytek uznałem.

— Zapominasz—wyrzekła Cecylja—o wszystkich których wspierasz.

— Chciałbym wesprzeć—odparł—każdego co upada; wspomódz każdego co cierpi i błądzi, nie marnym datkiem tylko, ale podaniem pracy, rady i bratniej pomocy. Staram się spełniać tym sposobem obowiązek, którego nikt względem mnie nie spełnił; bo wiem ile goryczy ma podobna dola—a żaden człowiek próżno cierpieć nie powinien. A jednak, wśród tego życia pracy, wśród bezustannych zajęć, w których myśl i serce moje udział brało, ja nie byłem jeszcze szczęśliwym. Brakło mi ciepła w piersi i wesela w oku—brakło mi ciebie Cecyljo! Ja także potrzebowałem słonecznego promienia; ja także, choć wydziedziczony i wymazany ze społeczeństwa, czułem się w prawie utworzyć rodzinę,

kochać, być kochanym, oprzeć dłoń i serce na drugiej dłoni i sercu. Ale pojęcia moje były o wiele szersze od pojęć tych co mnie otaczali; pomiędzy mną a nimi był rozdźwięk wyobrażeń i nawyknień. Nie mogłem przeniewierzyć się samemu sobie, ani zniżyć swej duchowej skali, przypuszczając do mego życia istotę nie dostrojoną do jednej z nią miary. Szukałem nie tylko towarzyszki pracy, wiernej i uległej żony; chciałem kobiety, z którąbym mógł bez wahania się podzielić myśli, nadzieje i zamiary moje, z którąbym serce i ducha mógł stopić na wieczną współkę dobrej i złej doli.

Umilkł spoglądając na nią z zachwytem—i pierwsze zorze wschodzącego słońca oświeciły ich dwie twarze, blade jeszcze od wzruszeń przeszłości, a uśmiechające się do tego nowego dnia, który dla nich zdał się błyskać na niebie. W oczach ich gorzały nadzieje jasne i sprawiedliwe, jak los człowieka co potrafił dojść do zrozumienia skarbów szczęścia, złożonych w piersi jego.

I ponad uśpionem miastem, w uroczystej chwili pierwszego poranku—dłonie ich splotły się, a usta połączyły pocałunkiem. To były ich zaręczyny, bez przysiąg i pierścionków; niecofniony ślub dwóch serc, na pielgrzymkę ziemską i na wieczność całą.

*
* *

W parę tygodni później, w dworku na Marszałkowskiej ulicy, około południa, Ciarkowski zabierał się do wyjścia. Andzia z zapłakanemi oczami siedziała drżąca i zgnębiona w rogu kanapy, spoglądając na ojca trwożnym wzrokiem. Snać wydała się jej smutna tajemnica, bo ojciec mruczał jakieś niezrozumiałe wyrazy gniewu, groźby i zemsty— przez zaciśnięte zęby; a twarz jego nikczemna napiętnowana była teraz wyrazem prawdziwego bolu. Człowiek każdy, jakkolwiek zepsuty i spodlony, ma zawsze prawie na dnie serca choć jedną iskrę ludzkiego uczucia, niby zaród odkupienia. Uczucie to drzemiące bezwiednie, okoliczności na jaw wywołać mogą, i znów choćby na chwilę łotra uczynić człowiekiem.

Ciarkowski był w jednej z chwil takich; on kochał córkę po swojemu, marzył dla niej o świetnym losie... A teraz... Teraz spoglądał na nią z gniewem i żalem; szare oczy jego migały błyskawicami. Zamierzał coś, układał w myśli, a czoło jego nizkie i cofnięte bruździło się i wygładzało naprzemian. Ale nie był on z tych ludzi co czas tracą na bezużytecznych żalach. Bez jego wiedzy i woli spełniło się nieszczęście Andzi. Nieszczęście to wywróciło wszystkie jego plany przyszłości; teraz jednak należało z niego jak największe wyciągnąć korzyści. Dla tego też Ciarkowski ubrał się staranniej

niż zwykle, wyszedł pewnym krokiem, i skierował się prosto do pałacu Horeckich.

Snać dobrze świadomy zwyczajów domowych, wszedł bocznemi drzwiami do apartamentów samego hrabiego, i zameldowany, natychmiast do obecności jego przypuszczonym został.

Hrabia Feliks zwyczajem swoim siedział na fotelu przed biórkiem, przeglądając papiery wówczas gdy nie miał ochoty odpowiadać, lub chciał dać sobie i komu czas do namysłu. Przy nim na maleńkim stoliku stała ranna czekolada. Widać jednak obecność Ciarkowskiego była mu nie na rękę; znać to było w przymuszonym protekcyjnym uśmiechu, jakim odpowiedział na ukłon jego, i w przymrużonych oczach, które z ukosa mierzyły nowo przybyłego, jakby chcąc wybadać z czem i po co przychodził.

Ciarkowski stał we drzwiach jak przystało na sługę, a jednak we wzroku jego paliło się coś, co niepodobało się hrabiemu, bo odwrócił śpiesznie twarz, i wyciągając rękę, poniósł do ust filiżankę z czekoladą. Widocznie pan hrabia miał jakieś nadzwyczajne względy dla byłego kamerdynera swego brata,bo nie okazał żadnym znakiem niezadowolenia swego. I owszem; po chwili w której zdawał się oczekiwać aż on głos zabierze, odezwał się łaskawie.

— I cóżto powiesz Ciarkowski?

Zagadniony nie odpowiedział nic zrazu, tylko wyprostował się zwolna, jakby chcąc pozbyć się uniżonych nawyknień, i zbliżył się do biórka.

Hrabia Feliks niecierpliwie poruszył się w fotelu, ale nie rzekł nic, i czekał zdumiony tem przestąpieniem praw uszanowania, jakich może jawnie wymagać nie mógł od Ciarkowskiego, ale które przywykł odbierać.

Kamerdyner szedł prosto ku niemu—i o zgrozo! zatrzymał się tuż przy nim, i śmiał szukać wejrzenia hrabiego. Aż źrenice ich obu, fałszywe, podstępne, zbiegły się na chwilę. A wejrzenie to nie było takiem jak pomiędzy panem a sługą, pomiędzy dobroczyńcą a obdarowanym; nie, to było wejrzenie po prostu dwóch spotykających się wspólników zbrodni lub tajemnicy.

— I czegoż chcesz Ciarkowski?—wyrzekł w końcu hrabia niepewnym głosem.

— Panie hrabio—odparł zagadniony—przyszedłem tutaj upomnieć się o wyrządzoną mi krzywdę.

— Ja nie wyrządziłem ci żadnej krzywdy—przerwał hrabia z żywością; a wrazie—dodał z pewnem wahaniem—gdyby wynagrodzenie jakie odebrałeś, zdawało ci się zbyt małe...

— Ja nie mówię o tem wcale—przerwał kamerdyner machając ręką, jak gdyby był z równym sobie.

— O czemże więc?

— O rzeczy nowej zupełnie—mówił Ciarkowski, podnosząc hardo głowę i patrząc śmiało na hrabiego; pański syn uwiódł moją córkę.

Z kolei hrabia podniósł kose oczy na Ciarkowskiego, jakby sądził że on rozum postradał—i coś nakształt śmiechu wykrzywiło mu usta. Ale to przeszło szybko; stłumił wybuch niewczesnej wesołości, pohamował się i wyrzekł łagodnie.

— Bardzo źle zrobił, ale cóż ja na to poradzić mogę.

Ciarkowski zrozumiał doskonale doniosłość tej odpowiedzi; spodziewał się jej i przygotował się na nią, ale udał bolesne zdziwienie.

— Jakto panie Hrabio?—wyrzekł prawie z niedowierzaniem.

— A tak—mówił zagadniony—źle zrobił, ale młodość młodością, wiesz o tem do licha. Czemuż nie pilnowałeś córki? bądź jednak spokojny, posag jej biorę na siebie.

— O panie hrabio!—zawołał kamerdyner z oburzeniem, przejmując się coraz bardziej rolą szlachetnego ojca, którą zamierzył odgrywać.

Feliks Horecki doskonale znał Ciarkowskiego; podniósł więc wzrok na niego, jak człowiek którego słuch myli.

— A to coś nowego—wycedził przez zęby, mierząc napuszoną niezręcznie postać stojącą przed

nim; to coś nowego—powtórzył, dając przez to poznać że się ma na ostrożności, i nie łatwo uwierzy przybranej roli bezinteresownego ojca Andzi.

Ten ostatni jednak nie dał się tak łatwo zbić z toru; widocznie ufał on w coś czego wypowiedzieć nie chciał, lub zachowywał na ostateczną chwilę, w celu wywołania większego efektu. I dla tego podchwytując ostatnie wymówione słowo, rzekł.

— Niestety panie hrabio! hańba i ucisk biednego, wcale nowością nie jest; ale przeszedł już czas gdy to uchodziło bezkarnie, gdy schylano z pokorą głowę przed przemocą.

Słysząc te słowa, które w ustach tego co je wymawiał w obecności jego, nabierały szczególnej dobitności, hrabia zmarszczył brwi i obejrzał się nieznacznie, jak gdyby chciał wezwać służby i kazać za drzwi wyrzucić ex-kamerdynera. Ale nie uczynił tego. Rękę wyciągniętą już do dzwonka skierował do filiżanki, wziął ją, i popijając niby czekoladę a nie patrząc wcale na Ciarkowskiego, odparł powoli.

— To bardzo piękne to co powiadasz, mój Ciarkowski; ale nie widzę wcale w czem się to do rzeczy stosuje. Twoja córka postąpiła jak niedoświadczona dziewczyna, a Wilhelm zwyczajnie, jak każdy młody co widzi ładną twarzyczkę i czułe serduszko. Źle zrobił, powtarzam; ale od początku świata tak

było, tak jest i tak będzie. I my przed laty broiliśmy tak samo.

— Hrabia Wilhelm obiecywał mojej córce że się z nią ożeni—odparł Ciarkowski; a pomimo powagi jaką sobie nadać usiłował, słowa te zaledwie zdołały przejść mu przez gardło.

Tu już hrabia wytrzymać nie mógł, i na tak potworną myśl przewrócił głowę na poręcz fotela, i parsknął śmiechem w oczy ex-kamerdynera.

— Tak, takto się zawsze mówi i obiecuje—wyrzekł w końcu nie mogąc uspokoić od razu swej wesołości; tak samo jak się podpisuje na listach „najniższy sługa“. Tego przecież nikt nie bierze na serjo.

— Moja córka uwierzyła temu—mówił ciągle jednako Ciarkowski.

Komedja zaczynała być nazbyt zabawną. Hrabia śmiał się ciągle; to co słyszał wydawało mu się tak pocieszne, iż stłumiło wszystkie inne względy. Śmiał się niepomny na przeszłość i przyszłość—śmiał się z całego serca. Ciarkowski patrzał na niego z nieopisanym wyrazem zjadliwej nienawiści.

— Tak—wyrzekł stłumionym głosem—zhańbić biednego, przyprowadzić go do upadku i rozpaczy, to dla panów tylko śmiech i zabawka. Ale czasy cierpliwości i pokory minęły niepowrotnie; dzisiaj poniżony poczuł swoją siłę, otrząsa z siebie wiekowe jarzmo. Pamiętaj pan o tem panie hrabio!

Te słowa, głos jakim wymówione były, przerwały śmiech Horeckiego; były one zuchwałe, ale on je za takie wziąć nie chciał.

— Widzę—wyrzekł wracając do zwyczajnego ironicznego tonu—widzę żeś z'korzyścią przeczytał „Nędzników“, „Człowieka śmiechu“, i zapamiętał wcale piękne tyrady. Ale to wszystko ślicznie wygląda na papierze; w rzeczywistości zaś trochę inaczej. Powiedz mi więc odrazu, jakiego posagu żądasz dla twojej córki, a porozumiemy się łatwo.

Ciarkowski, wierny swojej roli, wstrząsnął tylko głową.

— Cóż u djabła—zawołał zniecierpliwiony Horecki; przecież nie myślisz by mój syn mógł się ożenić z Andzią.

I spojrzał na kamerdynera, który słuchał tych słów w milczeniu, ale bez najmniejszej oznaki zdziwienia; owszem, zdawał się czekać na nie, bo podchwycił wlepiając w hrabiego swoje lisie oczy.

— A jednak,to jedyny sposób wynagrodzenia takiego postępku; tak mówił mi nawet pan Kiljan, którego widziałem dziś rano.

Nie było w tem słowa prawdy, a jednak taktyka kamerdynera okazała się doskonałą. Na imie synowca rzucone mu tak nagle choć niby z niechcenia, hrabia pobladł, ręce jego zadrżały; kose oczy zwrócił na Ciarkowskiego, który śledził z boku sprawione wrażenie, mierząc niem potęgę swoją.

Rzeczywiście myśl o podobnym związku nie przeszła przez głowę kamerdynera; jednak rad był że ją hrabia wypowiedział, chociaż nawet i szyderstwem; to pochlebiało jego demokratycznej dumie, i uprawniało wysokie jego żądania.

Przez chwilę trwało przykre milczenie. Teraz Horecki nie szukał na nie pretekstu, nie sięgnął po papiery ani po filiżankę, tylko głowę opuścił na piersi. Sztuczna powaga i sztuczna wesołość odbiegły go w jednej chwili; teraz komedja mieniła się w dramat. Trzeba było mówić na serjo, wspominać przeszłość którą chciał zapomnieć, i wznawiać wiecznie hańbiący targ o milczenie człowieka, który wiedział za wiele.

— Dajmy pokój próżnym słowom Ciarkowski; mów wyraźnie ile żądasz?

Ale właśnie kamerdyner pierwszy żadnej cyfry wymienić nie chciał; więc wyrzekł pusząc się coraz bardziej.

— Mówiłem już panu hrabiemu, że tu pieniądze nic nie znaczą.

Nerwowy dreszcz niecierpliwości przebiegł twarz hrabiego.

— Dobrze więc—odparł hamując się z trudnością,—już ja postaram się o męża dla Andzi.

— Zbytek łaski pana hrabiego.

— Więc czegoż chcesz w końcu?—zawołał Horecki przywiedziony do ostateczności.

— Pan Kiljan—rzekł znowu kamerdyner.

Ale hrabia przerwał mu zaczęte słowa, powstając gwałtownie; miara cierpliwości jego przebrała się w końcu.

— Ciarkowski!—wymówił urywanym głosem—pamiętaj, że kto zbyt wiele żąda nic nie otrzymuje; nie sądź bym był na łasce twojej.

— Na łasce mojej?—powtórzył kamerdyner wracając do dawnej uniżoności; a mierząc hrabiego z boku fałszywem wejrzeniem, dodał: prawdziwie pan hrabia mówi o rzeczach, o których nie myślałem wcale.

— Nie przerywaj mi—ciągnął dalej hrabia blady od wzruszenia, hamując wybuchy wściekłego gniewu,—nie oszukasz mnie; uczyniłem dla ciebie wiele, i dalej czynić będę co w możności mojej.

— To też ja całe życie służyłem bratu pańskiemu, odbywałem z nim wszystkie podróże, byłem z nim w Ameryce, w Valparaiso—mówił Ciarkowski niby pokornie, bez zmiany głosu i postaci.

— I cóż ztąd? Rozumiem groźbę zawartą w tych słowach, ale nie sądź bym jej się wiecznie miał lękać. Kościół katedralny w Valparaiso spalił się ze wszystkiemi aktami, nie masz mnie jeszcze w ręku. Powtarzam jednak, że gotów jestem wiele dla ciebie uczynić, byle nagrodzić zły postępek mego syna; gotów jestem do znacznej ofiary.

— Ofiary panie hrabio? jakiej?

Teraz Horecki poznał taktykę przeciwnika; chciał on żądania swoje mierzyć słowami jego. W tym targu około którego krążyli od początku, nikt nie chciał pierwszy wymówić cyfry.

Od bardzo dawna ex-kamerdyner był dla hrabiego złowrogiem widmem, czemś nakształt chmury brzemiennej gromem na horyzoncie powodzeń jego. Ciarkowski wiedział o tem, i wiecznie nienasycony otwierał usta, które mu złotem trzeba było zamykać; a teraz nowy fakt dawał mu nowe prawa. Blizkie małżeństwo Wilhelma, o którem z pewnością wiedzieć musiał,- podwajało jego bezczelność; czuł całą ważność chwili, i z pewnością chciał ją wyzyskać—a śmiałe słowa jakie wymawiał, imie Kiljana którem pierwszy raz się posiłkował, mogły być dla hrabiego skalą jego żądań. Więc hrabia milczał czas jakiś, ważąc w myśli wysokość summy jaką ofiarować było potrzeba. Ale i Ciarkowski korzystał z tego momentu rozejmu wśród walki jaką toczyli obaj; i on także obrachował szybko sprawione wrażenie, a urywane słowa hrabiego, bezsilny hamowany gniew, i łaskawy zwrot ostatni, zamieniał także na cyfry. I czemużby raz naprawdę nie miał wyjść ze swego położenia? Skoro spuścizna Juljusza Horeckiego nie dostała się jego synowi, byłto więc łup przeznaczony dla najzręczniejszego. Dla czegoż on tym najzręczniejszym być nie miał? Żądania jego rosły w miarę jak zaspokojone bywały;

otrzymawszy dotąd wszystko czego chciał, oburzał się na niedołęztwo dotychczasowych wymagań,i postanowił powetować czas stracony. Sposobność była po temu. On także śledził interesa i zamiary domu, którego majątek, spokój i dobrą sławę miał w ręku; wiedział, że gdy raz Horeccy połączą się z rodziną księżniczki Stefanji, gdy raz majorat Wilhelma ustanowionym będzie, hrabia Feliks mniej powolnym stanie się dla niego. Więc wyrzekł sam do siebie—„dziś lub nigdy“, i jak zręczny szermierz wszystkie siły swoje zebrał i skupił, by zdobyć to co zamierzył. Lecz tutaj właśnie leżała trudność, bo zamiary jego nie były sformułowane wyraźnie. Żądania swoje chciał doprowadzić do wszelkich granic możliwości, a sam nie wiedział dobrze gdzie były te granice. Milczał więc uparcie, a milczeniem tem zwyciężył hrabiego.

— Słuchaj Ciarkowski, rzekł wreszcie hrabia pokonywając niecierpliwość swoją, i widząc się zmuszonym do gry otwartej; dla ciebie i dla córki twojej najlepiej będzie ztąd się oddalić; wynieś się z nią tam naprzykład, gdzie tylu dąży emigrantów —do Ameryki lub Australji. Koszta podróży i osiedlenia naturalnie biorę na siebie; zapewnię wam stały dochód dożywotni, oprócz posagu dla Andzi.

Hrabia mówił to powoli, z przerwami, i przeciw zwyczajowi swemu patrzał w oczy ex-kamerdynera,

chcąc w nich wyczytać przyzwolenie na propozycje swoje; a im bardziej twarz ta była nieporuszoną, tem więcej dodawał do czynionych ofiar. Gdy skończył, Ciarkowski jeszcze nadstawiał ucha jak lis w bajce.

— To rzecz bolesna, odparł po chwili—opuszczać znowu swój kraj, kiedy kto tyle co ja nawłóczył się po świecie; ale czegożbym nie uczynił dla dziecka!

— Więc przystajesz?—pytał hrabia z ukrytą radością.

Ale teraz Ciarkowski także przemówił otwarcie.

— To zależeć będzie od wysokości rocznego dochodu, i cyfry posagu mojej córki.

Tutaj zaczął się pomiędzy łotrem wielkiego i łotrem małego świata targ zajadły, hańbiący; targ ponawiany już nieraz, w którym hrabia opłacał hojnie poniżeniem powodzenia i dostatki swoje. Jakkolwiek Ciarkowski był panem położenia, jednak teraz żądał zawiele, a hrabia okazał się daleko twardszym niż tamten przewidywał. Związani raz wspólną zbrodnią, musieli dalej pomagać sobie wzajemnie, a silniejszy bezkarnie brał dla siebie lwią zdobycz.

Zaciskając zęby, Ciarkowski przyjąć musiał warunki hrabiego; ale uczucie nienawiści i zemsty wrzało w jego piersi zaledwie pohamowane korzyścią. Była to iskra, którą lada okoliczność w po-

żar rozdmuchnąć miała. Myśl hrabiego wydalenia go z Europy, budziła w nim wściekłość—a jednak ją przyjął. On także czuł potrzebę zacząć nowe życie, uciec gdzieś daleko, może przed sumieniem, może przed tem widmem przeszłości, które czasem spotykał znienacka w osobie Kiljana.

Gdy po długich targach Ciarkowski wyszedł z pokoju hrabiego, ten ostatni odetchnął swobodnie. Obiecana ofiara pieniężna była znaczną; ale warunki któremi skrępował ex-kamerdynera, zapewniały mu w zamian spokój zupełny. Teraz, skoroby tylko weksel wypłacalny jedynie w Nowym Yorku uiszczonym został, mógł zapomnieć na zawsze o Ciarkowskim i jego Andzi. Hrabiemu zdało się, że już położył przestrzeń oceanu pomiędzy sobą a zbrodnią swoją.

Kamerdyner powolnym krokiem powrócił do siebie. Córka oczekiwała go z dreszczem trwogi i nadziei. Ta dziewczyna tak mało zaznała praktyczne życie, iż pomimo widocznego opuszczenia jej wierzyła Wilhelmowi, i kochała go owem namiętnem, bezrozumnem uczuciem, które opiera się zawodom i bolom, bo nie jest oparte ani na szacunku ani na prawdzie. Kochała go, bo był pięknym, dumnym, pogardliwym; najwięcej może wówczas gdy nie dbał o nią. Wyobrażając sobie że jest bohaterką romansu, wierzyła że jakiś zbieg nieprzewidzianych okoliczności, jakieś tajemnicze potęgi powrócą go

jej, jak się to działo zawsze w książkach, których tyle czytała.

Ciarkowski powrócił, a twarz jego przedstawiała dziwny kontrast chęci i uczuć co nim miotały. Dziewczyna nieśmiała go pytać, ale serce jej biło; oczy wlepiła w ojca z takim wyrazem, że zawahał się nim jej powiedział zamiary swoje. Ale przyszłość którą zdobył dla niej wydawała mu się tak świetną, iż nie przypuścił nawet by ją odrzucić mogła.

— Ojcze—zapytała wreszcie Andzia—czy widziałeś go?

— Po jakiego djabła widzieć go miałem—odmruknął Ciarkowski zaciskając zęby i pięści.

— Jakto?—zawołała zlękniona dziewczyna.

— Widziałem się ze starym hrabią, on ma lepszy rozum i kieszeń od syna. Niech go tam licho porwie razem z jego księżniczką, my porzucimy Warszawę, popłyniem do Ameryki.

— Do Ameryki, bez niego!—szepnęła Andzia blednąc i załamując ręce.

Ciarkowski wzruszył ramionami.

— Oszalałaś czy co? przecież w ciemie bity nie jestem. Hrabia dobrze opłacił za syna—dodał znacząco uderzając się po kieszeni.

Andzia zalała się łzami, ojciec przybliżył się nachmurzony.

— No, pociesz się—wyrzekł głaszcząc jej włosy —mam dla ciebie posag; będziesz bogatą, bardzo bogatą; rozumiesz?

Ale córka nie słuchała go więcej; ukrywszy twarz w dłonie łkała gwałtownie. Pieniądz nie miał dla niej wyraźnego znaczenia; nieznała niedostatku, nie obrachowała inteligencją potęgi złota, i mówiła o niem z rodzajem konwencjonalnej pogardy, cechującej sielankowe romanse zeszłego wieku. Ciarkowski tracił głowę; żadne słowa jego trafić nie mogły do jej myśli i serca. Daremnie przedstawiał jej wszystkie korzyści jakie miał osięgnąć, opisywał rozkosze życia jakie wieść mieli, nęcił obrazami dalekiego świata. Dziewczyna odpowiadała mu tylko łkaniem. Bezładne wyrazy wyrywały się z jej ust.

— Zostaw mnie tu ojcze! chcę go widzieć przynajmniej, chcę umrzeć.

„Chcę umrzeć"—tę myśl można było wyczytać w jej oczach osłupiałych, w jej rozpacznem milczeniu nawet. Ale Ciarkowski nie był znawcą serc ludzkich, a córkę swoją mniej jeszcze niż innych był w stanie pojąć. Andzia przy nim była sama zupełnie, bez opieki i obrony tak przeciw ułudom życia, jak i pokusom śmierci. Kierował nią dowolnie dopóki była dzieckiem, jak bierną istotą; dzisiaj nie miał na nią najmniejszego wpływu, na jej boleść nie znajdował pociechy, na jej upór lekarstwa.

I ten wyjazd ułożony tak pospiesznie, który tak hojnie miał być opłaconym przez hrabiego, odłożonym być musiał do nieokreślonego czasu. Daremne były perswazje, gniew i wyrzuty Ciarkowskiego. Andzia zwyciężona cierpieniem i łzami padła bez zmysłów na kanapę, a otrzeźwiona staraniem starej Małgorzaty, zemdlała znowu. Nazajutrz wywiązała się gwałtowna gorączka—wezwano doktora. Andzia była chorą niebezpiecznie.

*
* *

Tegoż samego dnia zrana, skromny orszak weselny wchodził do katedralnego kościoła. Kiljan prowadził do ołtarza narzeczonę swoją. Przy obrzędzie nie było ni świetnego grona krewnych i przyjaciół, ni potoków światła, ni mów napuszonych; ale gdy dwoje tych ludzi podało sobie rękę na wieczną przysięgę, z ich oczów jaśniejących miłością, wiarą i nadzieją—strzeliły tak czyste blaski, że posępna atmosfera kościoła zdawała się rozpromienioną światłem ich duchów, rozgrzana ich ciepłem serdecznem. Oboje byli w całym rozkwicie życia, oboje piękni duchem zarówno jak ciałem; oboje zahartowani bolem, wyrobieni sieroctwem i nieszczęściem, patrzyli w przyszłość nie jak bezświadome dzieci, nie jak istoty zagłuszające bezmyślnem weselem twardą rzeczywistość, ale jako ludzie co

znają próby życia, i stawić im potrafią pogodne czoło.

Spoglądali na siebie, a niebo zachwytów było w ich źrenicach. Namiętne oko Kiljana pałało, ale nie było w niem ślepego szału, jaki chwila zapala i chwila zagasić może. Nie, to było najwyższe, trwałe, rozumne upojenie, do jakiego człowiek ma prawo, a którego tylko wybrane natury dosięgnąć mogą. Duch jego ogarniał jej ducha, serce topiło się z sercem. Czuł się zdolnym prowadzić ją niezachwianie wśród cierni i głogów życia, bez rozpaczy w złej chwili, bez upadku w pomyślnej. Szczęśliwy nawet wśród bolu, bo w jej uśmiechu czerpał siłę, męztwo i osłodę. A ona patrzyła na niego i zapominała istności własnej. Szczęście jego było jej szczęściem, chwała jego jej chwałą, i życie jej życiem.

I cóż znaczyć mógł dla nich świat, ludzie, poniesione krzywdy, czyhające nieprzyjaciół oczy, nikczemne poszepty nienawiści, zdrada, fałsz i podłość opasujące ich zewsząd? To wszystko dosięgnąć ich nie mogło. Nienawiść stawała się bezsilną. Świat mógł się sprzysiądz przeciwko nim, dni ich zaprawić goryczą,—ale nie odebrać im wiary w siebie, ani pokonać tej świętej dumy miłości—jaką płonęli wzajem, ani zachwiać szczęścia przepełniającego im piersi.

10*

Stanęli przed ołtarzem jak dwoje wybrańców naznaczonych piętnem Bożem na czole; a gdy wymawiali słowa przysięgi, sprofanowane tyle miljonów razy,—słowa te powracały do pierwotnego znaczenia, odradzały się na ich ustach. Nie było próżnych łez w oczach oblubienicy, ni pół uśmiechów i szeptów w koło niej—jednak w kościele tłum był wielki; ale zalegała go uroczysta cisza, tak że słyszeć było można zdala każdy wyraz wymówiony jasno i dobitnie, naprzód męzkim głosem Kiljana, potem srebrnym głosem Cecylji. Nie byli oni sami w tej godzinie; w koło ołtarza cisnęli się różni ludzie. Widać tam było i mundury uniwersyteckie, i bluzy rzemieślnicze, i stare wąsate twarze, i młode, pełne nadziei oblicza. Gdyby Kiljan obejrzał się w owej chwili, wszystkie ręce otwarłyby się by go witać, z każdej piersi wyszłoby serdeczne słowo. Bylito nieznani towarzysze jego nauk i pracy, a każdy prawie winien mu był wdzięczność. Każdego w danej chwili wsparł i dźwignął, to radą, to przykładem, zachętą lub wsparciem. Sam uśmiech jego smutny a pogodny, samo słowo hartowne powracało odwagę i ufność, jak gdyby było właściwością jego wysokiej natury oświecać i wzmacniać.

Ale oprócz tego tłumu był jeszcze jeden świadek ślubu, o którym z pewnością nie pomyślało żadne z nowożeńców. Gdy młodzi ludzie wchodzili do kościoła, nie zważali że przed nim stała kareta oz-

dobiona herbami Horeckich; gdy zbliżali się do ołtarza, nie widzieli w ławce tuż przy nim siedzącej kobiety, która spiesznie za ich wejściem spuściła na oczy koronkową zasłonę—a jednak z po za niej śledziła ich z bijącem sercem, wytężonym wzrokiem. Byłato hrabianka Amelja. Dziwny traf zestawił tutaj tych dwoje ludzi, którzy razem młodzieńczą sielanką rozpoczęli życie. Była chwila w przeszłości, kiedy ich myśli, serca, pojęcia i pragnienia stały na równi, w której mogli kochać się i zharmonizować; a przecież któż dzisiaj spoglądając na nich, mógł temu uwierzyć? Fala życia uniosła ich w przeciwnych wprost kierunkach; a dziś, jaka zachodzić mogła styczność pomiędzy tą kobietą rozpieszczoną zbytkiem, fantazjami świata, podobną do kwiatu zasuszonego w zielniku,—a tym człowiekiem w całym rozwoju męzkiej piękności i siły? Dla niego ona była zaledwie zamierzchłem wspomnieniem, pamięcią pierwszego zawodu. Ale któż rozwikłać zdoła chaos uczuć, wrażeń i bolów, jakie widok jego zbudził w duchu Amelji!

Są błyskawicowe chwile, w których serce drzemiące, nieświadome siebie, ocknie się i zrozumie gwałtownie; są głuche bole jednem westchnieniem na jaw wydobyte; są istoty cò nagle po latach niebytu budzą się do życia cierpieniem, i rozumieją z przerażającą jasnością przeszłość całą niepowrotnie minioną.

Życie nie ziściło żadnych marzeń Amelji. Młodość jej przeszła i zwiędła wśród lodowatych światowych stosunków, wśród rodziny chłodnej, szyderczej i niesprawiedliwej. Poświęcono ją dla blasku imienia, dla widoków nienawistnego brata. A za to poświęcenie nic nie dano jej w zamian: ni serdecznego słowa, ni zachęty, ni współczucia żadnego. Wśród rodziny własnej była obcą.

W dawnych latach, kilku ludzi jej świata i położenia, choć dużo starszych od niej wiekiem, pokusiło się o jej rękę; dla czegoż ich odrzuciła? Młoda i piękna, czuła się w prawie żądać czegoś więcej niż zimnego, konwenansowego małżeństwa; bo może w głębi jej serca została pamięć nadto żywa głębokich spojrzeń, namiętnych słów pierwszej miłości, którą tak gwałtownie przerwała rodzinna katastrofa Kiljana. A przecież ona sama dla niego była nieubłaganą. Nie okazała mu w ostatniem widzeniu się z nim ani żalu, ani współczucia. Czy go nie było jednak w głębi jej serca?—nie wiedziała sama. Z pewnością nie przeszło przez jej myśl nawet dzielić z nim ubóstwo i pracę; ale czyż nie miała tajemnej nadziei, że serce jej drugi raz podobnie uderzy, że spotka podobnego jemu wśród świata do którego przyrosła? Czy winną była temu, że nie zdołała rozwikłać samej siebie? Czy wskazano jej jakąbądź prawdę życia? Czy nauczono ją czuć i myśleć? Czy jakiekolwiek zdrowe pojęcie przecisnęło

się kiedy w atmosferę konwencjonalnych obyczajów, konwencjonalnej wiary, i konwencjonalnych miłości, wśród których zrodziła się i wzrosła?

Jedyne żywe słowo prawdy jakie usłyszała kiedy, było słowo miłości Kiljana; nie była może w stanie jej ocenić, a jednak siła tej miłości była tak wszechwładną, że nie zdołała zapomnieć nigdy tych chwil zachwytu. Oneto rozdźwięczały wśród jej życia i mąciły fałszywą harmonję jego, niby ziarno złożone w ziemi, pokryte śniegiem i lodem, które przy lada słonecznym promieniu rozwija się nagle.

Od tego czasu w Amelji nic nie zmieniło się na pozór. Nie tęskniła, nie mizerniała, nie bladła; wypełniała jak zawsze skrupulatnie pod okiem matki obowiązki swego wysokiego położenia, nie dawała posłuchu popędom serca ani nowatorskim ideom. Tylko pomimo jej woli pewne słowa, pewne myśli, pewne uczucia sprawiały na niej dziwne wrażenie, targające jakieś struny tajemne, jej samej nieznane dobrze. Czasem też we śnie niepokoiły ją wspomnienia.

Mijały jej lata marnie, jednostajnie, wśród zabaw i rozrywek świata. Dzień jeden tak podobnym był do drugiego, iż nie spostrzegła ich biegu, i sądziła że jest zawsze tą samą młodą, śliczną Amelją, którą kochał Kiljan.

Rano dnia tego, w którym go ujrzeć miała stojącego przy ołtarzu z Cecylją, zwyczajem swoim pojechała do kościoła; serce jej, przesycone próżnią życia jakie wiodła, pragnęło rozgrzać się wiarą. Wprawdzie kościół Śgo Jana położony wśród starej dzielnicy miasta, nie był kościołem protegowanym przez arystokratyczne pobożnisie wielkiego świata; zbyt często tam ocierać się mogły o ubogą rzemieślniczą odzież. Ale Amelja miała swe ekscentryczności, i lubiła modlić się samotna wśród gotyckich naw katedry. Łuki strzelistych sklepień, światło przyćmione kolorowemi szybami—harmonizowało z jej usposobieniem; więc na przekor modzie, czasami w dzień powszedni ważyła się rano przestąpić progi plebejuszowskiej świątyni. Już wysłuchawszy mszy wychodzić miała, gdy ujrzała przygotowania do ślubu. W naszem społeczeństwie, w którem istność kobiety zamyka się li tylko w miłości i rodzinie, ślub każdy obudza mimowolne zajęcie; ale dla starej panny wydziedziczonej ze swej cząstki życia, dla której prawdopodobnie chwila ta nie nadejdzie nigdy, ciekawość miesza się z palącym żalem, z nieujętą zazdrością. Więc chociaż to był tylko ślub plebejuszowski, Amelja zatrzymała się widząc orszak weselny wchodzący w progi kościelne. Spojrzała niby obojętnie z góry na nowożeńców; ale spojrzawszy zbladła gwałtownie i ukryła się w ławce. Lękała się by jej Kiljan nie poznał. Obawa ta

daremną była; on na całym świecie widział tylko Cecylję. On mógł rzucić na nią okiem w tej chwili, i nie przypomnieć sobie nawet że to była jego pierwsza miłość.

Amelja drżała; pierś jej podnosiła się coraz szybciej; dziwny rumieniec wystąpił na lica. Cuda dzieją się czasem w dziewiczych sercach. Kto wie czy wówczas hrabianka Horecka nie pozazdrościła losu tej biednej dziewczynie, wypędzonej przed kilku miesiącami z ich domu!

Cecylja promieniała szczęściem, Cecylja kochała i była kochaną, posiadała to, czego ona, Amelja— prawdopodobnie posiąść nie miała nigdy. Amelja spojrzała w samą siebie, i znalazła na tle czczości, pustki i nudy, niezatarty niczem obraz Kiljana,— i zrozumiała iż pomimo minione lata, pomimo wszystko co przeszło między niemi, ona kochała go jak kochają czasem istoty wydziedziczone i zawiedzione życiem. W całej przeszłości swojej znalazła jedną tylko chwilę jasną, pamiętną, tę pierwszą miłość. I z bolem bez nazwy, z bolem jakiemu równego nie doznała nigdy, słuchała całego obrzędu. Skończył się. Nowożeńcy wyszli z kościoła, a ona pozostała na miejscu wpół martwa. Ale myśl jej pracowała, pamięć przedstawiała minione obrazy; tylko teraz wydawały się jej one inne niż dotąd. Dziwne światło rozlewało się w jej piersi, a łzy gorące płynęły po jej twarzy—może pierwsze

łzy czyste jakie wylała w życiu. Pogrążona w marzeniach zapominała mijających godzin.

Tymczasem hrabina Horecka potrzebowała córki. Dziś właśnie były urodziny księżniczki Stefanji, i dzień cały miano spędzić razem w gronie rodzinnem, w jednej z pańskich rezydencij otaczających Warszawę, gdzie obecnie przemieszkiwała księżniczka. Hrabina niespokojnie spoglądała na zegarek, rachując ile godzin zabrać musi toaleta córki, i nasłuchując turkotu powozu. Czas upływał, a na majestatycznem obliczu hrabiny coraz wyraźniej znaczyła się niecierpliwość, rysując fałdy na gładko wymalowanem jej czole; bo z trudnością już tylko zdążyć mogła na naznaczoną godzinę — a miała skromny zwyczaj trzymać się zasady Ludwika XIVgo. Akuratność uważała; jak on, za jedyną grzeczność właściwą panującym. Spóźnieniem ubliżyłaby samej sobie.

Wreszcie nie mogąc doczekać się córki, zadzwoniła gwałtownie; we drzwiach ukazał się służący.

— Czy panna Amelja nie powróciła dotąd?—spytała.

Pokazało się, że Amelja oddawna już była u siebie.

Hrabina powstała żywo na tę wiadomość, chcąc przyśpieszyć ubieranie córki; ale jakież było jej zadziwienie, gdy spostrzegła pokój córki pusty!

służąca nawet nie przygotowywała ubioru, nie odebrawszy w tym względzie żadnego rozkazu. Amelja była w ogrodzie. Z oburzeniem nie do wypowiedzenia hrabina udała się za nią, i na żwirowanych ulicach zaszeleściał gwałtownie długi ogon jej jedwabnej sukni.

Amelja siedziała na tej samej marmurowej ławce, gdzie przed laty ostatni raz widziała Kiljana; z głową ukrytą w dłoniach, zatopiona w marzeniach przeszłości, zapominała o rzeczywistym świecie. Ah! gdyby jej kto powrócił tę chwilę, gdyby on znów tak jak kiedyś stanął przed nią, gdyby znów wymówił to słowo: „kocham“, odtrącone tak niebacznie!—dałaby resztę życia za tę jedną chwilę. Czemuż była tak szaloną, iż stłumiła wówczas bicie swego serca, nakazała milczenie uczuciom?—Czemuż tak doskonale odegrała rolę, jaką na nią nakładały pojęcia świata, iż samą siebie potrafiła oszukać? A teraz to już nie mogło wrócić—nigdy, nigdy, nigdy! Słowo to rozbrzmiewało w jej duchu jak echo żałobne.

Hrabina stała chwilę naprzeciw córki nie spostrzeżona od niej, z osłupieniem przyglądając się jej postaci znękanej; ale nie było w niej znać najmniejszego współczucia.

— Ameljo, wyrzekła w końcu cierpkim głosem—Ameljo, au nom du ciel, o czemże myślisz dzisiaj!

Na głos matki córka drgnęła, i podnosząc głowę okazała jej twarz tak smutną, że gdyby hrabina pozwoliła sobie jakiejbądź słabości ludzkiej, wzruszyłaby się do głębi serca macierzyńskiem uczuciem. Ale daleka od tego, zauważyła tylko jak długiego czasu wymagać będą rozrzucone włosy Amelji, zanim do porządku przyprowadzone zostaną.

— Ameljo! wszakżeż to już po pierwszej—wyrzekła.

Amelja spojrzała na nią zmąconym wzrokiem, nie rozumiejąc wyraźnie całej grozy, zawartej w tym zwyczajnym frazesie.

— Po pierwszej, powtórzyła, spoglądając bezmyślnie na niezwykły o tej godzinie strój matki.

— Tak jest, po pierwszej, po pierwszej!—powtarzała tragicznie hrabina — czyż mnie nie słyszysz?

Bo nie przeszło jej nawet przez myśl, by ktokolwiek w jej domu mógł zapomnieć o uroczystości dnia tego. Jednak gdy Amelja pozostała głuchą nawet na te wyrazy, hrabina przyprowadzona do ostateczności wzniosła ze skargą oczy i ramiona do nieba, szepcąc:

— C'est inconcevable!

— O cóżto chodzi?—wyrzekła w końcu niechętnie Amelja, poznając z tego wymownego gestu, że coś ważnego w domu zajść musiało.

— Jakto! i ty się pytasz jeszcze?—przecieżto dzisiaj urodziny księżniczki Stefanji! Cała jej rodzina zgromadzona oczekuje na nas; Wilhelm już oddawna pojechał, a ty się nie ubierasz nawet!

— Na te słowa, blade źrenice Amelji zabłysły; odnowiły się rany jej serca, nienawistne imię brata i narzeczonej jego wstrząsnęło jej rozstrojonym duchem; podniosła oczy na matkę z nieujętym wyrzutem, i rzekła zwolna:

— Ja nie pojadę wcale.

— Jakto, co mówisz!—zawołała hrabina niedowierzając własnym uszom.

— Nie, ja nie pojadę — wyrzekła stanowczo Amelja.

Ale w głosie jej drżało tyle wzruszeń i tyle oburzenia, iż słowa te zadźwięczały jak buntownicze wyznanie wiary.

Hrabina stała w miejscu osłupiała. Amelja podniosła się gwałtownie, pierś jej wzbierała żalem, oczy zachodziły łzami; potrzebowała wypowiedzieć swój ból, przytulić się do kochającej piersi, i spojrzała na hrabinę, jakby szukając w niej matki.

— Matko moja, zawołała zapominając o życiu całem chłodu, obojętności i przymusu, wierząc może iż znajdzie w tem oschłem sercu choćby iskierkę ludzkiego uczucia—o matko, żebyś wiedziała jak mi smutno!

I rzuciła się ku niej z serdecznym wybuchem, obejmując rękoma jej ramiona.

Ale hrabina nie należała do rzędu kobiet pokonywanych lada słabością, nie rozczulała się nad urojonemi bolami—a urojeniem było dla niej to wszystko co podciągnąć się nie dało pod światowe formy, zwłaszcza też gdy była w wielkiej toalecie i lękała się opóźnić w towarzystwie. Dla tego odtrąciła z przyzwoitą powagą córkę od siebie, mówiąc lodowatym głosem:

— Dość tych dzieciństw, chodź się ubierać.

I wzięła ją za rękę; ale ręka Amelji była sucha, gorączkowa, przez rękawiczkę paliła hrabinę. Nie zważając jednak na to, chciała pociągnąć córkę ku pałacowi. Amelja zadrżała, chwila rozrzewnienia minęła w niej także. W zetknięciu się z tym nieprzełamanym chłodem uczuła, że kobieta co w podobnej chwili mogła w ten sposób przemawiać, co na jej ból serdeczny nie znalazła i słowa nawet, nie miała prawa nazywać ją córką. Łzy jej tłumione w żółć się zamieniły.

— Nie, ja nie pojadę nigdzie—wyrzekła; są rzeczy które już bardzo dawno leżą mi na sercu, raz wypowiedzieć je muszę. Ja nienawidzę księżniczki Stefanji, ja nienawidzę Wilhelma!—poświęcono mnie dla niego, i...

Tu zawahała się i podniosła oczy; ale mówiła na próżno. Hrabina nie zadając sobie nawet przymu-

su słuchania jej majaczeń, jak je nazywała, zawróciła się majestatycznie i poszła ku pałacowi. Postępowanie Amelji przechodziło jej pojęcie; nie mogąc przełamać tego uporu udała się do męża, jak to czyniła jedynie w bardzo ważnych razach.

Hrabia był właśnie w najgorszym humorze. Upokarzająca scena z Ciarkowskim, wyczerpała szczupły zapas cierpliwości jakim obdarzyło go niebo. Widząc wchodzącą żonę przeczuł, iż znowu czeka go coś przykrego, i zaledwie pokrywając swą cierpkość zdawkową grzecznością, powitał ją czekając aż wytłumaczy ten krok niezwyczajny.

Jak łatwo się domyśleć, stosunki pomiędzy małżonkami nie były nigdy serdeczne; ale oboje wiedzieli co sobie są winni wzajem, i nie wymagając nic więcej, dopełniali ściśle obowiązków jakie wkładały na nich obyczaje świata. Zresztą w wielu rzeczach zgadzali się zupełnie, a żadne uczucie, żaden wybryk serca nie zamącił nigdy zimnej harmonji tego wzorowego stadła. Gdy chodziło o Amelję, poświęcono ją jednozgodnie; matka nie podniosła głosu za córką, nie zabolała nad jej przyszłością. Czyż od wieków córki szlachetnych rodzin nie powinny były ustępować miejsca braciom, którzy jedni świetność imienia utrzymać mogli? Zresztą,czyż Amelja odrzucając partje jakie jej się zdarzały, sama na swój los nie zasłużyła?

Teraz jednak niezwykłe wzruszenie malowało się w całej postaci hrabiny, bo też okoliczności były ważne; czas naglił! chwila jeszcze, a żaden pośpiech nie mógł już wynagrodzić straconych godzin.

— To rzecz niepojęta—zawołała żywo, wyraźnie wytrącona z kolei nagłym wybrykiem córki—Amelja nie chce jechać z powinszowaniem urodzin księżniczki, jak to było ułożone.

— Amelja?—spytał ojciec, oddychając swobodnie że mu nic gorszego nie grozi, i patrząc na zafrasowaną twarz żony z nieznacznem lekceważeniem. Amelja—powtórzył po chwili—musiał jej jak zwykle brat nadokuczać.

— Niesprawiedliwym jesteś dla Wilhelma, Feliksie —przerwała żona, widocznie zadraśnięta w jedyną żywą strunę serca; przeciwnie,od kilku czasów il est charmant pour Amélie.

Hrabia przyciął wargi ze znaczącym ironicznym uśmiechem. Scena z Ciarkowskim wyraźnie ciążyła na Wilhelmie; ale jak zwykle, nie uważał hrabia za stosowne podzielić z żoną tajemnych myśli swoich. Zresztą sprawa, która ją tu przywiodła, wydała mu się tak błahą w obec brzemienia niepokoju jaki znosił, iż zaledwie hamując niecierpliwość, spytał niedbale.

— Cóż jest Amelji, może chora?

— Nie, nie chora, siedzi w ogrodzie i ubierać się nie myśli; powiedziała mi to wyraźnie.

— To musi być chorą—wyrzekł ojciec stanowczo; zresztą skoro nie chce zrozumieć obowiązków rodzinnych i towarzyskich, postąp stosownie, wymów ją migreną.

Ale hrabina wzruszyła ramionami. Zanadto znała świat by nie wiedzieć, że wszystkie lekkie, przemijające cierpienia, przestały służyć za wymówkę, i zamieniły się w pewien rodzaj znaków towarzyskich; że w świecie, tak jak i w dyplomacji, każda choroba ma swoją przyczynę, a od spełnienia niektórych towarzyskich powinności, śmierć jedna uwolnić może. Więc pierwszy raz może w życiu zwątpiła o nieomylności męża. Przyznać też trzeba, że wkrótce sam hrabia uznał niestosowność swojej rady, i po namyśle zrozumiawszy doniosłość tego domowego buntu, zapytał.

— Co Amelja robiła? z kim się widziała?—wszak wyjeżdżała dziś rano?

— Była w kościele tylko—rzekła hrabina.

Ale hrabia nie poprzestał na tej odpowiedzi; zadzwonił, i kazał wezwać córkę.

Po tym rozkazie ojciec i matka nie zamienili słowa między sobą, i czekali w milczeniu ukazania się winnej. Po chwili weszła Amelja. Ale na widok surowych twarzy rodziców opuścił ją wyraz znękania; podniosła na nich wzrok błyszczący, ale nie mówiła nic, tylko blade jej usta drgały wzruszeniem.

Stanęła przy biurku ojca, i oparła się ręką o krawędź jego.

Hrabia, który niby nie patrzał na nią, nie stracił kosemi oczyma jednego jej ruchu, i zmiarkował że z tą wzgardzoną dziewczyną sprawa łatwą nie będzie. Obdarzony daleko większą przenikliwością niż żona, domyślał się oddawna burz wrzących w tym duchu, i instynktownie lękał się córki. Ona dotąd nie sprzeciwiała mu się w niczem; jednakże było coś w charakterze Amelji, w jej spojrzeniu i głosie, co ostrzegało ojca, że ona nie poszłaby nigdy śladami jego; że tam były uczucia i myśli w letargu, czekające chwili zbudzenia. Ztąd może pochodziła i niechęć jego do córki, i systematyczna obojętność postępowania z nią. Zresztą ona mu była żywym wyrzutem, przypomnieniem człowieka i chwili, którą chciał, pragnął zapomnieć.

— Ameljo—spytał, nie podnosząc na nią oczów—radbym wiedzieć gdzieś spędziła dzisiejszy ranek?

— Wyjeżdżałam do kościoła—odparła krótko.

— I nie byłaś nigdzie więcej?—pytał dalej spoglądając teraz na nią z boku.

— Nigdzie—odrzekła bez najmniejszego zmieszania.

— I nie widziałaś nikogo?

Tu Amelja zawahała się, ale chwilkę tylko; płomienny rumieniec oblał jej twarz zwiędłą. Ale co

znaczył ten rumieniec, jakie wywołało go uczucie?— ojciec i matka nie zrozumieli, nie silili się odgadywać.

— I owszem—odrzekła wreszcie jakby rada była pomścić się jednym wyrazem—widziałam ślub Kiljana.

— Kiljana!—zawołał hrabia zapominając się i powstając gwałtownie;—przekleństwo! on się ożenił! tyś wiedziała o tem, byłaś na jego ślubie!

Feliks Horecki strasznym był w tej chwili; ściskał w swoich rękach ręce córki i wstrząsał niemi gwałtownie; słowa konały mu na ustach zsiniałych. Hrabina zgorszona tak niestosownym wybuchem gniewu, i nie pojmując wcale znaczenia tej sceny, siedziała jak przykuta w fotelu z właściwą sobie godnością, wlepiając majestatycznie oczy w sufit.

— On się ożenił!—powtarzał ciągle hrabia, spoglądając roziskrzonem okiem w twarz córki.

Zrazu Amelja osłupiała na wrażenie jakie sprawiły jej słowa. Wiedziała dobrze iż ojciec nie cierpiał wspomnienia Kiljana; ale nie pojmowała czemu wiadomość o jego ożenieniu się z tak strasznem wzruszeniem przyjętą była. Więc po chwili podniosła głowę,i patrzyła wzajem nieulękła na niego.

Hrabia pojął że tym sposobem nic się od niej nie dowie. Uspokoił się wysileniem woli, i odsunął córkę od siebie.

— Mów—wyrzekł głucho—zkąd wiedziałaś o tym przeklętym ślubie?

— Ja nie wiedziałam nic—odparła Amelja; jak zwykle byłam w kościele, gdy ujrzałam parę stojącą przed ołtarzem.

— Z kim on się ożenił? z kim?

— Z panną Cecylją, dawną guwernantką mojej siostry—wyrzekła Amelja stłumionym głosem, a nie odbierając odpowiedzi, mówiła dalej ożywiając się coraz bardziej. Poznałam ją i jego poznałam. Od lat tylu nie zmienił się wcale, tylko twarz jego ogorzała, nabrała dziwnej powagi; ale oko płonie tak jasno, tak czysto, tak gwałtownie jak kiedyś. Ani nędza, ani praca, ani upłynione lata nie ugięły go, nie odebrały nic z szlachetnego wdzięku; to był ten sam Kiljan którego znaliśmy dawniej, piękniejszy jeszcze, gdyby to być mogło.

Amelja mówiła więcej do samej siebie niż do ojca; słowa te leżały jej na sercu, potrzebowała je wymówić, potrzebowała sformułować koniecznie ten obraz co opanował ją całą.

Horeccy spojrzeli na siebie.

— Co mówisz Ameljo!—zawołała hrabina, patrząc zdumiona w twarz córki, która w tej chwili jaśniała dziwnym zapałem, jakby na nią padały odbłyski minionej młodości.

Ale hrabia nie wyrzekł nic, o nic więcej nie zapytał, tylko przyciął spłowiałe wargi; on rozumiał

wszystko. Gwiazda jego bladła widocznie; syn i córka zarówno, każde po swojemu, powstawali przeciw niemu; burzyli bezwiednie gmach wielkości, tak pracowicie zbudowany życiem całem zbrodni i podłości. A na domiar ofiara jego, Kiljan, urągał mu spokojnem szczęściem cichego życia; Kiljan, wywłaszczony z imienia i majątku śmiał tworzyć rodzinę, i przekazać mógł potomkom swoim groźbę zawieszoną nad głowami Horeckich. Prześladowanie ani nędza nie złamały tego człowieka; zahartowały go tylko, jak ogień żelazo w stal zamienia. Z kilku słów Amelji hrabia zrozumiał jakiego wroga ma naprzeciw siebie; przeczuwał że walka pomiędzy nim a synowcem nie skończyła się jeszcze, i pierwszy raz może w życiu zwątpił o przyszłości. Nie wszczął nawet z córką próżnej sprzeczki o dzisiejsze odwiedziny; uczuł, że to byłoby daremnem, że w tej chwili ona miała na ustach słowa, których nie chciał usłyszeć.

Dzieńto był pamiętny w pałacu Horeckich; dnia tego ugięła się wola hrabiego Feliksa, a hrabina Marja uchybiławszystkim prawom grzeczności i etykiety. Cóż mogła pomyśleć o niej przyszła jej rodzina?

Amelja nie uspokoiła się tak łatwo. Istność jej cała podobną była do jeziora poruszonego do głębi nawałnicą. Jakieś myśli, jakieś marzenia dawno zapomniane mąciły jej duszę, wyrywały się na jaw

z niepohamowaną siłą. Zamknięta w swoim pokoju, siedziała długo z głową wspartą na ręku, a życie całe zdawało jej się snem przykrym, którego ciągnąć dalej w ten sposób jak dotąd, nie miała już siły. Przeszłość i obecność mięszały się dziwnie w jeden chaotyczny obraz. Aż powoli myśl jej, od samej siebie, od próżnych żalów za przeszłością, przeszła do Kiljana—i widziała go jakim był w dniach ich miłości, i jakim był teraz. Jakież były losy jego, że wydał się jej stokroć piękniejszym niż dawniej? Pogoda wiary, siła przekonania, tryskały z jego jasnego czoła. Czemuż przygniatała ją powaga tego ubóstwa noszonego z taką godnością? Jedno spojrzenie rzucone na Kiljana nauczyło ją tysiąca rzeczy, o których nie śniło się nawet światu wśród którego żyła. Jakaż była przeszłość jego?— Amelja potrzebowała to wiedzieć. Nie domyślając się wcale ojcowskiej zbrodni, znała aż nadto katastrofę rodzinną, która Kiljana strąciła w nędzę. Dotąd Amelja nie zapytała siebie nigdy, czy to było sprawiedliwem; teraz poraz pierwszy uczuła, że jakkolwiek mogło wyrokować tutaj prawo, był ktoś pokrzywdzony i ktoś krzywdzący. Jakaż to siła utrzymywała Kiljana w tej walce z ludźmi i losem, i czyniła go jeszcze szczęśliwym wśród przeciwności?

Nowe światy otwierały się przed oczyma Amelji. Drżącą ręką wyjęła z biurka jakieś dawne pamiątki. Nie była ona wcale sentymentalną za młodu, umiała

doskonale rachować i cenić doraźne korzyści bogactwa—a jednak, gdzieś w szufladach biurka, spoczywały zeschłe relikwie jej jedynej miłości. Była tam i fotografja Kiljana. W śpiesznem pożegnaniu zapomniała mu ją zwrócić, nie sądziła się nawet do tego obowiązaną, bo dla niej, człowiek którego kochała, istnieć przestał. A teraz, z jakąż rozkoszą przyglądała się tym rysom, które tak wyraźnie odbite nosiła w sercu! Patrząc w tę twarz szlachetną, dopatrzyła jawne jej podobieństwo z twarzą hrabiego Juljusza. Dla czegoż Wilhelm zamiast Kiljana, księżniczka Stefanja a nie ona—miała tutaj panować!

Pogrążona w tych myślach Amelja, wodziła bezmyślnie ręką bo bronzowych ozdobach biurka—gdy nagle naciśnięta nieznaczna sprężyna odskoczyła, i otwarła się skrytka nieznana jej dotąd. Biurko to było szacowne arcydzieło dla starożytników. Hrabia Juljusz przywiózł je z podróży swoich, a po śmierci jego Feliks darował je córce, nie domyślając się bynajmniej co zawierało. Z tej skrytki wypadły pożółkłe ćwiartki papieru, zapisane nieznaną ręką. Nie jej samej pamiątki tu się znajdowały—to także były listy miłośne. Amelja pochwyciła je gwałtownie, przebiegała oczami gorączkowo, i jęknęła głucho. Na postawione pytanie w głębi jej ducha, los dawał jej odpowiedź jakby przez szyderstwo. Była to korrespondencja przed i poślubna

hrabiego Juljusza z żoną,i obejmowała całe trzy lata krótkiego pożycia. Daty i przypomnienia wyraźne nie mogły tu zostawić wątpliwości żadnej—Kiljan był prawym synem jego.

Jednakże te papiery przekonywające dla bezstronnych sędziów, nie miały żadnej urzędowej cechy, i nie zastępowały brakujących dowodów, które gdzieindziej złożone być musiały; papiery te mogły tylko naprowadzić nieświadomych na ślad właściwy. Był tam wymieniony i kościół w którym ślub był brany, i data wyraźna, i miejsce urodzenia Kiljana.

Długo Amelja siedziała w miejscu, jakby skamieniała, cisnąc w ręku te papiery, co zawierały może majątek i szczęście człowieka. Aż w myśli jej sformułowało się pytanie z przerażającą jasnością: co miała z niemi uczynić?

Wyrzec komubądź w domu słowo o tem odkryciu, byłoto popełnić zbrodnię prawie, stać się współwinną kradzieży lub oszustwa,którego Kiljan padł ofiarą. Bo niestety! wątpić niemogła że ojciec lub Wilhelm zniszczyliby je odrazu, a matka we wszystkiem odnosiła się do męża. Amelja więc musiała tutaj działać sama i sama stanowić. Strącić w ubóstwo rodziców, siebie i brata!—bo wszakże teraz Kiljan miałby zemstę w ręku, miałby prawo odebrać im wszystko; lub też żyć z tą straszną tajemnicą, i w głębi serca nazywać się zbrodniarką! Na jedno

i na drugie brakło jej odwagi: coraz okropniejsze myśli wiły się w jej głowie. Któż mógł wiedzieć, jakim kosztem hrabia Feliks zdobył ten majątek? czy razem z nim nie utraciłby czci i dobrej sławy? Amelja przypomniała sobie z przerażeniem ów wieczór śmierci hrabiego Juljusza, polecenie jakie odebrała oddalenia koniecznie Kiljana, które wypełniła tem wierniej,iż korzystała z owej chwili, by wymódz ostateczne przyrzeczenie i słowo kuzyna. Więc i ona także bezwiednie umaczała ręce w spisku który go wydziedziczał, i jak ślepe narzędzie działała przeciw samej sobie.

Pod ciężarem tych wątpliwości, pot zimny występował na jej czoło. Czemuż odpowiedź na te wszystkie zagadki losu dostała się w jej ręce! Nieprzywykła do samoistności, nie widziała drogi żadnej przed sobą, i zwróciła wytężone źrenice na te złowrogie karty, których cudzoziemskie wyrazy aż nadto zrozumiałe były dla niej. Czuła zawrót głowy, skronie jej pałały, febryczne dreszcze przebiegały ciało, i jakaś dziwna niemoc ogarniała ją całą. Cóż miała uczynić?—to pytanie straszne, naglące, z gorączkową siłą tkwiło w jej pamięci, wśród plątających się obrazów wydarzeń dnia tego. Z wysileniem złożyła papiery, i ukryła napowrót w tajemnicze schowanie biurka. To był ostatni jej czyn rozważny.

Pokojówka wnosząca światło znalazła ją nieprzytomną, z wzrokiem błędnym; na ustach jej plątały się bezładne słowa, zdradzające stan gorączkowy. Posłano jednocześnie po doktora i po hrabinę. Trzeba przyznać, że ta wzorowa kobieta przyjęła wiadomość o nagłej chorobie córki z bardzo mięszanem uczuciem; przynajmniej światowy punkt honoru był ocalonym. Wymawiając spóźnienie swoje słabością córki, popełniła tylko maleńki anachronizm, którego nikt podejrzywać nie myślał; choroba, prawdziwa choroba z doktorem i apteką, przychodziła teraz w samą porę. Zapewne hrabina kochała córkę swoją; jednak pożegnawszy rodzinę księżniczki, wsiadała do karety z miną smutnie tryumfującą, jaką mają zwykle prorocy nieszczęścia, gdy się ich przepowiednie sprawdzają.

Ale nateraz los okazał się nazbyt łaskawym w tym względzie. Hrabina spodziewała się lekkiej migreny co najwięcej, a tu wywiązała się choroba gwałtowna, długa i niebezpieczna. Amelja w strasznym tyfusie leżała pomiędzy życiem a śmiercią. Widocznie ta córka była dla Horeckich dzieckiem nieszczęścia, bo choroba jej spowodowała zwłokę w małżeństwie Wilhelma, na którą ojciec i syn wściekali się pocichu. Ale prawa konwenansowe nie pozwalały na ślub brata w czasie śmiertelnej choroby siostry; trzeba więc było na pozór przynajmniej znosić tę przeciwność cierpliwie.

Na domiar złego, Amelja miała malignę, a jej gorączkowe mowy mogły rzucić straszne światło na domowe tajemnice Horeckich. Imię Kiljana, to niezapomniane imię tak wstrętne dla ucha hrabiego, bezustannie było na jej ustach. Wymawiała je z trwogą, rozpaczą, miłością i żalem. Nic nie mogło na chwilę nawet przerwać biegu gorączkowych marzeń, wśród których wszystkie tajone jej uczucia wybuchały na jaw. Sam hrabia, który nigdy prawie nie zaglądał do pokoju córki, i jak żyje nie pilnował chorego, teraz uwiadomiony o majaczeniach córki, siedział godziny całe przy jej łóżku, blady, z zaciśniętemi ustami, chwytając jej wyrazy, śledząc wrażenie jakie na obecnych czyniły.

Widocznie Amelja wiedziała zawiele. Jakim sposobem mogła ona mówić o małżeństwie stryja, tej trapiącej zmorze snów hrabiego Feliksa? Cała choroba i poprzednie zachowanie się Amelji miało coś tajemniczego, a teraz nic nie mogło zamknąć tych ust spieczonych, nic zatrzymać tego biegu bezładnych myśli, któremi chora mogła zgubić rodzinę całą.

Lekarz, który był kiedyś przyjacielem hrabiego Juljusza, pozostał domowym lekarzem jego brata, i teraz wezwanym został do Amelji. I on także z dziwnem zajęciem śledził jej słowa,—i cała ta stara, zapomniana powieść rodzinna, znów powraca-

ła teraz, jak nierozwiązana zagadka, do myśli obecnych.

Stary doktór przestał widywać Kiljana od chwili śmierci jego ojca. Postępowanie jego w tym pamiętnym dniu było tak niepojęte, że w głębi ducha uznał go wówczas za wyrodnego syna. Jakimże cudem ten wieczór śmierci i dowody urodzenia Kiljana, były bezustannem marzeniem hrabianki?

Napróżno hrabia Feliks z żoną sam czuwał przy córce, zastępując służbę; doktór musiał mieć do niej przystęp, a hrabia wolał już by nim był stary dyskretny przyjaciel domu, uprzedzony przeciw Kiljanowi, niż którybądź inny lekarz warszawski. Tymczasem, pomimo starań jego, stan chorej małą zostawiał nadzieję. Amelja wychudła, wypieczone rumieńce świeciły na sterczących kościach policzków, rzucała się niespokojnie po łóżku. Ojciec stał przy niej z doktorem.

— Kiljanie, Kiljanie—mówiła,—nie przeklinaj mnie, przebacz, jam niewinna.

Hrabia zadrgał cały. Wiedział dobrze iż usłyszy to imię, a jednak nie potrafił znieść go obojętnie; ta moralna tortura mimo że powtarzała się nieustannie, nic nie utraciła ze swej goryczy. Spojrzał z boku na doktora; ale ten nie zwrócił na to uwagi, zatopiony cały w obliczaniu uderzeń pulsu.

— To dziś dwudziesty siódmy dzień choroby—wyrzekł w końcu; kryzys powinien nastąpić jutro.

Hrabia odetchnął głęboko; bądź jak bądź, męka jego do jutra tylko trwać miała.

— I jakąż masz nadzieję doktorze —zapytał z przyzwoitości.

Lekarz zamyślił się.

— Trudno tu coś przewidzieć—rzekł w końcu; ta choroba ma jakąś moralną przyczynę, którą próżno silę się odgadnąć.

Tych słów nie spodziewał się Horecki. Wszyscy zazwyczaj unikali starannie wszystkiego co mogło mu sprawić przykrość. Żółta twarz jego nabrała trupiej barwy.

— Kiljanie—wyszeptała znów Amelja.

— To imię—pochwycił doktór—powracające bezustannie wśród majaczeń maligny, zdradza jakąś myśl trapiącą, ukrytą, jakiś wyrzut sumienia. Czy pan hrabia niewie, gdzie znajduje się obecnie ten młody człowiek? czy panna Amelja nie widziała go w ostatnich czasach?

— Niewiem nic podobnego—odparł cierpko zagadniony; od czasu jak odrzucił dobrodziejstwa moje, zupełnie przestałem się nim zajmować, tembardziej, że jak to wiesz doktorze, okazał aż nadto w ostatnich chwilach mego brata, jak mało zasługiwał na świadczone mu łaski.

— To prawda—mruknął doktór. Jednakże...

Tu przerwała mu znów Amelja.

— Mój ojcze—mówiła błagalnie—oddaj mu ten

majątek, oddaj mu wszystko; ty wiesz dobrze, że on ma do niego prawo.

Nigdy jeszcze tak wyraźnego zeznania nie wypowiedziała chora. Stary Hrabia spojrzał na córkę z tak zjadliwym wyrazem, jak gdyby pragnął aby raz już pieczęć śmierci zamknęła te niedyskretne usta.

— Widocznie moja córka zdaje się wiedzieć coś więcej niż my obadwaj—rzekł drżącym głosem, probując zatrzeć sprawione wrażenie. Ale doktór miał zawiele przenikliwości i doświadczenia, by nie zrozumieć,że w tym domu odegrywał się dramat tajemny, którego nici przypadek podawał mu w rękę. Fakta były zanadto interesujące by ich nie zauważyć. Zresztą, może on teraz przypominał sobie, że był kiedyś przyjacielem hrabiego Juljusza; może pomyślał, że potępiając tak bezwarunkowo Kiljana, składał hołd przynależny Bożkowi Miljonowi, którego obecnym reprezentantem był hrabia Feliks. Więc z natężonem uchem słuchał dalej urywanych słów Amelji.

— Jak tu duszno—wyrzekł hrabia oddychając z trudnością i opierając się na łóżku, chcąc jakim bądź sposobem odciągnąć doktora od chorej. Ale ze starym eskulapem sprawa łatwą nie była. Ona znów poruszyła usta, a zimny pot wystąpił kroplami na czoło ojca.

— Ty wiesz dobrze—mówiła znów niby zwracając się do niego—ty wiesz dobrze, iż dowody praw jego ukryte są tu... tu...

— Gdzie?—podchwycił doktór, widocznie przekonany o prawdzie jej słów.

Ale ona nie była w stanie go usłyszeć, i szła dalej za kierunkiem myśli swojej, bezświadoma tego co działo się przy niej.

— Kiljanie, ty kochałeś mnie kiedyś—szeptała—wszak to dla nas stroją ten ołtarz.

Tu ojciec odetchnął swobodniej. Wiedział z doświadczenia, że marzenie córki nie odwróci się tak prędko od małżeństwa Kiljana, i z pewną złośliwością przyglądał się doktorowi, który przeciągał swą wizytę, chcąc dobadać się czegoś więcej. Zresztą po chwili rozwagi uspokoił się hrabia. Cóż znaczyły dla niego plotki i poszepty świata?—on lękał się tylko faktów i świadków, którzyby mu prawnie odebrać mogli zagrabiony majątek. Znał bowiem dość władzę miljonów, by wiedzieć, że świat nie lubi rzucać cienia nawet podejrzenia na blask złota, co olśniewa i podbija. Jednakże nie życzył sobie zbytniego rozgłaszania szczegółów choroby córki; dla tego z pewnym przymusém patrzał na doktora, który widocznie przemyśliwał nad tem co usłyszał. Zatrzymując go hrabia na cygaro, rzekł siadając w przyległym pokoju.

— Dziwne są te przywidzenia maligny.

Doktór zapewne doskonale rozumiał, jakiej odpowiedzi życzył sobie hrabia; ale ludzie jego wieku i powołania nabierają zwykle szorstkiej otwartości, z którą wystąpił teraz doktór chcąc nawzajem sprobować, czy nie uda mu się zaspokoić podbudzonej ciekawości. Bo widoczny niepokój Horeckiego dowodził, że on miał coś do ukrycia. Dlatego odparł powolnie pociągając dym cygara.

— Jestto stan patologiczny, łatwy do wytłumaczenia. Zwykle w majaczeniach gorączki,tak samo jak w dywagacjach pijaka, wypływają na jaw skrywane myśli i uczucia. Przysłowie nie kłamie mówiąc, że w winie jest prawda.

— Prawda?—przerwał Feliks Horecki—jakto! przypuszczałbyś doktorze....

— Nie dałeś mi dokończyć hrabio. Ja nic nie przypuszczam; medycyna jest nauką faktów; ale widocznie panna Amelja coś wie lub przypuszcza.

— Cóżby ona wiedzieć mogła?—pytał hrabia z tak widocznym frasunkiem, iż doktór powziął przekonanie, że pomiędzy nim a córką nie było porozumienia żadnego. Wzruszył tylko ramionami, i odparł obojętnie niby.

— Pan, jako ojciec najlepiej o tem sądzić możesz.

— Ależ ja nic nie wiem doktorze, nie pojmuję co stało się Amelji, daję ci na to słowo.

Jednak hrabia mówiąc to, mimowolnie spuścił oczy przed bystrem spojrzeniem lekarza, które tkwiło w nim trochę badawcze, trochę szydercze. Bo jeśli nie wiedział wszystkiego, wiedział jednak bardzo wiele.

— W takim razie—rzekł doktór—trzeba zaczekać aż panna Amelja będzie w stanie dać nam potrzebne objaśnienia; ja sam pytać ją nie omieszkam.

To zapowiedzenie nie podobało się Horeckiemu; dla tego odpowiedział sucho.

— Zdaje mi się, iż lepiejby było dla nas wszystkich nie wznawiać tych przykrych zajść, i przy powracającem zdrowiu nie drażnić mojej córki wspomnieniami choroby. Ja wstrzymam się od wszelkich pytań, i radzę ci tak samo uczynić doktorze.

Tym ostatnim wyrazom nadany był przycisk widoczny.

— A, to co innego!—odrzekł zagadniony, który uwziął się nie rozumieć żadnego półsłówka, i kłaść koniecznie kropkę nad każdem *i*,—to co innego; skoro pan hrabia sobie tego nie życzy, ja nie mam potrzeby wdzierać się w tajemnice rodzinne.

Doktór wypowiedział wyraźnie i złośliwie wszystko, około czego krążył hrabia od początku rozmowy.

— Tajemnic rodzinnych niema tutaj—odparł on syczącym głosem,—a gdyby i były, świat nie po-

trzebuje ich się domyślać. Rozumiesz mnie doktorze?

— Niestety!—odpowiedział niby dobrodusznie stary eskulap —ani ja, ani nawet ty hrabio nie tworzymy opinji świata, i nie potrafimy wstrzymać domysłów jego, skoro się raz rozciekawi.

— Szczegóły choroby mojej córki powinny zostać pomiędzy nami—wyrzekł Horecki po krótkiem wahaniu się, widząc że innym sposobem nie potrafi się porozumieć z upartym przeciwnikiem.

— Skoro takie jest życzenie hrabiego, zastosuję się do niego najzupełniej, nie badając powodów nawet, lubo doktór a spowiednik to wszystko jedno.

I żegnając Horeckiego zranionego niby strzałą Parta, temi ostatniemi słowy, stary lekarz oddalił się uszczęśliwiony w duchu, i z przekonaniem, iż dał dość dowodów zuchwałemu bogaczowi swej moralnej niepodległości, napomykając coś o domysłach świata. Trzeba też przyznać, że w tem wszystkiem zajmował się daleko więcej samym sobą niż Kiljanem; więcej swoją własną godnością niż domniemaną krzywdą, która była pozorem tej lekkiej utarczki słów. Miljony hrabiego Feliksa ciążyły nad jego synowcem, niby mogiła zapomnienia. Doktór nie miał żadnej ochoty na serjo ujmować się za nim, bo przecież każdy o sobie myśleć powinien, każdy sam siebie bronić. Tej wygodnej maksymy trzymał się nietylko nasz eskulap; trzyma się jej świat

cały. I bardzo z nią wygodnie tym wszystkim, którzy nie są jej ofiarami.

Jednak hrabia Feliks nie spuszczał się na to. W myśli jego ostateczna zguba Kiljana postanowioną została. Ze zbyt wielu stron dochodziło do niego to imię, groziło mu zbyt widocznie, wkradało się już w towarzystwo i własną rodzinę jego. Czyż trudno było możnemu panu zgnębić biednego pracownika,i odebrać mu ostatnie dobro, chleb zarobiony w pocie czoła. Czyż brakło mu na to środków i sposobów? Postanowił więc koniecznie uzyskać od niego ostateczne zrzeczenie się praw i nazwiska, lub pozbyć go się jakimbądź sposobem.

A tymczasem na poddaszu na Śto Jańskiej ulicy odmieniło się bardzo mało. Kiljan z Cecylją, nie domyślając się burz wiszących nad ich głowami, ani zajęcia jakie znów budzili—zapominali o świecie całym; praca i miłość zapełniała im życie, i pomimo zły los i złą wolę ludzką, byli szczęśliwi, jak tylko wybrani na ziemi być mogą. Szli naprzód ręka w rękę, nie zapominając że cierpieli, roznosząc w około siebie w szczupłym zakresie swoim wsparcie, pociechę, radę i przykład. Życie ich było skromne, potrzeby skromniejsze jeszcze; trochę kwiatów stanowiło jedyny zbytek mieszkania, w którem te dwa szlachetne istnienia upływały jednozgodnie. Kiljan teraz przy domowem ognisku, zapatrzony w śliczną postać żony, mógł wspominać przeszłość

bez goryczy; posiadał stokroć więcej niż utracił w dziedzinie moralnej, a przy pracy nie lękał się o chleb powszedni. Nie zbrakło mu go dotąd; ufał że nie zbraknie i nadal. Straszny przykład Cecylji, którąby bez jego pomocy nie znalazła zarobku, zniknął mu z oczów. Osądził że ludzie zapomnieli o nim, jak i on o nich; i zatopiony cały w szczęściu swojem, oddychał swobodną piersią, jak gdyby nie wiedział, że prawem loiki ofiara może puścić w niepamięć tych co jej złe wyrządzili, ale krzywdzący nie zapomni nigdy o pokrzywdzonym. Zbrodnia każda wyradza potrzebę nowych zbrodni. Daremnie ten który ją spełnił chciałby zatrzymać się na tej strasznej drodze; konieczność następstw, to fatum stworzone przez niego samego, popycha go dalej nieubłaganie.

Dnia jednego w południowej godzinie,Cecylja jak zwykle, krzątała się około obiadu, spoglądając co chwila na wiszący zegar. Zwykła pora powrotu Kiljana minęła; on zawsze tak akuratny w tym względzie, spóźniał się poraz pierwszy. Raz i drugi obejrzała się po czystych pokoikach, po stole zasłanym białym obrusem,przy którym zasiadali zwykle tak wesoło; poprawiała wprawną ręką codzienne rozrzucone sprzęty, przysunęła krzesło w miejsce gdzie on siadać lubił, i znowu pobiegła do okna. Dziedziniec był pusty; na niebie wiły się szare chmury raz wraz przysłaniając słońce; na sąsie-

dnich dachach wrony krakały złowrogo. Mimowolnie ścisnęło się serce Cecylji jakąś trwogą niewyraźną, zwykłą u tych co przecierpieli już wiele, i nie dowierzają słonecznym chwilom życia. Nie było wyraźnej obawy w myśli młodej kobiety, a jednak zapytywała samej siebie, co go zatrzymać mogło zdala od niej, w tych chwilach zbyt krótkich, w których razem być mogli.

Godzina cała upłynęła; ona czekała daremnie, nasłuchując każdego szelestu. Aż nagle ciężkie kroki dały się słyszeć na wschodach, jak gdyby szło razem kilku ludzi obarczonych jakimś ciężarem. Zbliżyli się, zatrzymali przed jej drzwiami, i weszło czterech robotników niosąc bezprzytomnego Kiljana. W fabryce chemicznej w której pracował, nastąpił wybuch materjałów palnych z niewiadomych powodów; Kiljan ciężko ranny padł jego ofiarą, fabryka była w płomieniach.

Czy traf ślepy sprzyjał zamiarom hrabiego Feliksa, czy wypadek ten był dziełem myśli jego? Wybuchy podobne zdarzają się często: dość na to najmniejszej nieostrożności lub zapomnienia. Ale któż dojść potrafi co było w myśli tego, który się zapomniał; jaka doza dobrej woli wchodziła w to zapomnienie? Nie idzie bynajmniej za tem by hrabia Feliks był podpalaczem lub mordercą; on nawet nie potrzebował nigdy wymówić słów podobnych, trącących kryminałem i galerami. W pewnych poło-

żeniach towarzyskich, ludzie posiadający potęgę złota znajdą zawsze takich, co odgadną myśl ukrytą w słowach tak zawiłych, że ich się łatwo potem wyprzeć można. Dość na tem, że on potrzebował zguby Kiljana, a ludzie czy los przysłużyli mu się w tym względzie.

Wniesiono go na poddasze, które opromieniał tak niedawno jasną myślą, i złożono wpół martwego na łóżku. Robotnicy którzy go przynieśli, widząc że na teraz potrzebnymi nie są, oddalili się śpiesznie. Ludzie wszystkich klas społeczeństwa zarówno lękają się nieszczęścia, i uciekają od nieszczęśliwych. Przybyły lekarz obejrzał rany. Cecylja spoglądała na niego nieprzytomnie prawie; cios który w nią ugodził był tak nagły, że go zaledwie zrozumieć mogła. Dopiero gdy Kiljan otworzył oczy, gdy usłyszała głos jego, rzuciła się z nieopisanem uczuciem ku niemu, i kryjąc twarz na poduszkach zapłakała szalonemi łzami. Ona nie mogła objąć od razu miary nieszczęścia swego, i drżała z obawy, że tego drogiego głosu nie usłyszy nigdy już więcej. Teraz pod spojrzeniem jego oczów sądziła się znów bezpieczną, witała go jak odnalezione dobro. Czyż on kochając ją tak bardzo, mógł ją opuścić, mógł odumrzeć? Widząc wzrok jego przytomny, zapominała o ranach, o chorobie, o niebezpieczeństwie. W istocie niebezpieczeństwo okazało się mniejszem daleko niż sądzono zrazu; ale ręce Kiljana poparzone, na długo

niezdolne były do pracy. Zresztą inne rany były lekkie; głowa nie uległa wcale obrażeniu, tak że jego piękne rysy, powleczone bladością cierpienia, nie straciły nic ze swej piękności.

Doktor zapisał lekarstwa i maście, objaśnił jak postępować dalej, i odszedł zrobiwszy swoje, nie obiecując nawet nadal odwiedzin swoich. Wszakżeż niebezpieczeństwa nie było, a biedny robotnik mógł się obejść bez wyszukanych starań, za które płacić nie był w stanie.

Gdy mąż i żona zostali się sami, spojrzeli na siebie przeciągłym wzrokiem, ale wyraz ich oczów był odmienny. Ona śmiała się z za łez, szczęśliwa zapewnieniem że życiu jego nic nie zagraża; ale on pomimo cierpienia chwili, spoglądał w przyszłość z przerażeniem. Zatopiona w nim żona zapominała o strasznej potrzebie codziennego chleba, na który zapracować on nie był już w stanie. Teraz gdy zapanował tutaj największy zbytek ubogiego: choroba, zrozumiał jak ona długą i uciążliwą być mogła. Cecylja zarabiała coś ze swojej strony, ale to na dwoje wystarczyć nie mogło,—teraz tem bardziej, gdy pomnożyły się potrzeby, a pielęgnowanie chorego zabierało jej wiele czasu. Cecylja pojmowała wprawdzie wyraz jego twarzy, ale zbyt wyłącznie nim zajęta, nie była wstanie od razu podzielić jego troski. Żył, był jej wróconym—ta myśl pochłaniała wszystkie inne.

W cichym zachwycie uklękla przy mężu, objęła głowę jego zmęczoną, i przyciskając usta do gorącego czoła, szeptała mu bezładne wyrazy miłości, wiary, ufności, aż póki nie spędziła z niego chmury niepokoju.

Nie omylił się Kiljan w przypuszczeniach swoich; niemoc jego była długą bardzo, i tem bardziej dojmującą, że myśl jego pozostała jasną. On nie miał nawet tych chwil moralnego wytchnienia, jakie pozostawia choroba odbierająca przytomność razem z siłą; wiedział, czuł, i obrachowywał wszystko.

Szczupły zasób pieniężny jaki posiadali, zmniejszał się z dniem każdym. Kiljan patrzył na żonę wyczerpującą siły by zapracować na zdwojone domowe potrzeby, a rany jego zabliźniały się powoli, niemiłosiernie powoli, jak gdyby wolno mu było o swobodzie i dostatku spokojnie czekać wyleczenia. Zakład w którym pracował został zniszczony, właściciel nie chciał czy nie mógł go dźwignąć, robotnicy rozeszli się po innych fabrykach; słaby węzeł jednoczący ludzi jednego warsztatu, rozerwał się szybko. Z początku towarzysze Kiljana dowiadywali się o zdrowie jego; ale ponieważ stan jego nie przedstawiał niebezpieczeństwa i przeciągał się bardzo, zawsze jednaki—zaniechali jeden po drugim niepotrzebnej troski. Nikt nie zapytał czy głód i nędza nie grozi temu, co tylu z nich wspomógł w nędzy. Skoro pomagał innym, musiał mieć środki po

temu; skoro się nie skarżył na nic i o nic nie prosił, nie musiało mu zbywać na niczem. Tak zapewne rozumowali ci, co chcieli ograniczyć swoją wdzięczność do najmniej czynnych rozmiarów, żeby już nie mówić nawet o tych, którzy wyszukiwali pozorów do puszczenia w niepamięć otrzymanego dobra. Zresztą Kiljan, jak każdy człowiek wystarczający sobie, a wyższy o całe niebo od ludzi z któremi przestawał, był dla wielu jakąś tajemniczą, legendową prawie figurą; może nie przypuszczali wcale, że on także mógł znajdować się w potrzebie.

Wkrótce w tem cichem, tak szczęśliwem niegdyś poddaszu, zapanował nieubłagany wróg wszelkiego życia i szczęścia—nędza. Naprzód ubyły mniej niezbędne sprzęty, potem i niezbędnych ubywać zaczęło. Cecylja coraz biedniejszy posiłek musiała przygotowywać dla męża, choć wiedziała dobrze, jak bardzo mu potrzeba wzmacniającego pożywienia. Sama skąpiła sobie nie ledwie kęsa chleba, bo wiedziała że przyjdzie dzień w którym i tego zabraknie. Trzy miesiące już trwała choroba Kiljana, wszelkie możliwe środki wyczerpanemi były. Teraz nie pozostawało im już jak wyciągnąć żebraczą rękę, albo umrzeć z głodu. Głuche milczenie panowało pomiędzy niemi, wiatr dął w szyby na wpół zamarzłe, i przechadzał się swobodnie po opustoszałej izdebce. Cóż oni mogli sobie powiedzieć, gdy bali się nawet zamienić spojrzenia, by nie powię-

kszyć boleści drugiego własnem cierpieniem? Wreszcie Kiljan, którego prawa ręka zupełnie prawie wygojoną była, wyciągnął ją do żony, pochwycił jej dłoń, i przycisnął do ust długim, wymownym pocałunkiem.

— Cecyljo—szepnął—odwagi! kilka dni jeszcze odwagi, ja będę znowu w stanie pracować jak dalej.

Spojrzała na niego łagodnie i smutnie, ale przemówić nie miała siły. Dotąd kryła przed nim o ile mogła całą okropność położenia, chcąc dać myśli jego choć pozorny spokój; ale teraz to było nad jej siły.

Kiljan zrozumiał to spojrzenie; zrozumiał więcej niż wszystko ten straszny wyraz zrozpaczenia na wychudłem i zbladłem obliczu żony, i rzucił wkoło ponurym wzrokiem. Tu nie szło już o odwagę, ale o możliwość bytu.

I znowu pomiędzy niemi zapanowało milczenie.

— Czy nie masz nikogo—szepnęła w końcu kobieta głosem tak cichym, iż widać było że ostateczność tylko mogła jej przynieść te słowa na usta; czy nie masz nikogo na świecie coby nam mógł dopomódz?

Kiljan uśmiechnął się smutnie.

— Ty i ja Cecyljo—odparł—stanęliśmy zbyt daleko od ludzi by żądać od nich pomocy; my koniecznie sami sobie wystarczyć musimy. Nie szliśmy

w takt ze światem, nie zniżyliśmy ducha do fałszywej harmonji jego, byliśmy i jesteśmy samotni— wiesz o tem.

— A ci wszyscy których wspomagałeś Kiljanie.

— Jak widzisz, zapomnieli o mnie, lub nie mają czem się podzielić. Czy sądzisz żem rachował kiedy na wdzięczność ludzką; że mam prawo dzisiaj przypominać się tym niewypłacalnym dłużnikom serca? Nie Cecyljo; do człowieka którego wsparłem nie udam się nigdy, on sam powinien trafić tutaj.

Ona nie odrzekła nic, czuła prawdę słów jego. Ale cóż znaczą słowa skoro braknie chleba? W obec tego faktu, jakież miały znaczenie jego wysokie pojęcia i rozumowania? Pogrążona w ponurem milczeniu spoglądała na przemian na wygasłe ognisko i na męża, który powoli podnosił się z posłania. Pomiędzy niemi trwała cicha walka miłości; każde chciało zdwoić swój własny ciężar byle nic nie zaciążyło nad drugiem; każde pragnęło cierpieć za dwoje. I była pomiędzy niemi nieskończonóść cierpienia, odbijającego się z serca do serca, ale i nieskończoność słodyczy w tej miłości wyższej nad wszystko. Nędza nawet nie przyniosła im rozdwojenia myśli ani gorzkiego słowa na usta; cierpienie ich było czyste, jak duchy ich były wyprobowane życiem, zahartowane w ogniu przeciwności.

Kiljan ubrał się powoli, i nie mówiąc słowa probował przejść się chwiejącym krokiem po izdebce,

której nie rozweselał w tej chwili ani promień słońca ani płomień ogniska. Pomimo zimno panujące w mieszkaniu, grube krople potu występowały mu na czoło. Chorą rękę miał jeszcze zwieszoną na chustce, i wspierając się na kiju postępował zwolna. Twarz jego wynędzniała, choć naznaczona przedwczesnemi zmarszczkami, nie straciła nic z tej szlachetnej piękności jaką piętnował ją duch wysoki; przeciwnie, wśród nędzy i ucisku jaśniała ona jakby wśród męczeństwa, niezmąconą pogodą i męztwem hardego ducha. Oczy Cecylji utkwione w nim były z niepokojem, trwogą i uwielbieniem. Oparł się o ścianę przez chwilę, jakby chcąc nabrać siły; ona już była przy nim, opasała szyję jego rękami, i usta gorące przycisnęła do jego piersi.

— I gdzież ty chcesz iść—szepnęła.

— Ja nie wiem sam—odparł—ale potrafię znaleść zatrudnienie jakie bądźby ono było, i trochę pieniędzy naprzód. Uwierzą mi przecież że je odrobię. Ale bądź spokojną; dopóki mieć będę iskrę tchnienia, nie dam ci i sobie umrzeć z głodu.

Zaledwie domawiał tych słów, gdy zastukano do drzwi; to nie zdarzyło się już od dni wielu. Cecylja pobiegła je otworzyć, jakby sądząc, że ten co przychodzi tutaj, musi bydź zesłanym przez Opatrzność z pomocą w ostatecznej chwili. Rzeczywiście byłto gość niezwyczajny, prawnik, dawny przyjaciel hrabiego Juljusza, dziś stronnik brata jego; ten

sam co pierwszy oznajmił Kiljanowi straszną zmianę jego położenia. Od dnia owego nie widzieli się z sobą, i dziś, po tylu upłynionych latach, zmierzyli się wzajem zdziwionem i nieufnem okiem. Adwokat obiecał niegdyś synowi przyjaciela swego pomoc i radę, w razie gdyby jakibądź promień rozjaśnił zagadkowe położenie jego. Teraz jednak nie zdawał się skłonnym to uczynić. Przychodził jako pełnomocnik hrabiego Feliksa, probować czy nędza, czas i choroba, o której jego klient dobrze był uwiadomiony, nie skruszyły dumy młodego człowieka, nie uczyniły go skłonnym do układów ze stryjem. Więc zapewne zmienić się musiało i moralne przekonanie prawnika. Tak przynajmniej ze słów jego wnosić należało; bo czyżby godziło się uczciwemu człowiekowi popierać sprawę fałszerza i wydziercy? Przecież był on jednym z najbystrzejszych prawników Warszawy, nie mylił się nigdy na ludziach i faktach, a sława jego uczciwości znaną była ogólnie. On sam wysoko podnosił czoło, jak gdyby nakazywał ludziom wierzyć, że czoło to jak i sumienie było bez zmazy. Czy tak było jednak w istocie, czy nie zaszedł żaden z tych układów z własnem przekonaniem, żaden z tych subtelnych sofizmatów, za pomocą których można zminąć się z prawą drogą, i wytłumaczyć sobie że się nią ciągłe idzie? Jeden krok fałszywy stawia człowieka na równi pochyłej, z której cofnąć się coraz trudniej. Kto nie postę-

puje, ten się cofać musi. Takie jest nieodwołalne prawo bytu. Mecenas był ściśle uczciwym przez lat wiele: mówił to głos ogólny, mówiły fakta, mówiło najwyraźniej jego własne oblicze. Czy jednak uczciwość ta pozostała zawsze jednaką, czy oparła się wszystkim pokusom jakie co chwila stawia los i życie? Plamy ducha jeśli jakie w nim były, nie wystąpiły dotąd na zewnątrz; a jednak czemuż, jeśli był nieskazitelnym, spuścił wzrok przed oczyma Kiljana, i nie mógł przenieść jego jasnego, głębokiego spojrzenia?

W Kiljanie widok jego wzbudził nadzieję. Może los przestał go prześladować, może jakie ważne odkrycie w sprawie, którą kiedyś tak brał do serca, sprowadziło tutaj prawnika. Ale gdy wzrok jego skrzyżował się raz z wzrokiem mecenasa, cofnął rękę wyciągniętą już ku niemu, i czekał pierwszego słowa, które roztrzygnąć miało, czy stał przed nim wróg czy przyjaciel.

Nowo przybyły rozejrzał się w koło wprawnem okiem; z braku sprzętów, z wygasłego ogniska, a nadewszystko z twarzy tych ludzi wynędzniałych cierpieniem, wyczytał straszną nędzę panującą tutaj; ale nie zdradził niczem odebranego wrażenia. Czy było to współczucie, czy radość że ta nędza będzie mu sprzymierzeńcem w podjętej sprawie?

— Przychodzę tutaj — wyrzekł spoglądając na przemian na Kiljana i na Cecylję, która cofnęła się

wgłąb pokoju, by zostawić więcej swobody rozmowie—przychodzę w imieniu hrabiego Horeckiego, mego klienta.

— Domyśliłem się tego—odparł chłodno Kiljan siadając,i wskazując miejsce niespodzianemu gościowi; czegoż hrabia żąda odemnie?

— Właściwie nie jest to żądanie—mówił prawnik, oglądając się nieznacznie po mieszkaniu; hrabia dowiedziawszy się przypadkiem o małżeństwie i chorobie pana, ofiaruje pomoc swoją.

Tu zawahał się chwilę, a jakkolwiek wprawne miał usta, odchrząknął szukając słów, któremiby sformułował resztę propozycij stryjowskich. Zwykł był przemawiać z za kratek do najwyższych sądów; obrony jego drukowane, rozrywane były przez publiczność jako wzory krasomowstwa; w zawikłanych sprawach jakie prowadził, umiał znaleźć orzeczenie właściwe na najprzykrzejsze prawdy; spotykał ludzi daleko wprawniejszych od Kiljana na wszystkie wykręty i formy prawne—a przecież nigdy tak nie dobierał wyrazów jak w obecnej chwili. Kiljan oszczędził mu tego trudu.

— A w zamian za ofiarowaną mi pomoc czegoż chce hrabia?—zapytał wręcz,ale głosem tak spokojnym, że prawnik omylił się na znaczeniu tego pytania.

— Chce, ażebyś pan zrzekł się raz na zawsze, w imieniu swojem i domniemanych następców,wszelkich roszczeń do majątku jego.

Wypowiedziawszy to jednym tchem, podniósł wzrok na Kiljana. Kiljan spodziewał się tych słów, ale nie odpowiedział nic z razu, a mecenas nie zrozumiał wcale tego milczenia, i ciągnął dalej.

— Zapewne czas ubiegły rozwiał wszelkie nadzieje jakie pan miałeś kiedyś, udowodnienia praw swoich do spadku po hrabi Juljuszu; zapewne przekonawszy się o fałszu domysłów swoich, przyjmiesz pan dzisiaj z wdzięcznością stosunkowo znaczną summę, jaką...

— Przeciwnie -- odparł zimno Kiljan — czas utwierdził przekonania moje; a gdyby w myśli mojej pozostała jakabądź wątpliwość co do słuszności praw moich doskonale znanych stryjowi, to obecny krok jego za pośrednictwem pana zniszczyłby je zupełnie.

— Jakto?—zawołał mecenas nagle zbity z toru zarówno słowami jak postawą Kiljana, spoglądając na niego z niedowierzaniem.

— Człowiek taki jak hrabia Horecki—ciągnął dalej ten ostatni—nic nie robi darmo; znasz go pan nadto, by temu zaprzeczyć. Jeśli więc znowu, po tylu latach spokojnego posiadania, żąda odemnie zrzeczenia się praw domyślnych, i ofiaruje mi za to znaczną summę, musi być aż nadto przekonanym o ich słuszności.

Mecenas milczał przez krótką chwilę; widać szukał argumentów na odparcie loiki tego zdania.

— A jeśli—wyrzekł, probując sercowej struny,— hrabia wiedząc o przykrem położeniu pańskiem, chce mu tym sposobem przyjść w pomoc?

Ale ten zwrot okazał się niefortunnym; na wspomnienie życzliwości stryja Kiljan uśmiechnął się tylko, i odparł.

— Pomoc ofiaruje się bez żadnych warunków. Zresztą nauczyłem się pracować, wystarczać sam sobie, i odrzuciłem dawno z życia wszystko co nie jest koniecznością. Za to jedno winienem wdzięczność stryjowskiej grabieży.

Tu już mecenas wyraźnie nie wiedzial z jakiej strony zajść młodego człowieka; prawdę mówiąc, niemógł go zrozumieć. Jeżeli w pierwszej chwili po śmierci ojca Kiljan odrzucił z taką dumą ofiarę hrabiego Feliksa, tłumaczyło się to młodością, niedoświadczeniem jego, zresztą samą nagłą zmianą położenia, którego odcieni niemógł objąć odrazu. Ale gdy dzisiaj człowiek co zaznał nędzę, co twardo pracował na chleb powszedni, zaledwie powstając z długiej choroby okazał się tak nieugiętym, i przekonany o słuszności praw swoich, przyjmował tymczasem ciężką dolę robotnika bez szemrania, odrzucając z góry propozycje hrabiego bez pytania nawet o wysokość ofiarowanej summy,—to już przechodziło miarę pojęć prawnika. Przez chwilę spoglądał na Kiljana jak na rodzaj monomana.

— Więc pan ciągle sądzisz—zapytał, chcąc doprowadzić go do swego celu schlebiając tej gorączkowej fantazji,—że majątek Horeckich prawnie do ciebie należy?

— Nie zwątpiłem o tem na chwilę jedną—odparł zagadniony; wszakżeż i pan dawniej podzielałeś w zupełności to zdanie.

Prawnik zmięszał się tem przypomnieniem; dowodziło ono ze strony Kiljana nazbyt dobrej pamięci. Najgorsza to wada dla pewnego rodzaju ludzi.

— Przyznaję—wyrzekł—iż z początku sam wpadałem na domysł podobny, który jednak w zupełności ustąpił bliższej rozwadze; zresztą sam czas, ten wielki nieprzyjaciel fałszu, nie przyniósł tu żadnego odkrycia. Prawda nakształt oliwy zawsze na wierzch wychodzi.

Mecenas powtarzał te oklepane ogólniki, któremi ludzie posługują się tak chętnie, zręcznie maskując brak własnych pojęć, niepomny na to, że one właśnie trafić nie mogły do człowieka, który stał przed nim, bo jego życie, zasady i myśli, odbiegły daleko od martwych formuł rządzących światem. On też wysłuchał go spokojnie, z tym niezmiennym pół uśmiechem na ustach, który dowodził aż nadto, że te wszystkie dowodzenia nie zmieniły na włos jeden przekonań jego.

— Tak jest—wyrzekł—prawda często wychodzi na jaw; zwykle jednak nie wówczas gdy umiejętna a potężna ręka trzyma ją w ukryciu. A zresztą czas, to wyraz względny bardzo. Pomiędzy mną a hrabią Feliksem czas nie rozstrzygnął jeszcze.

To spokojne przeświadczenie Kiljana, jego rozumowania beznamiętne, niecierpliwiły wyraźnie prawnika; spodziewał się snać czegoś innego. Musiano też obiecać mu wiele za spełnienie podjętej missji, bo niezrażony pogardliwem prawie obejściem się Kiljana, mówił dalej.

— Nie wiem czy panu wiadome są okoliczności w jakich znajduje się hrabia Feliks. Żeni syna z księżniczką Stefanją S., i chciałby przy tej sposobności zabezpieczyć przyszłość młodej pary od jakichbądź zajść i nieporozumień. I dla tego jedynie chciałby mieć od pana zrzeczenie się wszystkich roszczeń, chociaż uważa je za bezzasadne i niemożliwe.

— Dziwi mnie bardzo, iż hrabia jest tak przezornym, że aż lęka się rzeczy niemożliwych.

Ta chłodna, szydercza uwaga przywiodła prawnika do ostateczności.

— Wiadomo panu przecież—wyrzekł szorstko—że w nieuczciwych rękach wszystko może posłużyć do prawnego sporu.

— Więc to w przewidywaniu mniemanej nieuczciwości mojej hrabia żąda, bym za pieniądze zaparł

się przekonań i praw moich! Szkoda że ojcu mojemu nie przyszła na myśl podobna ostrożność względem brata; położenie nasze byłoby nieco odmienne.

Tu już wyraźnie żartowano z niego! Prawnik nieprzywykły do tego, zrazu zmarszczył brwi, ale po chwili namysłu uznał, że obraza nie w porę przerwałaby rozmowę, i pozbawiłaby go spodziewanych zysków. Rozpogodził więc czoło, i rzekł znowu.

— Napróżno zwracamy się do przeszłości i mieszamy ją z obecną chwilą; dzisiaj hrabia jest panem położenia. Zważ więc pan, jako mąż i głowa rodziny, czy godzi ci się dla niepodobnych do ziszczenia mrzonek, odrzucać rzeczywistość, która zapewnić może byt niepodległy drogim ci istotom.

— Więc według pana—spytał Kiljan—stanowisko głowy rodziny powinno przygłuszyć wszystkie inne względy i obowiązki?

— Tak jest bezwątpienia—odparł prawnik, uradowany powodzeniem swego rozumowania, i odpowiadając z niezwykłą szczerością na postawione sobie zapytanie.

— W takim razie mamy w tym względzie zupełnie sprzeczne pojęcia. Ja uważam, iż właśnie jako głowa rodziny, powinienem stać tem silniej przy wierze i przekonaniu mojem, jakiekolwiek to mogłoby ściągnąć następstwa; bo odpowiedzialny je-

stem więcej jeszcze niż za samego siebie, za tych, co są zależni odemnie.

— Pani—zawołał prawnik zwracając się do Cecylji, która była niemym świadkiem tej całej rozmowy—-tu chodzi o panię także; przedstaw mężowi, że upór jego nikomu nie wyjdzie na dobre, że powolność nikomu nie przyniosłaby krzywdy.

Cecylja podniosła łagodne oczy na Kiljana, ale milczała. Przekonanie jego było jej przekonaniem. Jednak gdy spojrzała na twarz jego zbladłą, na ręce poranione, nie miała siły go wypowiedzieć.

— Mój upór—powtórzył Kiljan, którego oczy południowe, rzucały błyskawice, choć rysy i głos pozostały spokojne,—mój upór,jak go się panu podoba nazywać, przeszkodzi grabieżcy spać spokojnie; w braku sumienia gryźć go będzie i trapić, spełniając tajemniczą sprawiedliwość, której niewolno mi uchylać od niego. Powiedz pan stryjowi, że więcej niż kiedykolwiek przekonany jestem, że dowody urodzenia mego istnieją i znaleźć się muszą; powiedz mu, że jeśli nie ja, to dzieci moje upomną się kiedyś o wydarty majątek, a ja praw moich nie zrzeknę się nigdy. Daremnie zwracasz się pan do żony mojej; jej,tak samo.jak i mnie, żadna nędza skłonić nie potrafi do postąpienia wbrew własnemu sumieniu.

Z kolei teraz mecenas słuchał go w milczeniu, zapytując w głębi ducha samego siebie, czy czło-

wiek przemawiający tak stanowczo,nie posiadał coś więcej nad przypuszczenia i moralne przekonanie; czy on sam zatem uczynił rozsądnie, trzymając tak wyraźnie stronę jego przeciwników. I zgodnie z tą myślą natychmiast zmienił taktykę, chcąc sobie zostawić w każdym razie drogę odwrotu.

— Zapewne—wyrzekł starając się nadać fizjonomji swojej wyraz sympatycznego zdziwienia,— zapewne byłoby szaleństwem porzucać miljonową fortunę dla nędznych kilkukroć stu tysięcy, skoro jest pewność odebrania jej prędzej lub później. Czemuż nie powiedziałeś tego odrazu panie Kiljanie.

Głos jego był tem przyjaźniejszy, że hrabia Feliks słyszeć go niemógł.

— I jakże—pytał przysuwając krzesło swoje— czy powziąłeś pan wiadomość o matce swojej? o miejscu urodzenia? Przypomnij pan sobie pierwszą rozmowę naszą; w takim razie obiecałeś udać się do mnie,bo byłem przyjacielem twego ojca.

Ten nagły zwrot pełnomocnika hrabiego, to odwołanie się do przyjaźni zmarłego, o której tak zupełnie zapomniał wówczas gdy Kiljan naprawdę jej potrzebował, wywołały tylko na usta Kiljana ten chłodny, litośny uśmiech, który tak często po nich przebiegał. Podłość ludzka przestała oddawna być mu nowością, a jednak nie spotykał się z nią nigdy bez wstrząśnienia podobnego temu, jakie

sprawia dotknięcie gadu. Dla tego nie zważając na przyjazne słowa prawnika, odparł zwolna.

— A gdybym i powziął podobną wiadomość, czy byłoby bezpiecznie udawać się z nią do obrońcy nieprzyjaciół moich?

Przed dobitnością tych wyrazów mecenas spuścił głowę. Dwa razy pobity przez Kiljana, zrozumiał że jest stopień prawości, który zawsze oprzeć się potrafi najzręczniejszym wykrętom. W całej tej godzinnej rozmowie, młody człowiek nie zminął się nigdy z przekonaniem swojem; a prawnik czuł, że cała wymowa i subtelność jego okazały się zupełnie bezskuteczne, że odkrył głąb myśli swoich, a sam nic nie wybadał, nic nie wyrozumiał, i nie mógł nawet nic innego odnieść hrabiemu, jak nieodwołalne postanowienie synowca jego.

Po odejściu prawnika, mąż i żona spojrzeli na siebie przeciągłym wzrokiem; Kiljan głowę zmęczoną oparł na ręce, i myślał.

— Cecyljo—wyrzekł z cicha.

Przybiegła i zawiesiła się na szyi jego, kryjąc łzy, które bezwiednie płynęły jej po twarzy. Cecyljo—mówił Kiljan—powiedz czy miałem prawo postąpić jak postąpiłem, i skazywać ciebie na męczarnie nędzy? Bo ja zapytuję się samego siebie, czy nie uniosłem się dumą przeciw krzywdzicielom moim. Ale pod tym względem sumienie moje jest czyste.

Ona podniosła twarz rozpłakaną ale pogodną jak niebo; patrząc na męża z chlubą i ufnością, wyrzekła.

— Nie zważaj na mnie Kiljanie. Połączyliśmy się na złą i dobrą dolę; ja powinnam ci być wsparciem a nie zawadą na twardej drodze obowiązku, którą postępujesz tak wytrwale.

Umilkli oboje i chwilę trwała pomiędzy niemi cisza, wśród której przemawiały tylko ich serca bijące jednozgodnie.

— A teraz—wyrzekł mąż wydobywając się lekko z jej objęcia—trzeba mi iść Cecyljo. Bądź spokojną, powrócę wkrótce.

Nie zatrzymywała go, wiedziała że to napróżno. Konieczność ciążyła nad niemi. Ale w milczeniu położyła rękę jego na swojem ramieniu, i sprowadziła go ze wschodów. Dzień był przykry i zimny, śnieżna zadymka szalała po ulicach. Powróciła na górę ze ściśnionem sercem, i ocierając łzy które wzrok jej mroczyły, bez straty czasu zabrała się do pracy. Czyżto nie było życiem i zdrowiem Kiljana? Przez kilka chwil głucha cisza panowała w izdebce, i słychać było wiatr szumiący po szczytach kominów, skrzyp chorągiewek na dachu, i śnieg bijący o szyby okna. Cecylja drżała słuchając tych odgłosów, i co chwila odwracała głowę od wachlarza, który skostniałemi rękami musiała malować wiosenną barwą kwiatów, by spojrzeć na to niebo

tak nielitościwe dzisiaj dla tych co potrzebowali pogody i słońca.

I znowu czyjeś kroki dały się słyszeć na wschodach—i rzecz niesłychana—długa, jedwabna suknia szeleściała wlekąc się po ciasnych zakrętach poddasza. Drzwi nie były zamknięte. Po chwili ciszy, jak gdyby wahania się, otworzono je, i postać kobieca,otulona bogatem futrem, ukazała się na progu. Cecylja podniosła się mierząc nowo przybyłą zdziwionem okiem, ale nie była w stanie jej poznać; blada, wychudła twarz kobiety, przysłoniona koronką woalki, nie obudziła zrazu w niej żadnego wspomnienia. Ona stała ciągle w miejscu zmęczona czy zatrzymana wzruszeniem, lub onieśmielona tą nędzą, która wyglądała z każdego zakąta pokoju źle zamaskowana, a jednak tak pełna dumy, że dojrzeć ją zdawało się obrazą dla mieszkańców poddasza. Wreszcie odrzuciła z twarzy zasłonę, i wyrzekła z cicha.

— Nie poznajesz mnie pani?

— Jakto—zawołała Cecylja po chwili wahania się—hrabianka tutaj, u nas!

I wzrok zdumiony wlepiła w Amelję.

Rzeczywiście trudno ją było poznać.Długa choroba, niepokój ducha trapiący ją od chwili odkrycia tajemnicy rodzinnej, wybiły jej na twarz niestartym stygmatem; z jej czoła i liców znikły ostatnie ślady młodości. Hrabianka Horecka powstała z choroby

zupełnie starą kobietą. A jednak ta postać zwiędła i wychudła, po bliższem rozpatrzeniu się w niej zdała się sympatyczniejszą niż dawniej. Rysy jej zmiękły, wyraz wyszlachetniał; oczy dawniej jadowite, zazdrośne, teraz zaszły mgłą łzawą; spoglądały w około smutnie i poważnie, jak przystało kobiecie, co sama cierpiąc zrozumiała cierpienie; w której doznana krzywda zrodziła współczucie dla skrzywdzonych, a myśl zbudzona nawałem wypadków, wybiegła daleko poza obręb dotychczasowej konwencjonalnej sfery. Dla tego też Amelja z wahaniem i nieśmiałością nieznaną jej dotąd, wstąpiła do biednego mieszkania. Zmiana jaka w niej zaszła była głęboką, nie ograniczała się na fizycznej zmianie. Czuła się upokorzoną w obec tej nędzy; nie wiedziała jakiem słowem przemówić do tych ludzi, co byli ofiarą jej rodziny—i stała na progu poddasza do którego zagnały ją wyrzuty sumienia i uczucie sprawiedliwości, drżąca, niepewna, podobna do żebraczki. Drżenie to i ta zmiana nie uszły uwagi Cecylji. Zrozumiała, że Amelję sprowadzić tu mogła tylko jakaś nadzwyczajna okoliczność. Wyczytała w jej oczach współczucie, którego w tej chwili tak bardzo potrzebowała. I zapominając o wszystkiem, przyjaźnie prawie zbliżyła się do niej.

Pomiędzy dwiema kobietami wzruszenie było wielkie; obiedwie spoglądały na siebie bez słów czas

jakiś. Myśli ich i serca zbiegały się na jednym człowieku, którego imie nie wymówione drgało im na ustach.

— Gdzie Kiljan?—szepnęła w końcu Amelja oglądając się w koło. I gdy to wymówiła, brew uderzyła jej do czoła; zachwiała się i wesprzeć musiała.

— Mąż mój—wyrzekła z pewną dumą Cecylja—chory i ranny wyszedł za robotą.

— Chory i ranny—powtórzyła boleśnie Amelja załamując ręce—więc aż do tego doszło!

I łzy wstrzymywane długo, wytrysły z jej oczów, i popłynęły po bladej twarzy.

— Cecyljo—zawołała gorączkowo—ja muszę się z nim widzieć, ja nie mogę ztąd odejść nie zobaczywszy go, nie zyskawszy przebaczenia. Ja teraz dopiero wiem o wszystkiem. Strzegą mnie, mają na oku, zaledwie zdołałam wymknąć się z domu.

— Zatrzymaj się pani, mąż powróci natychmiast, powinien powrócić—wyrzekła Cecylja przysuwając krzesło Amelji, która osunęła się na nie.

Chwilę znowu trwało milczenie; zbyt wiele rzeczy stało pomiędzy temi kobietami, by lody przełamały się od razu, jednem słowem i wybuchem serdecznym.

— Boże, jak tutaj zimno—rzekła po chwili hrabianka otulając się futrem.

Cecylja zarumieniła się gwałtownie, ale nie rzekła nic, tylko wzrok dumny utopiła w Amelji; ona,

jedna ze sprawców tej nędzy, nie powinna jej się była dziwić.

Rzeczywiście Amelja słowa te wyrzekła bez myśli; pierwszy raz widziała zbliska niedostatek, i nie domyślała się nawet, że zimno jest jednym z objawów jego. Bo chociaż hrabina Horecka słynęła z dobroczynności, choć mówiła wiele o biednych, i dla nich nawet stroiła się i tańczyła; to jednak jak każda rozpieszczona zbytkiem istota, brzydziła się nędzą, która zazwyczaj łączy się z brudem i zaniedbaniem. Nie zaglądała też nigdy do ubogich mieszkań, i z całej Warszawy znała tylko arystokratyczną dzielnicę. W tym wstręcie wychowała córkę, a Amelja wiedziała o nędzarzach tyle prawie a może i mniej cokolwiek, niż o dzikich mieszkańcach Australji. Słyszała ona że Kiljan był biednym, ale słowo to nie miało dla niej wyraźnego znaczenia. Sądziła w prostocie ducha, iż być biednym jestto nie posiadać pałacu w Warszawie, ani pięknej letniej rezydencji w majątku wiejskim; nie mieć ekwipażów, koni, loży pierwszego piętra na włoskiej operze; nie módz przepędzać zimy w Nicei lub Paryżu, latem nie zwiedzać wód Nadreńskich i brzegów Oceanu. A i tak ubóstwo w tem złagodzonem świetle, wydawało jej się strasznem bardzo. Teraz spoglądała na to mieszkanie ukradkiem, bo świat jakiś nowy, straszny i niepojęty dotąd, otwierał się przed jej oczyma. Wychowana w zbytkach, nie pojmowała

wcale jak żyć można bez tysiąca rzeczy, których tutaj brakowało zupełnie. Po raz pierwszy widziała twardą rzeczywistość, i nie odwracała się od niej trwożna, ale umysłem i sercem chłonęła tę chwilę i jej gorzką naukę.

Tymczasem śnieżna zamieć szalała na dworze, i trzęsła oknami izdebki.

— Boże, Boże— szepnęła Cecylja zwyciężona niepokojem, zapominając prawie obecności hrabianki —on nie powraca!

— Chory—wyrzekła Amelja—jak on mógł wyjść na czas podobny!

I spojrzała z wyrzutem prawie w twarz Cecylji.

Cecylja uśmiechnęła się boleśnie.

— Potrzeba nie wybiera czasu—odparła krótko.

— Potrzeba!—powtórzyła Amelja,—więc taka nędza istnieje, i nikt jej w pomoc nie przychodzi!

Przyszły jej na myśl wszystkie dobroczynne zabawy i prace w których brała udział, i zrozumiała że z nich korzysta tylko patentowana nędza; przypomniała sobie uniżone postacie udające się do pańskich domów po wsparcie za rekomendacją pobożnych osób. Czyż dziwić ją mogło, że Kiljan i Cecylja nie należeli do nich?

— Dotąd—wyrzekła Cecylja jakby odgadując jej skryte myśli—dotąd wystarczaliśmy sobie, i da Bóg dalej wystarczać będziemy. Kiljan nie przyjmie jałmużny, ani...

Chciała dodać, „pomocy tych co go skrzywdzili“. Ale w oczach Amelji było tyle bolu, skruchy i serdecznego uczucia, iż Cecylja nie dokończyła słów zaczętych. Hrabianka, złamana chorobą i żalem, tak niepodobną była do tej dumnej, złośliwej patrycjuszki, którą znała w pałacu Horeckich, że wzbudzała tylko jej litość. Amelja z niepokojem śledziła zmiany wyrazu na twarzy młodej kobiety; cierpienie uczyniło ją jasnowidzącą.

— Cecyljo, Cecyljo!—zawołała boleśnie Amelja wyciągając ku niej ręce—jak wy mnie nienawidzić musicie!

— Kiljan oddawna przestał kogobądź nienawidzić.

— A ty Cecyljo, czyż zdołałaś zapomnieć krzywdy doznanej u nas? ja wiem jak niesprawiedliwie obeszliśmy się z tobą, skoro on cię pokochał i poślubił.

— Ja—odparła z rumieńcem Cecylja—byłam nadto szczęśliwą by o tem pamiętać.

Amelja spuściła głowę na piersi. To szczęście, ona miała je w ręku, i odrzuciła; a teraz zazdrościła tej nędzy, tej choroby, i tego spokoju ducha mieszkańcom poddasza. Nie wiedziała jak dalej przemówić. Spodziewała się wyrzutów, skarg, nienawiści; a spotykała ludzi stojących na takich wyżynach, że dla krzywdzicieli zachowali tylko litość i obojętność. Pogrążona w tych myślach, szukała dare-

mnie słów odpowiedzi na te harde uczucia, które przenosiły o wiele moralną skalę jej pojęć—gdy wszedł Kiljan.

Zmęczenie niezmierne malowało się na jego wybladłej twarzy; płaty śniegu niestopionego jeszcze, bielały na jego włosach i ubraniu, a krople potu perliły mu się na czole. Wzrok błyszczał gorączkowo. Cecylja zapominając o Amelji, rzuciła się ku niemu. On nie spostrzegłszy jej zrazu, przycisnął żonę do piersi, jakby to krótkie rozstanie się wiekiem było dla obojga. Ona nie pytała go o nic, nie mówiła o niespodziewanem zjawieniu się hrabianki, ale cała oddana szczęściu i miłości swojej, obcierała twarz jego i włosy, spoglądając mu w oczy z niepokojem, czy nie wyczyta w nich zwiększonego cierpienia.

Ale on uśmiechnął się do niej, i rzucił z rodzajem tryumfu na stół pieniądze.

— Patrz—wyrzekł stłumionym od zmęczenia głosem—znalazłem robotę i to od jutra.

— Od jutra — powtórzyła boleśnie Cecylja— a jeszcze sił nie odzyskałeś!

Probował uśmiechnąć się znowu, ale usta nieposłuszne były woli jego. Zwyciężony zmęczeniem zachwiał się, i padł prawie na krzesło.

Wówczas dopiero Amelja,niewidziana dotąd przez niego, zbliżyła się zwolna. Kiljan miał oczy przym-

knięte, ale Cecylja w niepokoju swoim wskazywała go hrabiance.

— On się zabija—szepnęła Amelja, spoglądając na niego z nieopisanym wyrazem żalu i zachwytu; on się zabija pracą, a my tymczasem...

Kiljan dosłyszał głos obcy; podniósł głowę, a źrenice jego na widok tej istoty podobnej do widma przeszłości, rozwarły się szeroko, i chodziły pytające od niej do żony, jakby chciał się przekonać czy to nie jest mara wywołana gorączką.

Amelja zrazu oniemiała pod tym wzrokiem, którego wspomnienie nosiła od lat tylu w sercu wyryte głęboko. Z oczyma pełnemi łez stała przy nim nieruchoma.

— Pani—wyrzekł Kiljan, odzyskując w jednej chwili chłodną dumę z jaką miał prawo przemawiać do niej —nie pojmuję co cię tutaj sprowadzić mogło. Jeśli chęć wspomożenia mnie—mówił dalej po krótkiej przerwie, nie odbierając odpowiedzi żadnej, —widzisz że to niepotrzebne.

Amelja wstrząsnęła głową, głos nie mógł się wydobyć z jej piersi ściśniętej; ale z jej postawy znać było, że nie przyszła tutaj z jałmużną.

On to zrozumiał.

— Gdyby—wyrzekł po długiej chwili wahania się—gdyby niepojętym trafem, ja,nieznany robotnik, mógłbym być w czemś użytecznym hrabiance Horeckiej, masz pani słuszność że udałaś się do mnie.

Amelja spojrzała na niego zdumionym wzrokiem.

— Kiljanie—zawołała składając ręce—więc ty zapomniałeś, więc mogłeś mi przebaczyć!

On uśmiechnął się zwykłym sobie smutnym, łagodnym uśmiechem.

— Nie mówmy o przeszłości—wyrzekł zwolna.

— Ja muszę o niej mówić, ja po to przyszłam tutaj.

— To na próżno—odparł; zapomnieć nie jest w mocy ani woli mojej, bo to przeciwne obowiązkom człowieka względem samego siebie. Jednak, jeżeli żądasz pani przebaczenia, jeśli czujesz że masz coś względem mnie na sumieniu, to możesz odejść w spokoju; oddawna przebaczyłem wszystkie osobiste krzywdy. Według wielkiej Sprawiedliwości rządzącej światem, złe każde obraca się zazwyczaj przeciwko tym co je spełnili; ja nie chowam nic w sercu ku wam wszystkim. Ale cóż z tego? pomstą jest już zło samo; a jeżeli się nie mylę panno Ameljo—dodał spoglądając na nią—to smutne prawo spełniło się nad tobą. Nie byłaś szczęśliwą.

Było to pierwsze słowo szczerego współczucia, jakie hrabianka Horecka usłyszała w życiu swojem, i wydarło ono z jej piersi łkanie gwałtowne. Tu, przy człowieku którym wzgardziła, przy kobiecie której wyrządziła najcięższą krzywdę, przy ich wygasłem od nędzy ognisku, odetchnęła poraz pierwszy swobodną piersią; poraz pierwszy obwiała ją

czysta atmosfera moralna, której napróżno szukaał dotąd w koło siebie. Serce jej i myśli otwierały się pod tym wpływem, i płakała nad przeszłością i nad obecną chwilą, nad sobą i nad niemi.

Cecylja zbliżyła się zwolna, i objęła jej postać pochyloną z serdecznem współczuciem; Kiljan wyciagnął do niej rękę. Oboje spoglądali na siebie, nie mogąc dojść powodu tej niepojętej zmiany w Amelji, i tego niepojętego przybycia.

— Wy—zawołała—wy co macie prawo mnie przeklinać, wy jedni nie odpychacie mnie!

— Uspokój się pani—mówił Kiljan—ja i ona nie odpychamy żadnego cierpienia. Cierpieliśmy.

— Cierpieliście przez nas, przezemnie.

— To przeszło—odrzekł Kiljan—ja nie żałuję przeszłości. Zostawmy ją w spokoju, przecież nie ona to sprowadziła cię do nas. Powiedz pani otwarcie, czego pragniesz?

Było tyle szlachetnej prostoty w tych słowach, w całem obejściu się Kiljana, że Amelja uspokoiła się zwolna.

— Przyszłam tutaj—wyrzekła—naprzód pozyskać przebaczenie wasze, potem nagrodzić spełnioną krzywdę o ile to w mocy mojej.

— Jakto?—zapytał Kiljan, tknięty temi słowy, i nie pojmując ich całego znaczenia.

— Mój ojciec—szepnęła Amelja z płomiennym rumieńcem na twarzy—nieprawnie posiadł majątek brata.

— Wiem to oddawna, ale moralne przekonanie nic nie znaczy bez dowodów.

— Dowody te gdzieś być muszą. Dziwnym trafem wpadła w ręce moje korrespondencja cała hrabiego Juljusza z żoną. Czytałam ją.

— W twoje ręce pani?... zawołał Kiljan—w twoje ręce?

I utkwił w niej wzrok niepewny, jakby badał, jakim sposobem papiery te dostały się do niej; dla czego teraz dopiero po tylu latach robiła mu to odkrycie. Byłaż to tylko zemsta rodzinna czy też zbudzone sumienie? Co zawierały te listy należne mu prawem serca, które na końcu wyjaśnić mu miały tajemnicę otaczającą jego kolebkę? Amelja podała mu zwój zżółkłych papierów. Pochwycił je drżącą ręką—i teraz dopiero zwyciężyło go wzruszenie.

— Ameljo—zawołał gwałtownie—dla czegoż milczałaś tak długo?—Ona z łagodnością nową dla niej zupełnie, odparła.

— Nie byłam tak winną jak sądziłeś, byłam biernem narzędziem tylko.

I opowiedziała jakim sposobem papiery te wpadły teraz w jej ręce, opowiadała zdziwienie swoje, walki, chorobę. Opowiadanie jej potwierdziło to tylko, czego Kiljan domyślał się oddawna. W sumieniu jego, stryj i cała rodzina jego osądzoną już była; fakta nic tu nie dodały i nic nie ujęły. Skoro istnieje przekonanie że ktoś nie cofnie się przed

zbrodnią, cóż znaczy to czy ją spełnił rzeczywiście? Ale opowiadanie Amelji, pokazując mu dokładnie Gordyjski węzeł oplątujących go trudności, nie pomogło mu wcale w rozwiązaniu jego. Rozmyślał czas jakiś nad dziwnym zbiegiem okoliczności, które upewniały tylko przekonanie jego, nie dając mu stanowczej broni przeciwko nieprzyjaciołom; nad tą kobietą, co kiedyś była powodem jego zguby, a dziś daremnie siliła się naprawić złe, bezwiednie sprawione. Zanadto znał ludzi by wątpić o prawdzie słów Amelji; czytał na jej zwiędłej twarzy ślady burz i cierpień, które są nieomylne.

Dwie kobiety szanowały milczenie jego, spoglądając na siebie czas jakiś. Wreszcie Amelja zbliżyła się zwolna do niego.

— I cóż Kiljanie?—zapytała, wlepiając w niego zapłakane oczy.

Trudno było odgadnąć właściwe tych słów znaczenie. Czy pytała co ma dalej czynić, czy badała tajemne zamiary jego? Na głos jej zbudził się jak gdyby ze snu, i powstał spokojny, poważny jak zawsze.

— Wracaj do siebie Ameljo—wyrzekł łagodnie— niech troska o nas nię zamąca ci życia. Spełniłaś obowiązek przychodząc tu sama odnieść mi tę serdeczną spuściznę; więcej ani możesz, ani powinnaś uczynić. Może zagadka losu mojego rozwiąże się

zczasem; dzisiaj nie zmieniło się nic w koło mnie ani we mnie.

Słowa te jednak na wpół tylko uspokoiły hrabiankę. Ciężko jej było opuścić tych ludzi, co tak zupełnie przygarnęli ją do serca, a wracać do lodowatej atmosfery, panującej w jej własnej rodzinie. Nie była może wstanie zdać sobie dokładnej sprawy z doznanych wrażeń; ale tutaj pomiędzy niemi, nie czuła się ani samotną, ani wzgardzoną. Serce jej rozszerzało się w piersi, nowe uczucia i nowe myśli budziły się w niej. Spokojna mądrość Kiljana spływała w jej umysł zbolały jak rosa ożywcza. A jednak nie śmiała go o nic więcej zapytać. Człowiek ten tak różnym był od gwałtownego, rozkochanego młodzieńca, którego znała dawniej, że dawna jej miłość mieniła się w cześć i współczucie. Z przeszłości nie zostało w nim nic, nic wcale. Namiętny dzieciak,rozpieszczony dziedzic ogromnego majątku, zniknął na zawsze. Istota co ją kochała niegdyś, którą pamiętała, była pogrzebioną niepowrotnie; dzisiejszy Kiljan nie wiedział już nic o dawnych uczuciach i uniesieniach, które dawniej gorzały mu w piersi. Hrabianka Horecka wyszła z tego mieszkania przetworzona moralnie, unosząc w sercu zarody uczuć i pojęć, które coraz więcej rozwijać się miały.

Kiljan rzucił się gorączkowo do listów zostawionych przez Amelję, a w sercu jego odtworzyła się

przeszłość którą przeczuwał. Zrozumiał wreszcie tę wielką miłość, w której zamknęło się całe życie ojca, a którą śmierć przecięła tak przedwcześnie. Matka jego, Juana Dolores de Malajara, umarła mając niespełna lat dziewiętnaście, po trzech latach małżeństwa. Teraz zrozumiał dla czego ojciec był smutnym zawsze, dla czego pewnych imion i pamiątek jak relikwij nie dotykał nigdy. Są bóle którym nie sprostają słowa; są żale święte i tajemnicze, nie dające wypowiedzieć się bezkarnie.

Ale listy te inne jeszcze światło rzuciły w umysł Kiljana. Ciarkowski służył już u ojca jego, za dni tego krótkiego szczęścia.

Długo bardzo przechadzał się Kiljan nierównym krokiem po pokoju, aż Cecylja niespokojna tym gorączkowym stanem, oplotła go ramionami, i zmusiła usiąść przy sobie. Kiljan patrzał przez chwilę na jej zbledzone lica, na twarz wychudłą, i myśli jego sformułowały się słowem.

— Chciałbym być bogatym—wyrzekł—bogatym dla ciebie, byś nigdy więcej nie zaznała niedostatku ni troski o chleb powszedni.

— A ja—odparła—nie wiem czemu lękam się tych wszystkich sporów prawnych i zawikłań, jakie ztąd wypaść mogą. Wszak nam do szczęścia potrzeba tylko zdrowia i pracy. Jabym wolała nie słyszeć nigdy o tych miljonach hrabiów Horeckich.

— Dla czego? Szczęście nasze niezależne jest od nich; one ani go zachwiać ani powiększyć mogą. Ale pamiętaj, że pieniądz to potęga straszna, która na złe równie jak i na dobre użytą być może. Nie mogę zostawiać jej w ręku wydziercy, bo każdy, ile mu sił starczy, walczyć powinien za sprawiedliwością, i nie zostawiać żadnej broni w nieprzyjacielskim ręku.

— Więc chcesz dochodzić praw twoich koniecznie?

— Koniecznie, bo one są słuszne.

Cecylja spuściła smutnie głowę.

— To prawda Kiljanie—odparła—a jednak ja czegoś lękam się i trwożę; ja chciałabym zapomnieć, że rodzina Horeckich istnieje.

— To dziwne—wyrzekł z uśmiechem—wszak oni nam nic złego uczynić nie mogą. Serca nasze i myśli nie są w ich mocy.

— Ty nadto ufasz sobie Kiljanie. Może i masz słuszność; ale ja, gdym cię widziała bez siły, bez pomocy walczącego z chorobą i niedostatkiem, zrozumiałam jak kruchem jest szczęście moje, i lękam się wszystkiego. Niedziw mi się—ale ja już nigdy może nie odzyskam ufności w życie; ty nie wiesz co ja wycierpiałam.

I na samo wspomnienie dni minionych, Cecylja, która w chwili próby nie upadła na duchu, teraz ukryła twarz łzami zalaną na piesiach męża, i ci-

snęła się do niego, jak gdyby znowu lękała się go utracić, i chciała go przykuć tutaj objęciem swojem. Wpatrywał się długo w jej piękne rysy, przez które tak wyraźnie przeglądały czyste uczucia i wysokie myśli.

— Najdroższa—wyrzekł—bądź mężną; czyż nie wiesz, że życie to walka ciągła, nieustanna? Naprzód człowiek zdobyć sobie musi byt i miejsce pod słońcem; potem wyjarzmić się z przesądów wszystkich coby mu prostą drogę tamować mogły; dalej iść śmiało ku światłu i prawdzie, nie bacząc na przeszkody, trwogi, pochlebstwa lub nagany; wówczas tylko spełnia swój obowiązek, a całe szczęście nasze wewnętrzne leży w tem poczuciu.

Otarła łzy, podniosła czoło, uspokoiła się pod wpływem tych słów stanowczych, i okazała znów pogodne oblicze, co mu było osłodą i radością życia.

— Byłam dzieckiem Kiljanie—odparła—zapomniałam żeś mnie wtajemniczył w całą przeszłość swoją, żem ci powinna dorównać sercem, myślą i odwagą. A jednak—dodała po chwili—niewiem czemu nie mogę uspokoić się po tych wszystkich niespodzianych wieściach. Zjawienie się Amelji zamąciło mi spokój ducha. Straszno mi gdy patrzę w głąb tego rozdartego serca, gdy spoglądam w życie tej kobiety, zwiędniałej wśród czczości i sieroctwa swego marnego bytu.

Kiljan zamyślił się smutnie.

— Ona jest biedną bardzo, Cecyljo—wyrzekł zwolna. Żałuje tego czego nie posiadła nigdy; skazała na milczenie najszlachetniejsze struny swego ducha, a teraz chodzi w żałobie po samej sobie. Tej żałoby nie zdejmuje się nigdy; czas nawet złagodzić jej nie może.

I to było całe wrażenie, wywołane w Kiljanie zjawieniem się pierwszej kochanki jego młodości; miłość ta przebrzmiała w jego duchu tak zupełnie, że żadne echo przeszłości nie zamąciło obecnej harmonji jego.

Teraz myśl jego znów zwróciła się do realnych warunków życia. Należał on do ludzi, którzy szybko robią postanowienia, a szybciej jeszcze w czyn je wprowadzają. Trzeba mu było naprzód odszukać Ciarkowskiego, który trzymał w ręku koniec tego Gordyjskiego węzła przeszłości. Wprawdzie były kamerdyner zniknął mu był z oczów oddawna; jednakże po owem wieczornem spotkaniu na ulicy, które tak silnie wstrząsnęło wspomnieniami jego, odwiedził raz biedną Andzię. Znał więc dokładnie adres dworku na Marszałkowskiej ulicy. To też zaraz nazajutrz udał się do niego. Teraz lub nigdy trzeba mu było zniweczyć intrygi i podłości, których stał się ofiarą, i odrzeć z ułudnych pozorów dobroczyńcy ludzkości, tego człowieka, którego ohydne czyny miljony tylko osłaniały w oczach

świata. Ciarkowski, któremu złoto zamknęło usta, za złoto też mógł przemówić. Kiljan wiedział, że on przemówić musi; czuł się dzisiaj silniejszym od niego o całą wiedzę swoją.

Temi myślami zajęty, przebiegał szybko odległość dzielącą go od mieszkania exkamerdynera; gorączka wewnętrzna zastępowała mu siły wyczerpane. Doszedłszy do dworku zastukał bez namysłu, ale parę razy stukanie swoje ponawiać musiał. Nie odpowiadał mu nikt; ani słychać było śpiewu dziewczęcia odzywającego się tam dawniej. W nizkich oknach widać było z za pożółkłych firanek zeschłe szkielety kwiatów, starannie pielęgnowanych niegdyś przez Andzię. Wreszcie ociężałe kroki zbliżyły się ku drzwiom, skrzypły zardzewiałe zawiasy, i człowiek, którego Kiljan odrazu poznać nie mógł, ukazał się w progu. Przez krótki przeciąg kilku miesięcy, Ciarkowski, bo on to był, zmienił się straszliwie; rude włosy jego pobielały, brzydkie rysy nabrały jakiegoś boleśnego skrzywienia, ale nie wyszlachetniały jednak. Przeciwnie, bure oczy fałszywiej może jeszcze patrzały niż dawniej, paliły się w nich jakieś tłumione zarzewia, jakieś nienawiści brudne a nieubłagane. Nie było w nim znać ani jednej dobrej iskierki, kiedy nawet prawdziwe cierpienie rozbudzić jej nie zdołało w głębi tego zepsutego ducha. Wyglądał nie jak człowiek dotknięty nieszczęściem, ale raczej jak lis, któremu

się zdobycz wyrwała. Za złe co go spotkało, zdawał się żywić złość do ludzi, losu i Boga—jeśli istoty jemu podobne zdolne są uznać Boga choćby bluźnierstwem. Dotąd Ciarkowski był tylko wstrętnym; teraz stał się ohydnym, jak bezsilna wściekłość. A przecież cierpiał on rzeczywiście. Pierwsze spojrzenie które Kiljan rzucił na niego, przekonało go o tem. Kamerdyner na widok syna dawnego pana swojego, doznał dziwnego wrażenia. Blade źrenice jego zamigotały jakąś błyskawicą niepewną, która nie zdołała jednak rozproszyć mętów tego ducha, ale wskazała je tylko dokładniej, niby chmury w czasie burzy zalegające horyzont. Trudno było nawet rozpoznać rodzaj uczucia jakie w nim wzbudzał obecnie młody człowiek, gdy stał w progu ponury, wahający się, jakby nie wiedział jakiem powitać go słowem.

Ale Kiljan zajęty własnemi myślami, nie zwrócił na to baczniejszej uwagi, i przystąpił bliżej. Ciarkowski cofnął się, może przez nawyknienie uszanowania, i obadwaj znaleźli się w pokoju stanowiącym kiedyś salonik Andzi. Stary fortepjan stał w kącie, obłożony kilkomiesięcznym kurzem, tak samo jak stół zasłany serwetą, firanki i kwiaty w oknie. Opuszczenie w mieszkaniu i w postawie Ciarkowskiego tak było widoczne, że Kiljan zauważać je musiał.

— Gdzie Andzia?—zapytał,oglądając się w koło.

Na imię córki, wymówione tak znienacka, Ciarkowski zadrżał od stóp do głowy.

— Umarła—odparł głucho.

Głos jego podobniejszym był do stłumionego ryku niż do ludzkiej mowy. On kochał córkę swoją. Uczucie to pełne było upodlenia i nikczemności, jak serce tego człowieka; a jednak istniało w nim silne, jedyne. Ugodzony w nie, stracił równowagę moralną—cel życia. Szalbierstwo jego, czelność, chciwość nawet, były już tylko nawyknieniem;szedł dalej torem dawnym, jak machina własnym rozpędzona ciężarem. Pozbawiony jedynego dodatniego uczucia jakie posiadał, zarówno nienawidził teraz wszystkich i wszystko; ale nawet nienawiść ta była ślepą i bez kierunku, nie miała prawie ludzkiej cechy.

— Umarła—powtórzył smutnie Kiljan, zapominający w tej chwili krzywd doznanych i złej woli tego człowieka, a myśląc jedynie o bolu i sieroctwie jego. Umarła! tak młoda, tak pełna życia!

Ale żal Ciarkowskiego nie był z tych, które się łagodzą współczuciem. Śmierć córki, w przekonaniu jego ciążyła na społeczeństwie całem, na każdej istocie ludzkiej którą widział. Ta zwichnięta natura niezdolną była oddzielić niewinnych od winowajcy. Dla tego patrzał na Kiljana z rodzajem okrucieństwa. Blade źrenice jego zachodziły krwią,

i miotały skośne połyski z pod brwi wypełzłych; były to oczy hyeny w głowie lisa.

I od podobnegoto człowieka zależał teraz los Kiljana. Spoglądał on na ten potworny żyjący hieroglif, nie mogąc go wyczytać. Uczucia Ciarkowskiego były tak zwierzęco nieloiczne, że leżały zupełnie poza promieniami pojęć Kiljana. Znając je, można było wyzyskać je, i pokierować piorunami nienawiści nagromadzonemi w piersi tego człowieka—opanować go, i stać się tym działaczem, którego mu brakło. Ale Kiljanowi nieznaną była smutna historja Andzi, nie wiedział kto był sprawcą jej śmierci. Patrzał więc na jej ojca, nie znajdując słów pociechy na boleść podobną. Jednak traf, który teraz wyraźnie wziął go w opiekę, mądrzejszym się okazał od przewidzeń ludzkich, i włożył mu w usta słowa właściwe. Jak zwykle w życiu tak i tutaj, szedł on prosto do celu swego, a droga ta okazała się tym razem lepszą niż najwięcej obmyślany wybieg.

Po krótkiej chwili, widząc że Ciarkowski więcej nie pragnął mówić o córce, przystąpił Kiljan do rzeczy, która go tu przywiodła.

— Nie wiedziałem nic o nieszczęściu jakie cię spotkało—wyrzekł łagodnie—i przyszedłem rozmówić się z tobą w bardzo ważnej sprawie.

-- A to w jakiej?—spytał podejrzliwie Ciarkowski;—a co mnie teraz cudze sprawy obchodzą?

Kiljan nie zraził się tem mało zachęcającem przyjęciem.

— Niewiem czy wiesz—zapytał patrząc w twarz exkamerdynera,—że hrabia Wilhelm żeni się w tym miesiącu.

Słowa te, będące prostym wstępem do historji odkryć Kiljana, zrobiły na ojcu Andzi wrażenie gorącego żelaza, przyłożonego do świeżej rany. Porwał się z miejsca jak rozwścieczony bolem.

— Tak, tak!—zawołał wygrażając nieobecnemu zaciśniętą pięścią; tak, on się żeni, a moja biedna córka umarła. Tak zawsze bywa. Stary posyłał nas do Ameryki, obiecywał złote góry, chciał się pozbyć nas jakimbądź kosztem; przyszła śmierć i uprzątnęła mu drogę. Ale ja pomścić ją muszę, ja ją pomszczę.

Zamilkł wlepiając szeroko rozwarte oczy przed siebie, jakby szukając zemsty, i tego co na nią zasłużył. Wzrok jego padł na Kiljana o którym zdawał się zapominać, i nagle źrenice jego zapałały jak u dzikiego zwierza, znajdującego zdobycz pożądaną. W tym spaczonym umyśle widok młodego człowieka obudził w końcu myśl wyraźną. Czyż nie miał w ręku swojem zemsty straszniejszej niż był w stanie wymarzyć? czyż los i byt Horeckich nie zależał od słowa jednego, które on, Ciarkowski, mógł wymówić? Hrabia Wilhelm może nie wiedział o tem; bez troski i trwogi używał życia, depcąc lu-

dzi jak marne robaki po drodze swojej. Tem lepiej, tem lepiej! grom będzie straszliwszy, im mniej spodziewany.

Kiljan spoglądał na niego nie rozumiejąc dokładnie tego steku brudnych uczuć i myśli; czuł jednak poza nieładem słów Ciarkowskiego, jakiś moralny kryzys i przechylenie się tego przewrotnego umysłu. Jednak to wszystko razem było mu tak wstrętne, że milczał, nie mogąc zdobyć się na odwagę wyzyskania go dla siebie.

Ale Ciarkowski nie potrzebował zachęty by mówić dalej. W innej chwili sam wstyd w obec człowieka, któremu za dobrodziejstwa ojca odpłacił zdradą, byłby mu zamknął usta. Spojrzawszy na czyste czoło Kiljana, byłby się zawahał wyznać spełnioną zbrodnię; wreszcie lękałby się może słusznego gniewu jego. Teraz jednak on nie patrzył na nic, tylko w obrazy myśli swojej, i szedł dalej uniesiony prądem własnych uczuć, niebaczny na drugich równie jak na samego siebie.

— To nieprawda—zawołał—on nie ożeni się nigdy; dopóki ja żyję, potrafię stanąć mu na drodze.

I płowe źrenice zwrócił na Kiljana, z rodzajem tryumfu szukającego podziału; ale spotkał wzrok jego jasny i spokojny.

— Tak jest—wyrzekł młody człowiek trzymając go pod potęgą swego wejrzenia—ty Ciarkowski możesz to uczynić; możesz stanąć w poprzek drogi je-

go, tak samo jak zrobiłeś zemną. Ty znałeś moją matkę, służyłeś u ojca mego w czasie krótkotrwałego pożycia w Valparaiso.

Na te słowa, których nie spodziewał się nigdy, exkamerdyner zbladł i zadrżał. Jakkolwiek przygnębiony własną stratą, lękał się Kiljana; krzywda którą mu wyrządził była zbyt wielką. Zmierzył ją instynktem chciwości swojej, by zrozumieć przebaczenie, i stał przez chwilę jak spiorunowany, nie śmiąc spojrzeć w oblicze młodego człowieka. A przecież on był spokojny jak zwykle. Tryumf otrzymany, zeznanie za które starczyło pomieszanie Ciarkowskiego, tak samo jak i cierpienie nie zdołało zachwiać pogody jego ducha. Spoglądał na zbrodniarza stojącego przed nim w trwodze i pomieszaniu, więcej z litością niż wzgardą.

— Uspokój się—wyrzekł wreszcie, nie mogąc doczekać się słowa z ust jego—widzisz, że już wiem wszystko.

Ciarkowski podniósł oczy ukradkiem, i spuścił je znowu. Łagodność Kiljana niepojętą była dla niego.

— Pan hrabia wiesz wszystko!—wybełkotał zaledwie słyszalnym głosem.

Ten tytuł, który były kamerdyner wracał mu tak nagle, wywołał tylko uśmiech Kiljana.

— Wieleż ci zapłacono za milczenie?—zapytał po chwili.

W każdym innym razie to pytanie byłoby obudziło nieufność Ciarkowskiego; ale teraz przywiodło mu tylko na pamięć wyrządzoną mu przez Wilhelma krzywdę.

— Zapłacono mi—szepnął przez zaciśnięte zęby—śmiercią mego dziecka. Ale zapomnieli że i ja, nędzny, zdeptany robak, mam w ręku coś, czem ich zgubić mogę.

— Więc dowody urodzenia mojego znajdują się u ciebie.

Ciarkowski zawahał się chwilę; instynkt zemsty walczył w nim wyraźnie z instynktem nieufności. Chciwość,która przez lat tyle była jedyną żądzą jego, budziła się znowu. Ale to trwało krótko. Podbijało go mimo wiedzy niezrozumiałe obejście się Kiljana, swoboda z jaką dotykał tej palącej kwestji: Machnął więc ręką, jakby odganiając od siebie wszystkie inne myśli, i odparł stanowczo, zamykając samemu sobie drogę odwrotu.

— Odpływając z Południowej Ameryki byłem tyle przezornym, żem się zaopatrzył na wszelki wypadek w akt ślubny hrabiego Juljusza i w pańską metrykę.

— I stryj mój nie wykupił tych papierów od ciebie?

— Nie wiedział że je posiadam, i był spokojnym zniszczywszy duplikaty w papierach brata. Ja nie

widziałem potrzeby pozbywania się tej broni; przeczuwałem, że mi kiedyś potrzebną być może.

— A jaką cenę na te papiery nakładasz? Pojmujesz, że dzisiaj nic ci dać nie jestem w stanie, tylko po wygraniu sprawy, którą natychmiast rozpocznę. Jakiegoż naówczas zażądasz zapewnienia?

— Panie hrabio...

— Daj pokój z tym tytułem Ciarkowski; dzisiaj jestem biednym rzemieślnikiem, i nic więcej.

— Dla mnie słowo pańskie wystarcza—mówił z pewnem wahaniem się kamerdyner, czując dobrze iż inaczej postąpić nie może;—a zresztą—tu spojrzał ponurym wzrokiem dokoła po sprzętach, które przypominały mu córkę—a zresztą na co mi teraz wszystko!

Spuścił głowę na piersi, jak człowiek pokonany losem, a pięści jego ścisnęły się konwulsyjnie niby groźbą, niby przekleństwem. Tak stał chwilę na przeciw Kiljana, potem nagle rozpiął kamizelkę i wydobył zbrudzoną torebkę. Otworzył ją, i drżącemi rękami wyjął dowody urodzenia Kiljana. Rozłożył je na stole i przyglądał im się czas jakiś, jak gdyby nie miał odwagi rozstać się z tem, co stanowiło przez lat tyle potęgę i bogactwo jego.

— Masz pan—wyszeptał teraz stłumionym głosem—masz pan tu oto swoją i moją zemstę.

I z ukosa, jak zwykle, spojrzał krwią zaszłemi oczyma w twarz młodego człowieka. Na czole jego

błyszczała nie radość tryumfu, nie marna żądza bogactwa i wywyższenia, ale święta duma sprawiedliwości. Jakkolwiek spodlonym i nikczemnym był Ciarkowski, zrozumiał to i poczuł, że pomiędzy nimi żadnego wspólnego uczucia być nie mogło. Ale zrozumiał i to także, iż dzisiaj Kiljana nic ugiąć, nic przebłagać nie potrafi; bo to co nim kierowało, wyższem było nad wszystkie względy ludzkie. Złożywszy zemstę swoją w te ręce, odetchnął swobodnie, jak gdyby ciężar tłoczący mu piersi zmniejszył się o połowę.

Kiljan tymczasem przebiegał oczyma te karty z żółtego papieru, które tak wielki przewrót zrządzić miały w jego losie. Wszystko było w porządku; przezorność Ciarkowskiego opatrzyła je we wszystkie potrzebne potwierdzenia i papiery.

— Bądź spokojny—wyrzekł, widząc wzrok exkamerdynera utkwiony w siebie;—nie zapomnę danego przyrzeczenia, nie będziesz miał powodu żałować położonej we mnie ufności.

— Panie—odparł ponuro Ciarkowski—mniejsza o wszystko; ja chcę być pomszczonym.

Zrazu Kiljan nie zważał na wyraz „pomsta“ wracający nieustannie na usta Ciarkowskiego; sądził, że hrabia Feliks nie dotrzymał mu jakiego zobowiązania, lub nie dość drogo opłacił milczenie. Teraz jednak człowiek ten okazywał takie lekceważenie nagrody, tak wyraźnie opanowanym był jedną myślą o wy-

15*

cierpianej krzywdzie, że to zwróciło w końcu uwagę jego.

— Pomszczonym będziesz aż nadto—wyrzekł zwolna—ludzie tacy jak hrabia Horecki i syn jego, razem z majątkiem tracą wszystko co stanowiło ich wartość i szczęście. Ale cóż oni tobie zawinili?

— Co?—zawołał Ciarkowski, jakby zdziwiony że świat cały nie wie o postępku Wilhelma, że Kiljan niczego się nie domyślał.—Co? syn jego zabił moją córkę! Dziewczyna rozkochała się w nim jak szalona; płakała i płakała bez ustanku, a o wyjeździe ani słyszeć nie chciała. Cóż było z nią robić! uparła się przy swojem, szlochała, więdła, aż nakoniec umarła.

Kiljan nie miał czasu zastanawiać się nad tajemniczą sprawiedliwością, która tak dotykalnie karała Ciarkowskiego ręką wspólników zbrodni. Chwila każda była mu drogą. Pomiędzy nim a stryjem walka rozpocząć się miała; bo jakkolwiek miał wszystkie dowody w ręku, czuł że będzie miał do czynienia ze zrozpaczonym przeciwnikiem, który bez przebierania w środkach,bronić będzie miljonów swoich jak życia własnego.

*
* *

Tymczasem w pałacu Horeckich panował spokój i bezpieczeństwo; z chorobą Amelji przeminęła pa-

mięć jej majaczeń; nikt nie wspominał o nich, tem bardziej że hrabianka zdawała się zupełnie zmienioną w charakterze i usposobieniu. Dawne jej ironiczne przycinki zastąpił łagodny smutek; mało mieszała się wprawdzie do spraw rodzinnych, ale mogło to być skutkiem osłabienia, apatji zwykłej u rekonwalescentów. Nawet ślub brata, odwleczony śmiercią młodszej hrabianki Horeckiej, której Cecylja była dawniej guwernantką, zmarłej niedługo po wyzdrowieniu Amelji; ślub zbliżający się teraz coraz bardziej, przestał w Amelji budzić wybuchy zawiści z jakiemi odzywała się wprzódy o tym związku. Hrabia Feliks przestał jej się lękać, bo sądził, iż gdyby na prawdę coś wiedziała, dawałaby to uczuć rodzinie przy każdej sposobnej chwili.

W poobiedniej godzinie hrabia, hrabina, Wilhelm i Amelja zgromadzeni byli jak zwykle w małym saloniku, gdzie zwykle podawano kawę. Ogień płonął na marmurowym kominku; hrabina siedziała majestatycznie na kanapie przerzucając świeże żurnale; Amelja splecione ręce opuściła na kolana,i patrzała smutnie w wesołe płomyki unoszące się w górę. Wilhelm nucił jakąś arję przechadzając się po pokoju, a hrabia usadowiony w wygodnym fotelu palił cygaro, którego wonny niebieskawy dymek wyraźnie zdradzał czyste Hawańskie pochodzenie. Jednak pomiędzy tymi ludźmi otaczającymi domowe ognisko, nie było ani wspólnej myśli, ani wspólnego

uczucia, ani nawet tego węzła, który pewne indywidualności najsilniej wiąże—wspólnego interesu. Każde z nich miało swoje zamiary, swoje pamiątki i marzenia, w których żadne inne nie miało udziału. Matka myślała o zbliżającym się świetnym ślubie syna, o strojach jakie przywdzieje; syn o jarzmie krępujących go konwenansów przy narzeczonej, o strasznym przymusie tych utrapienie długich konkurów, i o baletniczce nowo występującej, która tak czarownie uśmiechała się przy każdym piruecie do pierwszych rzędów krzeseł. Amelja rozpamiętywała dzieje serca swego, marzyła o minionej marnie młodości i o wieku dojrzałym, na który nic nie zaskarbiła w dniach wiosny. A hrabia, odpoczywając po trudach obiadowych, porównywał zapewne w myśli trufle Perigordzkie z temi, które przywieziono z dóbr jego, i talenta rozmaitych kuchmistrzów. Może też nie myślał o niczem. Wtem wszedł kamerdyner niosąc na srebrnej tacy papier,różny bardzo od tych, które zwykle dochodziły rąk hrabiego; a gdy go podawał, na jego twarzy, poza obojętnym stereotypowym wyrazem jakim odznacza się służba arystokratycznych domów, przebijało jakieś zdziwienie, jakaś złośliwa radość, której tak często doznają słudzy z niepowodzeń panów swoich.

Wyraz ten nie uszedł przenikliwych oczów hrabiego, i z nieufnością wziął papier do ręki. Był to papier stemplowy zapisany tem jednostajnem wielkiem

pismem,jakiem odznaczają się zwykle wszyskie akta sądowe. Ale zaledwie czytać zaczął, twarz jego blada pobladła bardziej jeszcze, zerwał się z miejsca, i padł znów na fotel jak rażony gromem. Amelja rzuciła się ku niemu, Wilhelm stanął wryty i uciął w pół taktu nuconą piosnkę, hrabina nawet powstała z kanapy zgorszona i niespokojna. Hrabia wodził przestraszonym, zdziczałym wzrokiem po nich wszystkich, aż oczy jego padły na Amelję, która jedna zdawała się rozumieć przyczynę tego niepojętego wrażenia. Odepchnął ją machinalnym ruchem wstrętu, siląc się wymówić słowa co konały mu w piersi. Ale niepotrzebował wypowiadać myśli swojej. Amelja snać poczuwała się do jakiejś winy, bo blada śmiertelnie wsparła się o ścianę. I ona także nie zdolna była postąpić kroku dalej, ani wyrzec słowa.

Nastało milczenie straszne. Hrabia trzymał ciągle w ręku papier stemplowy, a ręce jego drżały jakby w febrze.

— Ojcze—zawołał w końcu przerażony Wilhelm, rozumiejąc że stało się coś co i jemu zagrażać mogło—ojcze, co tobie?

Na to pytanie w którem drgał niepokój tylko ale nie współczucie, hrabia podniósł szklanny wzrok na syna.

— Stało się—wyrzekł głucho—on dopomina się praw swoich.

Słowa te padły gromem na obecnych; tylko hrabina ze spokojem niewinności siadła napowrót na kanapie, wzruszając ramionami z wyrazem najwyższej pogardy dla szaleńca, który to śmiał uczynić.

Wszyscy milczeli przez chwilę.

— Ależ ojcze—zawołał w końcu Wilhelm—prawa jego są urojone, mówiłeś to tyle razy; niepodobna by on się mógł upominać o dziedzictwo stryja mego—byłby to dawno uczynił. Ojcze! powtórz, że to być nie może.

Ale na to pytanie syna dobitne, naglące, hrabia odpowiedzieć nie mógł; tylko głowę zwiesił na piersi, jak człowiek pokonany.

— Powtórz,że to być nie może—nalegał Wilhelm coraz natarczywiej, bo trwoga i rozpacz i jego także ogarniać zaczynała.

Ale w tej chwili Amelja zbliżyła się do brata, i kładąc rękę na jego ramieniu, szepnęła wskazując na ojca.

— Nie męcz go daremnie, czyż nie widzisz że on tego powtórzyć nie może?

Jakkolwiek cicho wymówione były te słowa, hrabia dosłyszał je, i podniósł piorunujący wzrok na córkę; a jednak żadnej groźby ni przekleństwa wymówić nie śmiał, tylko wpatrywał się w syna przez chwilę z rodzajem żalu, jakby szukał na tej pięknej twarzy, w tych regularnych rysach, śladu innego

uczucia niż duma i nienawiść. Szukał daremnie; oczy Wilhelma gorzały gniewem tylko.

— Ojcze—wyrzekł z rodzajem wymówki—jak mogłeś być tak nieroztropnym, by go zostawić w możności szkodzenia!

Te gorzkie słowa były w loice wypadków i charakterów. Syn niezręcznego oszusta wymawiał mu przepaść w którą go pociągał za sobą. Kose źrenice hrabiego zamigotały.

— Zapytaj siostry—odparł głosem, w którym wściekłość mieszała się z szyderstwem—zapytaj siostry zkąd i jakim sposobem dostarczyła mu dowodów przeciw własnej rodzinie, dla czego chce hańbą okryć dom ojca.

Na te słowa męża, hrabina, która dotąd nic a nic nie rozumiała o co chodzi, uczuła się w obowiązku coś dodać; tem bardziej że córkę uważała jako swoją wyłączną własność, i sobie jednej przyznawała prawo strofowania jej i prowadzenia.

— Amélie, est-ce possible?—wtrąciła wznosząc swoim zwyczajem z pobożnem oburzeniem oczy w sufit.

Ale w tej chwili moralnego kryzysu, słowa hrabiny przeszły niepostrzeżone. Jak zwykle w podobnych razach, istoty nie będące na wysokości położenia, odsunięte bywają na bok, chociażby najmocniej były interesowane w toczących się kwestjach. Los całej rodziny rozstrzygał się tutaj, a żona i ma-

tka nie przypuszczona do zaufania męża, nie znająca działań ni uczuć jego, nie pojmująca własnych dzieci, była temu obcą zupełnie. Nikt nie zadał sobie nawet pracy wytłumaczyć jej straszną rzeczywistość, bo zresztą na cóżby się to przydało? Złe było spełnione, a następstw jego nikt już nie mógł zażegnać ani odwrócić. Teraz syn obwiniał ojca, ojciec córkę; ale córka, przywykła schylać głowę przed wolą jego, nie ulękła się gniewu.

— Ja nie dostarczyłam mu żadnych dowodów— wyrzekła;—a gdybym i mogła to uczynić, on nie przyjąłby ich odemnie.

Amelja, przywykła sama do niesprawiedliwości, nie mogła jej znieść skoro chodziło o Kiljana. Przecież korrespondencja jego rodziców nie znaczyła nic w obliczu prawa, on sam jej to powiedział. Ale ta dumna odpowiedź nie zwróciła nawet uwagi ojca.

— A więc z kądże je ma, z kąd ma?—wołał hrabia zapominając się w widocznej rozpaczy.

— Czemuż ich nie zniszczyłeś—wybuchnął Wilhelm.

W tej stanowczej chwili, ludzie ci odkrywali się zupełnie z moralnym bezwstydem, wypowiadali do czego byli zdolni. Ojciec mógł się był zwierzyć synowi bezpiecznie; stali oni na równi, nie mieli sobie nic do wymówienia prócz niezręczności lub wypadku, który zniweczył tak mądrze wykonane plany.

— Nawet oryginały tych aktów nie istnieją już dzisiaj. Po spaleniu się katedry w Valparaiso byłem zupełnie spokojny—mówił Hrabia, niby usprawiedliwiając się przed synem.

Gdyby Amelja miała jakąbądź wątpliwość co do faktów towarzyszących śmierci hrabiego Juljusza, rozproszyłyby ją te słowa. Ona już oddawna osądziła ojca; a jednak nie mogła znieść obojętnie potwierdzenia najohydniejszych domysłów swoich.

Łzy gorące rzuciły się z jej oczów.

Feliks Horecki uwierzył jej na słowo, gdy się zaparła współudziału w sprawie Kiljana. Znał ją, wiedział że byłaby zdolną bryzgnąć w oczy jemu i bratu swą zemstą, i w tej chwili widok jej był mu nieznośny. Dał jej znak by się oddaliła. Hrabina dla której to wszystko było zagadką, i która czuła arystokratyczny wstręt do wszystkiego co zatrącało interesami materjalnemi, powstała także i wyszła za nią, nie bardzo siląc się dowiedzieć o co chodziło.

Ojciec i syn znalazłszy się sami, odetchnęli swobodniej. Wilhelm zbliżył się i stanął przed ojcem.

— To być nie może—zawołał—by on zniszczył od razu mienie i dobrą sławę naszego domu; przecież wszystko jeszcze straconem nie jest.

Hrabia zakrył twarz rękami.

— Wszystko stracone—wyrzekł urywanym głosem;—znam go, on nie wystąpił do walki bez dowodów.

— Zkądże je mieć może—pytał Wilhelm, który z energją rozpaczy bronił się od tego przekorania do ostatka—skoro oryginały i kopje przepadły? Bo wszakżeż zniszczyłeś je ojcze?—pytał wpatrując się z trwogą i wyrzutem w pobladłą twarz jego.

— Zniszczyłem je—odparł głucho zapytany—duplikaty gdzieś istnieć musiały.

— Przekleństwo!—wycedził Wilhelm przez zaciśnięte zęby—trzeba było dom wywrócić a wyszukać je koniecznie.

— Czyż wiedziałem o nich!

— Czemuż mnie nie powierzyłeś tej całej sprawy ojcze! ja nie byłbym pozwolił na to co się stało.

Na te słowa stary hrabia spojrzał na syna z nieujętym wyrazem pogardy i szyderstwa. W tej chwili nie szukał w nim współczucia ani pociechy, nie rachował na pomoc żadną z jego strony; ale chociaż pokonany, czuł wyższość swoją nad tym butnym szermierzem, który nie doznawszy nigdy żadnej trudności, o niczem nie wątpił. I szybko myśl jego przebiegła wątek wypadków. On także szukał w czem się przerachował, w czem uchybił, skoro gmach pracy całego życia runął mu nagle pod nogi. I wówczas stanął mu w pamięci exkamerdyner brata, ostatnia scena jaką z nim przechodził, i od któ-

rej nie słyszał więcej ani o nim ani o jego córce. Czy według umowy odpłynął on do Ameryki? co się z nim dalej stało? czy pochłonęły go fale morskie? czy też on z ukrycia uzbroił rękę Kiljana?

Hrabia przypomniał sobie jego zuchwałe mowy i skrywane pogróżki; on jeden wiedział zawiele, on jeden mógł przemówić. A usta rozwiązał mu postępek tego syna, który teraz zwracał się przeciwko ojcu, i śmiał mu wyrzucać wykrycie długoletniej grabieży. Teraz on z kolei przemówił do Wilhelma głosem, w którym pomimo okropność położenia, dźwięczała ironja.

— Ty coś taki przewidujący, czemuż nie obrachowałeś jakie mogą być skutki lekkomyślności twojej? czyż brak ci było ładnych dziewcząt w Warszawie, żeś nie mógł zostawić w pokoju córki kamerdynera twego stryja?

— Jakto!—zawołał Wilhelm uderzając się w czoło—ten nędznik śmiałby....

— Ten nędznik był od młodości w usługach brata mego. Czyż nie wiedziałeś o tem?

— On wiedział wszystko?

— Wszystko. Dotąd okupywałem jego milczenie i byłbym okupił je zawsze; ty, ty sam przeważyłeś szalę losu przeciwko nam. Ten człowiek kochał swoją córkę.

Wilhelm stał chwilę w miejscu z głową spuszczoną; czoło jego krajało się w fałdy,a oczy zachodziły

krwią i przybierały ostry wyraz uwydatniający podobieństwo jego z ptakiem drapieżnym.

— Ten człowiek nie ujdzie mi—szepnął przez zaciśnięte zęby.

Hrabia wzruszył ramionami.

— To byłaby świetna sprawa—wyrzekł szyderczo—nowy skandal dodany do skandalicznego procesu, nowy dowód przeciwko nam. Zresztą ten człowiek zrobił już wszystko złe będące w jego mocy; dziś jest rozbrojony.

— Więc mamyż czekać bezczynnie aż nas obedrą z całego majątku—zawołał Wilhelm z tą naiwnością cechującą czasem łotrów pewnego świata, którym zdaje się, że mają święte prawo grabieży i zaboru nad wszystkiem czego zapragną.

— Milczenie bezczynnością nie jest—odparł z namysłem ojciec; niewczesnym wybuchem nie pogorszaj naszej sprawy, zostaw ją mnie.

I gdy to mówił, znać było że w umyśle jego przygnębionym narazie niespodziewanym ciosem, snuć się zaczynały nowe plany i zamiary; ale nie uznał za stosowne podzielić ich z synem.

Może też w pierwszej chwili przesadził doniosłość tej sprawy. Czyż miljony które miał w ręku, nie mogły przeważyć szali sprawiedliwości na jego stronę?; przecież wykonawcami każdego prawa są pojedyńcze indywidua, a on wiedział z doświadczenia, że te pojedyńcze indywidua łatwo nakłonić tam

gdzie jest przewaga materjalnej potęgi. Hrabia Feliks pogardzał ludźmi, i miał do tego prawo. Wszakże wszyscy przyjaciele brata jego opuścili Kiljana dla bożka Miljona; a gdyby przez największy z przypadków znalazł się mu na drodze człowiek nieskazitelny, czyż niema tysiącznych sposobów wyminięcia podobnego człowieka, lub odjęcia mu władzy szkodzenia? Hrabia Feliks zaczął spoglądać na sprawę swoją z tego praktycznego punktu widzenia; jednakże uważał za potrzebne naradzić się z biegłym prawnikiem, i nie namyślając się długo posłał po niego. Wkrótce znana nam dobrze postać mecenasa zjawiła się we drzwiach salonu.

Hrabia siedział w tym samym fotelu, przy wygasłym ogniu kominka; przy nim na małym stoliczku stał świecznik sześcioramienny, i rzucał blask swój na twarz jego stroskaną i cyniczną. Pierwsze spojrzenie objaśniło prawnika, który nie mniej od Horeckiego miał wzrok przenikliwy, że zaszło tutaj coś ważnego. Hrabia powitał go lekkiem skinieniem głowy, wskazał mu krzesło naprzeciw siebie, i nie mówiąc słowa, oddał mu pozew trzymany w ręku. Mecenas rozwinął go i z uwagą czytać zaczął, a przez ten czas Feliks patrzył na niego z natężeniem, jak pacjent w twarz doktora, który ma zawyrokować o życiu lub śmierci jego. Ale wyraz tej twarzy nie obiecywał nic pomyślnego; na wstępie zaraz przybrała ona wyraz przykrego zdziwienia.

Prawnik czytał dalej z wzrastającą uwagą,skończył, i nie śpieszył się objawić swoje zdanie—tylko machinalnym ruchem złożył papier, i obracał go w ręku z namysłem. O czem myślał on w tej chwili, trudno było odgadnąć. Czy o swoim kliencie zawikłanym w tak skandaliczną sprawę, czy też o sobie samym, i o tem że nie umiał odgadnąć z której strony słońce zaświeci,i wypuścił z ręki tak świetną sposobność zysku i sławy? Najbieglejszym ludziom zdarza się popełniać podobne niezręczności—to jedno mecenasowi za pociechę służyć mogło. Położył pozew na stole, i spojrzał na hrabiego wzrokiem wcale innym, niż ten którym powitał go na wstępie; uniżony uśmiech znikł zupełnie z ust jego. Byłto symptomat fatalny,dowód że sprawę Horeckich z góry za przegraną uważał.

— I cóż—zapytał w końcu hrabia Feliks, nie mogąc się doczekać zdania mecenasa.

— Nie będę taił, że sprawa ta jest złą bardzo; strona przeciwna ma niezawodnie wszystkie dowody w ręku, a w takim razie...

— Tego nie wiemy jeszcze na pewno.

— Dla mnie nie ulega to żadnej wątpliwości; za rękojmię w tej mierze wystarcza mi samo imię obrońcy synowca pana hrabiego. Jest nim pan W.; on nie podjąłby się sprawy, o której słuszności nie byłby przekonanym.

Ironiczny uśmiech przemknął po wązkich ustach hrabiego.

— Czy przekonanie jego nie mogłoby uledz odmianie—zapytał z przyciskiem, wpatrując się znacząco w oczy mecenasa.

Ale ten wzruszył ramionami.

— Nie znasz go hrabia—odrzekł tylko; jak widzę nie słyszałeś nawet o nim.

— I owszem i owszem; ale zazwyczaj te wszystkie głośne cnoty w rezultacie okazują się najkruchsze.

W obecnem położeniu mecenas uznał za stosowne wziąć ten frazes do serca, jako osobistą obrazę.

— Daruje pan hrabia—wyrzekł zimno—że nie mogę w tym względzie podzielić jego zdania.

Więc już ludzie pozwalali sobie nie iść w takt za myślą hrabiego! Ten drugi symptomat wydał się Horeckiemu bardziej jeszcze znaczącym niż inne; fortuna jego chwiała się wyraźnie.

Chwilę trwało milczenie. Klient i obrońca obrachowywali się wzajemnie. Hrabia myślał nad tem co mu dalej czynić wypada; mecenas przypominał sobie że był przyjacielem ojca Kiljana, że przeciwko synowi przyjaciela występować mu się nie należy. Budziło się w nim delikatne sumienie uczciwego człowieka, który w żadnym razie nie powinien bronić złej sprawy.

— Panie hrabio—wyrzekł po chwili z wymówką prawie—trzeba było koniecznie ułożyć się z synowcem, i nie dopuszczać tego gorszącego procesu.

Wyrażenie było silne. Horecki niecierpliwie poruszył się w fotelu.

— Wszakże pan sam czyniłeś mu propozycje w tym względzie.

— Warunki jakie mu hrabia podawałeś były za twarde, trzeba to przyznać; odrzucił je z dumą człowieka pewnego że posiędzie wszystko.

Te słowa zabrzmiały przykro w uchu hrabiego.

— Zapominasz pan, żem ja sam nie miał pojęcia o istnieniu dowodów jego urodzenia, a tem samem nie mogłem uważać go za należącego do rodziny mojej.

Probował on w ten sposób utrzymać jako tako rolę swoją do końca. Ale spotkawszy wzrok mecenasa, umilkł, czując że wymowa jego była zupełnie daremną.

— Jednak za życia hrabiego Juljusza nie powątpiewałeś pan o tem nigdy—pochwycił prawnik złośliwie, mszcząc się tym sposobem za wszystkie podłostki jakie kiedykolwiek dla niego popełnił.

Rumieniec gniewu przemknął po licu hrabiego; ale obrazę swoją połknąć musiał, bo mecenas był mu potrzebnym, a w czasie długiego życia Feliks Horecki nauczył się nie gniewać nigdy na ludzi, którzy mu się przydać mogli.

— Więc pan uważasz—wyrzekł po chwili cofając daleko rozmowę—że niczem nie można sobie zjednać obrońcy strony przeciwnej?

— Niczem na świecie panie hrabio.

— Nawet największą ofiarą—wycedził Horecki wpijając oczy w twarz prawnika.

— Ofiary podobnej nikt nie będzie śmiał mu uczynić nawet.

— Ba—wyrzekł hrabia, z nawyknienia powracając do dawnego cynicznego tonu—wszystko da się powiedzieć; tylko głupiec naraża się na odmowę, i czyni propozycje w sposób obrażający lub nie dający się dwuznacznie wytłumaczyć. Czyż dokumenta na których opiera się ta przeklęta sprawa nie mogą być podrobione? czy nie nadużyto łatwowierności nawet pana W?—bo zdaje mi się że tak nazwałeś pan naszego antagonistę. Czy nie oddanoby jemu samemu przysługi, wyświetlając mu prawdziwy stan rzeczy?

Prawnik wstrząsnął głową.

— To się na nic nie zda—odparł sucho;—przenikliwość jego równa się jego prawości, to dość powiedzieć. Choć młody jeszcze, zdobył on sobie tak wysokie stanowisko, że największe powagi nasze zasięgają rady jego.

Hrabia słuchał tych pochwał z widoczną niecierpliwością. Wiedział aż nadto że na drodze prawnej ruina jego jest nieuniknioną; że jedyną na-

16*

dzieją jaka mu zostawała, było ugodzenie się jakim bądź kosztem z adwokatem Kiljana lub z Kiljanem samym. A tak był zaufanym w zręczność własną czy też w głupotę i podłość ludzką, że ostatecznie jeszcze nie upadał na duchu; a chociaż rozmowa z prawnikiem o wiele zmniejszyć mogła jego nadzieje, przecież uwierzyć jeszcze nie mógł by położenie jego było bez ratunku.

Po pierwszem wrażeniu jakie pozwy Kiljana zrobiły, wszystko w pałacu jego stryja wróciło na pozór do normalnego stanu. Hrabina nie rozumiała nawet że byt ich wszystkich był zagrożony. Amelja spoglądała na toczące się wypadki ze spokojem istoty, która już straciła wszystko i niczego spodziewać się nie może. Tylko hrabia Feliks z Wilhelmem zamieniali ponure spojrzenia. Zwolna też poza sfery sądowe przeciskały się głuche wieści o skandalicznym procesie, wytoczonym jednemu z członków najwyższej arystokracji. Rodzina księżniczki Stefanji odwlekała ślub jej z młodym Horeckim pod błahemi pozorami, kryjącemi rzeczywiste wyczekiwanie, jak obróci się pomiędzy stryjem a synowcem sprawa, którą sądy ujawnić i rozstrzygnąć miały.

Na poddaszu Kiljana nic nie zmieniło się także, i niktby nie odgadł że ci ludzie pracujący na chleb powszedni, toczyli sprawę o miljonowy spadek; mąż i żona mało nawet mówili o nim, i nie czuli się

w prawie żyć na rachunek przyszłości. Zresztą ten wielki majątek mógł przynieść im materjalny spokój, ale nie mógł powiększyć szczęścia jakie znajdowali jedno w drugiem. Cecylja nawet lękała się tej sprawy, która rozżarzyć miała tyle nienawiści przeciwko Kiljanowi. Ale on nie zważał na to, i szedł niezachwianie drogą swoją, nie bacząc na sądy, potępienie, pochwały, lub zemstę czyją.

W obrońcy swoim znalazł niespodzianie przyjaciela i sprzymierzeńca, co był w słanie go zrozumieć,a sprawę jego prowadził z zaciętością człowieka, któremu udaje się raz zedrzeć maskę z twarzy i życia jednego z tych światowych zbrodniarzy, wymykających się zazwyczaj wszelkiej sprawiedliwości. Adwokat hrabiego miał słuszność, i dobrze osądził swego przeciwnika; nie było z nim najmniejszej szansy przekupstwa lub podejścia. Hrabia zrozumiał to szybko, bo jakkolwiek pogardzał ludźmi, miał nadto doświadczenia by nie wiedzieć, że niema reguły bez wyjątku. Stosownie do tego zmienił wszystkie plany.

Bądź jak bądź, on procesu i sądu dopuścić nie mógł; trzeba było koniecznie pojednać się z synowcem, chociażby nawet cały majątek oddać mu przyszło. Nienawidził go wprawdzie całą duszą, jak zwykle nienawidzi się tych którym się krzywdę wyrządziło; ale był zanadto przebiegłym, by rządzić się w sprawach interesowych podobnemi na-

miętnościami. Trzymał się całe życie maksymy, że gdzie nie można przeskoczyć tam podleźć należy— i na tej zasadzie począł przypominać sobie charakter człowieka z którym miał do czynienia. Kiljan był wprawdzie gwałtownym i samowolnym, jak rozpieszczony jedynak; ale też posiadał szlachetność rycerską, i więcej niż każdy inny zdolnym był iść za popędem sercowym, czyli popełnić to, co w języku hrabiego nazywało się szaleństwem. Rzeczywiście Kiljan był takim przed laty. Ale w obrachunku swoim Feliks Horecki zapominał o ubiegłym czasie, zapominał że ten czas próby zmienić musiał z gruntu człowieka który go przetrwał. Zapominał lub też nie chciał o tem pamiętać; bo teraz gdy stracił nadzieję zagodzenia sprawy z obrońcą jego, Kiljan sam był jego jedyną ucieczką. Postanowił widzieć się z nim koniecznie, chociaż rzecz ta łatwą nie była. Nie mógł go wezwać do siebie, bo jakkolwiek czelnym i zuchwałym był magnatem, czuł jednak dobrze iż Kiljan nie przestąpi progu tego pałacu z którego został wydziedziczony, chyba gdy napowrót stanie się panem jego. Udawał się z propozycyą osobistego porozumienia do pana W., ale ten w imieniu swego klienta odrzucił ją stanowczo. Pozostawał więc jeden tylko środek, szukania synowca w jego własnem mieszkaniu— a położenie tak było groźne, iż nie zważając na przyjęcie jakiego doznać może, hrabia zdecydował się

na ten krok stanowczy, rachując trochę na niespodziane wrażenie, na swoją zręczność, a nadewszystko na wspaniałomyślność przeciwnika. I upewniwszy się wprzódy o jego obecności, udał się incognito dorożką na Sto Jańską ulicę.

Pierwszyto raz od lat wielu wykwintny starzec znajdował się w tej smutnej dzielnicy miasta; dla tego nie bez pewnego wahania się zapuścił się w ciemny korytarz, wiodący na dziedziniec, w tej chwili zawalony w pół roztopionym śniegiem. Wiedział jednak dokładnie gdzie miał szukać synowca, bo bez żadnych zapytań wyminął stróża, i spojrzawszy na wysoki balkonik skierował się w tę stronę. Wchodząc w drzwi sieni spotkał się z Cecylją. Młoda, szła szybko, uśmiechniona, pogodna, z koszykiem na ręku, widocznie za jakiemś kupnem. Nie zwróciła nawet uwagi na hrabiego, który ustąpił jej z drogi; ale on poznał ją dobrze, i oglądał się za nią z nieopisanym wyrazem.

Opierając się na lasce, z trudnością szedł tak prędko jak mu tego dozwalała podagra, po stromych i wązkich wschodach. Za każdem przebytem piętrem opuszczała go odwaga. Poczuł zapewne w głębi ducha, że człowiek co z jego powodu, zamiast wytwornych apartamentów zamieszkiwał lat tyle poddasza, którego żona w miejsce rozkazywania licznym sługom musiała sama chodzić

z koszykiem na miasto, nie będzie mógł mu tego przebaczyć nigdy. Doszedłszy już do drzwi samych, zatrzymał się; potrzebował odetchnąć i pokonać mimowolną trwogę, która napastowała go pierwszy raz w życiu. Myśl, że i on, hrabia Horecki, może być przyprowadzonym do podobnej nędzy, zmusiła go do próbowania ostatniej deski ocalenia. Chwycił się jej z rozpaczną nadzieją.

Zastukał do drzwi—nie były zamknięte. Otworzył je i spojrzał po izdebce ciekawem, niepewnem okiem. Kiljan był sam jeden, odwrócony; z czołem wspartem na ręku, pisał coś szybko przy oknie. Słysząc kroki odwrócił niedbale głowę. Na widok przybyłego zerwał się z miejsca, odpychając krzesło na którem siedział nerwowym, gwałtownym ruchem; twarz jego pobladła, a dłoń leżąca na poręczy, drżała jakby w febrze i ściskała ją konwulsyjnie.

Hrabia także nie ruszył się z miejsca, i wsparty obiema rękami na lasce, przyglądał się człowiekowi którego tak strasznie pokrzywdził, a od którego dzisiaj zależał byt jego, hańba lub dobra sława.

Od dnia w którym Kiljan opuścił z groźbą na ustach pałac Horeckich, stryj i synowiec nie widzieli się wcale. Wówczas jeden z nich był dzieckiem nieledwie, a drugi w pełni męzkiego wieku. Teraz dziecko stało się człowiekiem, a mężczyzna tak pochylił się ku starości, jak gdy-

by ten ostatni lat dziesiątek mógł mu podwójnie być rachowanym. Obadwaj mierzyli się wzrokiem przez chwilę; hrabia pytał sam siebie, czego spodziewać się może—Kiljan, jakiem czołem on się tu wejść odważył. Ale pierwsze wejrzenie na tę wysoką, przygarbioną postać, na tę twarz pooraną bruzdami podłych namiętności, było mu odpowiedzią; zrozumiał myśli i nadzieje które tu sprowadziły jego przeciwnika, i szybko uspokoił pierwsze wrażenie. Twarz jego zmieniona przed chwilą, przybrała znowu najniezrozumialszy dla mętnych duchów wyraz spokoju.

Pomiędzy tymi ludźmi rozmowa trudną była do rozpoczęcia. Kiljan rozpocząć jej nie chciał; on ostatnie słowo swoje powiedział stryjowi przed laty, a dziś mniej niż kiedykolwiek mógł je odmienić. Stał na miejscu nieporuszony, chłodny jak marmur, zostawiając hrabiemu całą trudność położenia. Ale jak zręczny aktor na deskach teatralnych nigdy nie zatnie się w swojej roli, tak hrabia otrząsnął się szybko z doznanego wrażenia. A chociaż postać synowca odbierała mu zwykłą cyniczną śmiałość, nie dał tego poznać po sobie, i postąpił naprzód.

— Kiljanie—wyrzekł, a głos jego drgał niby stłumiony wzruszeniem; właściwie jednak nie odzyskał jeszcze tchu po przebytych czterech piętrach.

Po tem słowie czekał czas jakiś; ale nie odbierając żadnej odpowiedzi, zmuszonym był powtórzyć „Kiljanie,“ teraz już z prawdziwą, nieokreśloną obawą.

Młody człowiek stał w obec hrabiego, bez głosu i ruchu, blady oburzeniem, jak posąg na straży domu swojego.

— Kiljanie—wyrzekł po trzeci raz Feliks Horecki rzeczywiście drżącym głosem, — nie chciałeś zobaczyć się ze mną, musiałem cię aż tutaj szukać.

Kiljan próbował uśmiechnąć się, ale nie mógł; rysy jego zachowały sztywną surowość. Cierpiał prawdziwie, raził go widok tej bezczelnej nikczemności. Stryj był mu równie wstrętnym, jak mowa jego fałszywa. Widocznie chciał on wspominać przeszłość, której Kiljan tykać nie miał ochoty; hrabia Feliks samą obecnością swoją wyzywał na usta synowca gorzkie prawdy, których ten nie mógł wymawiać obojętnie, dlatego odparł zwolna.

— Widzenie się to jest zupełnie daremne; słowa stały się próżnemi odkąd przemawiają fakta. Słowa zmienić ich nie potrafią.

— Czemuż poznałem je tak późno — pochwycił hrabia niezrażony lodowatem obejściem się Kiljana; czemuż nie udałeś się wprost do mnie? Gdybym był wiedział że jesteś rzeczywiście prawym synem brata mojego...

Te słowa przyprowadziły młodego człowieka do ostateczności.

— Ani ty panie hrabio, ani ja — wyrzekł szorstko — nie mieliśmy nigdy pod tym względem żadnej wątpliwości.

Ta stanowcza odpowiedź powinna była odebrać wszelką nadzieję hrabiemu. Spuścił też głowę, jednak nie dał wcale jeszcze sprawy za wygraną. Co prawda, spodziewał się podobnego przyjęcia, spodziewał się nawet gwałtowniejszych wybuchów, i był na nie przygotowanym; dlatego odparł łagodnie.

— Nie dziwię się słowom twoim; potępiłeś mnie, nieszczęście uczyniło cię gorzkim; każdy na twojem miejscu postąpiłby tak samo.

Kiljan milczał. Polemika z tym człowiekiem którego na wskroś przenikał, zdawała mu się ubliżeniem samemu sobie.

Ta pogardliwa taktyka nie podobała się hrabiemu; wolałby był wybuch. W szermierce słów nie lękał się żadnego przeciwnika. Zrozumiał więc, że jeśli chce być słuchanym, inaczej mówić mu wypada.

— Wyrządziłem ci tak ciężką krzywdę — wyrzekł niby z pokorą człowieka poznającego własną winę — iż nie mam prawa narzekać na gorycz twoją. Potępiasz mnie bezwarunkowo — niech i tak będzie. Ale jakikolwiek jest sąd twój o mnie,

nie możesz odmówić mi kilku chwil rozmowy; bo chociaż występujesz przeciwko mnie, są jednak rzeczy, które mimo woli i chęci twojej wspólnemi być nam nie przestaną.

Mówiąc to zmienił zupełnie postawę i wyraz twarzy. Podobnym był do człowieka zrezygnowanego na sąd fałszywy, o ile zręczny łotr do niewinnego podobnym być może.

— Odrzucam z góry wszelką wspólność pomiędzy nami—odparł dumnie Kiljan; ale mów pan, mów prędzej, jestem cierpliwy, słucham.

— Wspólnego nazwiska odrzucić nie możesz; bądź jak bądź jesteś synowcem moim.

— Odkądże to uznajesz panie hrabio? Wszakże sąd jeszcze nie wydał wyroku w tym względzie; poczekaj aż on zapadnie.

Feliks zacisnął zęby. Zimna ironja, była to broń której najbardziej się lękał, bo sam jej używał i znał całą jej doniosłość.

— Niepotrzebny dla mnie wyrok żaden, skoro dowody urodzenia twego się znalazły — wyrzekł spokojnie;—dla czegóż nie udałeś się z niemi wprost do mnie?

— Do ciebie, panie hrabio! a to na co?— spytał Kiljan. Słowa te były szydercze, ale głos i wyraz twarzy nadawał im dziwną powagę.

— Abym ci oddał majątek ojcowski — odparł z godnością hrabia, — jak to dzisiaj gotów je-

stem uczynić, i uznał błąd mój, jak to dzisiaj czynię.

— Uznajesz go zapóźno lub zawcześnie panie hrabio; powtarzam ci, sąd jeszcze nie zawyrokował pomiędzy nami, a ja nie przyjmę z ręki twojej nawet sprawiedliwości, bo wydałaby mi się ona zbrudzoną.

— Stanę sam przed sądem jeśli trzeba będzie, i powtórzę to samo com wyrzekł przed chwilą. Myliłem się; dziś poznaję błąd mój, i chcę go naprawić.

— Są rzeczy niepowrotne, zapominasz pan o tem.

— Powiem — ciągnął dalej hrabia nie zważając na wyrazy wtrącone przez Kiljana — powiem, że nazwisko jakie noszę wkładało na mnie obowiązki, które spełnić musiałem, których uchylić nie było w mocy mojej. I dlatego nie mogłem pozwolić, by majątek brata wraz z nazwiskiem Horeckich przeszedł w niepewne ręce, i dla tego dzisiaj oddaję go cały bez sporu, prawemu synowi jego.

Kiljan słuchał tej całej tyrady z pozorną obojętnością. Ze strony tego człowieka nic go już zadziwić ani oburzyć nie mogło.

— A więc uczyń tak panie hrabio—odparł chłodno;—to nie zmieni na jedną linję postępowania mego ani przekonań moich.

— Jakto? więc chcesz koniecznie udać się do sądów, gdy pomiędzy sobą zgodzić się możemy.

— Pomiędzy nami nie może być zgody żadnej.

— Nawet kiedy oddaję bez sporu majątek cały?

— Nawet gdybyś mi dawał sto razy więcej.

— I upierasz się koniecznie szarzać po sądach nazwisko, które nosimy obadwaj, wywołując na jaw nasze domowe sprawy?

— Nazwisko to sam zhańbiłeś czynami swemi panie hrabio; ja nie uznaję pomiędzy nami żadnej solidarności. Pewno nikt nie pomiesza wielkiego pana z rzemieślnikiem, ani wydziercy z pokrzywdzonym.

— Świat uznać musi słuszność pobudek moich, skoro zrzeknę się bez sporu całego majątku; zrozumie, że na stanowisku jakie zajmowałem, inaczej postępować nie mogłem.

— Świat!—powtórzył Kiljan, nie mogąc powstrzymać litośnego uśmiechu—zapominasz panie hrabio, że on jest bez miłosierdzia dla wszystkich upadłych, i zawsze trzyma ze zwycięzcami; zapominasz także, iż sądy jego dawno obchodzić mnie przestały, bo on wymazał mnie z rzędu żyjących.

Feliks Horecki daremnie szukał słabej strony, z którejby mógł zajść tego człowieka zahartowanego sieroctwem, nieszczęściem; taktyka jego okazała się dotąd zupełnie bezskuteczną.

— Ale cóż zyskasz—zawołał w końcu—na rozgłosie nadanym tak smutnie nazwisku Horeckich?

— Co?—zapytał Kiljan,postępując krok naprzód i mierząc stryja gorejącemi oczami;—jakto? dotąd nie zrozumiałeś mnie panie hrabio? Chcę zedrzeć jawnie maskę obłudy, którą przywdziałeś; bo występuję w imieniu prawdy przeciwko zbrodni, w imieniu wszystkich pokrzywdzonych i uciskanych przeciw krzywdzicielom. Nie chodzi mi o same miljony, które przywłaszczyłeś sobie, a które w ręku twojem stały się narzędziem zguby i zepsucia; ja chcę, by siwa głowa twoja schyliła się pod brzemieniem pogardy na którą zasłużyłeś, by czoło twoje bezwstydne poczuło piętno hańby! I dla tego wyjawię czyny twoje, dowiodę żeś nie wątpił na chwilę o prawach moich, postawię ci na oczy wspólnika zbrodni, którego milczenie okupywałeś złotem! a uczynię to nie przez nienawiść i zemstę żadną, ale bez uniesienia,bez gniewu, w imię tego najwyższego słowa na ziemi i niebie, które obowiązuje Boga samego—w imię Sprawiedliwości.

I gdy to mówił, głos jego metaliczny, tłumiony dotąd wewnętrznym płomieniem, rozbrzmiewał w uszach hrabiego jak trąba archanioła oznajmująca sąd ostateczny. Teraz zrozumiał co czas i nieszczęście zrobiło z tego człowieka, którego pamiętał rozpieszczonem dzieckiem; pojął, że wszystkie usiłowania jego daremnemi były, a zguba jego nieu-

chronną. Miał do czynienia z ideą wcieloną, z zimnem przekonaniem.

— Kiljanie—zawołał drżącym głosem zapominając wszystkich ról przybranych i kryjąc twarz w dłonie, jak gdyby już czuł spełnioną groźbę jego, —przez litość, pamiętaj że jestem bratem ojca twego!

— Pamiętam o tem—mówił Kiljan; pamiętam aż nadto, że obsypany dobrodziejstwami jego, zaszczycony ufnością, odwdzięczyłeś się odbierając wszystko mnie ukochanemu od niego, skazując mnie na sieroctwo, nędzę i opuszczenie. Jeżeli nie skonałem z nędzy, jeżeli nie poszedłem na zgubne drogi, nie twoja to zasługa. Ty sam zabiłeś we mnie wszystkie uczucia do których odwoływałeś się po kolei; ty odrzuciłeś pierwszy solidarność między nami, wypierając się pokrewieństwa, którego ja dzisiaj uznać nie chcę; ty zmusiłeś mnie do pogardzenia światem, który ciebie czcił i szanował. Odepchnięty od wszystkich, zmuszony byłem szukać dźwigni w głębi samego siebie, i sąd mego sumienia postawiłem po nad wszystkie prawa i sądy ludzkie. Jednak o przyszłość swoją możesz być spokojnym panie hrabio; kieruje mną przekonanie, ale nie zemsta żadna. Skoro odbiorę prawnie majątek ojca mego, nie ścierpię byś popadł w niedostatek. Oto ostatnie słowo moje, nic go zmienić nie zdoła. Zda-

je mi się, że dla nas obydwóch rozmowa ta trwa za długo.

Rzeczywiście, mogła się ona przeciągnąć w nieskończoność bez zmiany żadnej. Hrabia to zrozumiał; a gdy powrócił do tego pałacu który wkrótce miał przestać do niego należeć, zdawał się przygarbionym więcej o jeden lat dziesiątek. Z widoczną niecierpliwością minął szereg służby, i wszedłszy do swego gabinetu padł półmartwy na krzesło. Po raz pierwszy przyszłość ukazała mu się w strasznych kolorach; po raz pierwszy zwątpił o sobie, i z rozpaczą w labiryncie swego losu począł szukać jakiej zbawczej nici. Ale na próżno! ostatnią nadzieję rozwiała postawa Kiljana. Teraz widział się w myśli odarty ze wszystkich rozkoszy życia, rzucony na pastwę hańby; dźwięczały już w koło niego śmiechy szyderstwa i pogardy.

Te smutne rozmyślania przerwało wejście Wilhelma. Od dnia odebranego pozwu ojciec z synem nie mówili o nim wcale; owszem, starali się w rzadkich rozmowach nie dotykać przedmiotu, który jedynie zaprzątał ich myśli. Obadwaj knuli w ciszy zamiary i plany wręcz przeciwne, a przecież spotykające się u jednego celu. Ale ojciec nie zwierzał się synowi, syn ojcu. Teraz jednak położenie było tak groźne, że Wilhelm ze zwykłą gwałtownością swoją przystąpił wprost do rzeczy.

— Czy ojciec wie—zapytał, nie zważając wcale na przygnębioną postawę hrabiego Feliksa—że sprawa nasza w tych dniach ma być sądzoną.

— Wiem o tem—odparł głucho zagadniony.

— I cóż to będzie? co będzie?—pytał syn, przebiegając pokój gorączkowym krokiem.

Ale nie odbierając odpowiedzi, zatrzymał się nagle przed fotelem w którym hrabia siedział nieruchomy, jakby przybity gromem nieszczęścia.

— I jakąż ojciec ma nadzieję?—zapytał znowu.

— Sprawa nasza jest przegraną z góry—wyrzekł stary Horecki, ze zniechęceniem człowieka zawiedzionego w ostatnich nadziejach.

— Jakto, jakto!—wykrzyknął Wilhelm załamując ręce gwałtownie i do krwi gryząc wargi—czyż można mówić to tak spokojnie, tak chłodno, i nic nie przedsiębrać!

Starzec spojrzał na syna z dziwnym wyrazem. Pomimo okropności położenia, na jego cynicznej twarzy ponad rozpaczą zagórowało szyderstwo, które stało mu się drugą naturą. Ale zanim je wypowiedział, skonało mu na ustach.

— Tu niema już nic do przedsiębrania—odparł —położenie nasze jest bez ratunku.

— I ojciec oczekujesz na to co ma się spełnić, z założonemi rękami—zawołał młody człowiek z wybuchem—aż wreszcie on... Nie, nigdy!... o tem nawet pomyśleć nie mogę!

Mowa jego była urywaną, gwałtowną; twarz czerwieniła się i bladła.

— I cóż ztąd? pomimo myśli naszych fakta się spełnią—szepnął ponuro hrabia.

— Nie! przysięgam! nie spełnią się, nie spełnią nigdy—wyrzekł Wilhelm.

Ojciec wzruszył ramionami ze spokojną pogardą. To doprowadziło syna do ostateczności; potrzebował wściekłość swą wywrzeć na kimś.

— On zapomniał jak widzę—zawołał—że ja żyję i że go nienawidzę; on sądzi że ma tylko do czynienia jak dotąd z niedołężnym starcem.

Hrabia był zabitym moralnie. Przed chwilą zdawało się, że ten człowiek wychylił już do dna czarę upokorzenia i rozpaczy, że nic go już dotknąć nie zdoła; a jednak na tę obelgę rzuconą przez syna, twarz jego z bladej przybrała trupią barwę. Zerwał się z miejsca, i jakby opanowany uczuciem własnej niemocy, opadł znów na krzesło.

— Masz słuszność —szepnął—przestało mi się powodzić. Ale syn nie słuchał go, i może nie był w stanie zrozumieć boleści dźwięczącej pod gorzką ironją tego słowa.

— Trzeba było—mówił dalej Wilhelm—oddawna chwycić się stanowczych środków, nie dozwolić rozpoczęcia tego procesu, który aż nadto już ma rozgłosu. Czyż nie powtarzałem tego ciągle, co

chwila? gdybym był przynajmniej wiedział jak rzeczy stoją na prawdę!

— To i cóż byłbyś uczynił?—zapytał stary hrabia, czepiając się w ostateczności nawet pomysłów syna.

Wilhelm zatrzymał się naprzeciw ojca.

— Byłbym raz na zawsze pozbawił go możności szkodzenia!—wyrzekł cicho, dobitnie, a oczy jego zabłysły złowrogo, uwydatniając podobieństwo do drapieżnego ptaka, które w danych chwilach przebijało się w jego rysach, i dodał ciszej jeszcze—jak to dzisiaj uczynić muszę.

Hrabia Feliks wzruszył ramionami. Nie przeraziła go myśl syna aż nadto jawna dla niego, ale bezskuteczność tego środka.

— Czy sądzisz?—zapytał nadając niektórym wyrazom przycisk szczególny—czy sądzisz, że gdyby Kiljanowi wydarzyło się jakie nieszczęście, nie oskarżonoby nas o nie? Wszak my jedni skorzystalibyśmy z podobnego wypadku.

— Wiem o tem, a jednak pozostaje nam tylko ta ostateczność. Trzeba bronić się przed doraźnem niebezpieczeństwem. Dzisiaj niema już wyboru, dzięki twojej zbytniej przezorności.

— Więc myślisz żem nie probował i tego nawet —wyrzekł starzec, niby usprawiedliwiając się tem przed synem,iż nie zaniedbał żadnej zbrodni.

Wilhelm patrzył na niego przez chwilę pytającem okiem...

— Rozumiem—wyrzekł nderzając się w czoło— ten pożar.

Snać syn i ojciec jednako śledzili wroga swego, i nie zmawiając się, spotykali się w jednakich zamiarach.

— Tak, ten pożar—powtórzył hrabia Feliks znacząco; wszystko było ułożone... Teraz gotów jestem pomyśleć, że tym człowiekiem opiekuje się opatrzność.

— Doprawdy tego tylko brakowało—zawołał Wilhelm szyderczo—widzę że niedługo ojciec będzie jak stara kobieta wierzył w prognostyki! Ale te wszystkie zgrzybiałe pojęcia nie zatrzymają moich działań; trzeba mi było oddawna wziąć kierunek całej tej sprawy, i nie spuszczać się na tę zdzieciniałą rękę, która cofa się przed każdą trudnością.

I nie czekając odpowiedzi, nie oglądając się nawet, Wilhelm zapomniawszy w tej chwili starannego wychowania i wykwintnych nawyknień, wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Stary hrabia patrzył za nim przez chwlę szklanemi oczami i westchnął, a to westchnienie starca tak było ciężkie i bolesne, jak jęk konania. Śmiertelna bladość wystąpiła mu na twarz, czoło okrył pot zimny. Chciał powstać— nie mógł, chciał sięgnął po dzwonek—ręka odmó-

wiła mu posłuszeństwa; pierś jego była ścieśniona, wzrok mroczył się i opuszczały go siły. Dzień ten, te dwie ostatnie sceny, wyczerpały w nim resztę życia; czuł się źle bardzo, potrzebował pomocy.

Jakakolwiek była przeszłość tego człowieka, w tej chwili budził on litość; znieważony był przez własnego syna, opuszczony wśród rodziny, sam jeden pomiędzy tłumem służby. Trwoga śmiertelna malowała się w jego oczach. Zbierając sił ostatek powstał, postąpił parę kroków, zatoczył się, i padł twarzą na kobierzec zaścielający gabinet. Głuchy łoskot padającego ciała doszedł do uszów Wilhelma; ale nie zatrzymał się, nie powrócił do ojca.

W parę godzin później dopiero, gdy wybiła obiadowa godzina, znaleziono hrabiego Feliksa bez życia; atak apopleksji uwolnił go od hańby, odpowiedzialności i nędzy.

W rodzinie tej w której każde żyło osobno i dla siebie tylko, ta śmierć nie uczyniła zrazu żadnej próżni. Hrabina jak była nieposzlakowaną żoną, tak okazała się i wdową wzorową; tego można się było spodziewać po kobiecie przestrzegającej tak ściśle wszystkich form obowiązkowych. To też żałoba jej, łzy i żal, były doskonałą miarą tego co być powinno; z właściwą sobie godnością znosiła ten cios okropny, z godną uwielbienia rezygnacją zgadzała się z wyrokami opatrzności—a świat je-

dną więcej szczyptę kadzidła dorzucił do uwielbień swoich.

Dla Wilhelma katastrofa ta wypadła wcale nie w porę. Śmierć nagła w najzwyczajniejszych okolicznościach zwraca powszechną uwagę i wywołuje komentarze, których teraz więcej niż kiedykolwiek rodzina Horeckich powinna była unikać. Zresztą Wilhelm mógł ganić działania ojca, mógł potępiać czyny jego, ale odnosił z nich korzyść doraźną— a sam nie posiadał ni zręczności, ni zimnej krwi, ni przebiegłej rozwagi cechującej działania hrabiego Feliksa. Starzec złamany niespodzianą przeciwnością, opuszczał grę życia w chwili niechybnej przegranej, a cały ciężar odpowiedzialności nagromadzonej latami bezprawia, przygniatał barki Wilhelma. Daremnie usiłował on wmówić w siebie, że za pomocą nowych zbrodni potrafi podźwignąć straszne dziedzictwo przeszłości; jakiś głos wewnętrzny ostrzegał go, że temu podołać nie potrafi. Jednakże tłumiąc burze niepokoju i trwogi,wrzące w myśli swojej, kryjąc ciemne zamiary pod wymuszonym spokojem czoła, hrabia Wilhelm zajął w obec matki i sióstr, w obec pomieszanych domowników, stanowisko głowy rodziny, usiłując stłumić niewzruszonością przybranej postawy złowrogie szmery, podnoszące się coraz groźniej. Imię Kiljana było we wszystkich ustach; słyszał je wszędzie w koło siebie, w szepcie stłumionym lub w otwartem zapytaniu.

Kilka razy nawet do hrabiny Marji doleciały te złowrogie głosy, a ona badała syna o ich znaczenie. Wprawdzie nietrudno mu było uspokoić matkę, bo ona była kobietą zbyt światową, by zrozumieć jaką bądź praktyczną lub prawną kwestję. Majątek Horeckich powinien był należeć do jej dzieci, gdyby nie innem prawem, to przynajmniej prawem nawyknienia i potrzeby; umieli go użyć—gdy tymczasem na cóż się on mógł przydać jakiemuś rzemieślnikowi, którego nikt nie znał, ożenionemu z dawną guwernantką jej córki?

Była to rzecz równie śmieszna jak potworna. Amelja milczała jak sfinx starożytny, stawiając postępowaniem swojem ciężką zagadkę do rozwiązania bratu—chociaż dzisiaj, gdy projekt majoratu upadł ze śmiercią hrabiego Feliksa, nie wątpił że znaleźć w niej musi, jeśli nie wspólniczkę zamiarów, których nie miał powodu wyjawiać, to przynajmniej bezczynnego świadka działań swoich. Amelja teraz równie jak i on sam powinna była powstać przeciw Kiljanowi; wszakże sprawa ich była wspólną, interes jednaki. Jak nad nim samym tak i nad nią ciążyła fatalność; oboje musieli iść dalej drogą zbrodni, wytkniętą przez ojca. Wilhelm nie powątpiewał o tem. A jednak pomiędzy bratem a siostrą nie było zbliżenia żadnego; Amelja zamykała się sama w sobie, na pozór obojętna na wszystko. Milczenie to drażniło Wilhelma. Z nią jedną mógłby

był podzielić się straszną troską, z nią jedną mógłby był mówić na szczere; ale siostra odtrącona dawniej przez niego, dziś zdała się zapominać że on był jej bratem.

To też w koło ich domu tworzyć się zaczęła powoli ta wielka próżnia, jaką zwykle świat otacza tych którym się powodzić przestało, których dotyka jakiebądź nieszczęście, a szczególniej majątkowa katastrofa. Satelity krążące wkoło ognisk zbytku i wystawy, zaczynają sobie pocichu szukać nowych słońc. To też Horeccy coraz bardziej byli osamotnieni. Śmierć hrabiego stała się hasłem rozsypki dla tłumu pasożytów, otaczających ich zwykle, a wizyty żałobne jakie odbierała hrabina, ograniczały się do najściślejszej przyzwoitości. Wszyscy nie wiedząc jak zapełnić godziny oddawane dawniej światowemu życiu, spotykali się w opustoszałym domu, wśród niepokoju ciążącego nad nimi jak atmosfera przedburzna nasycona elektrycznością. Wilhelm szczególniej błąkał się jak opętany po pałacu i ogrodzie, naprózno szukając miejsca gdzieby mu troska choć na chwilę wypocząć dała. Wiosna rozwijała pączki drzew i pierwsze kwiaty wśród trawników, ale on nie zwracał na to uwagi. Cierpienia jego nie były z tych, które widok natury łagodzi i uspakaja; gnany niepokojem wewnętrznym, przebiegał gorączkowym krokiem te ciche cieniste ulice —aż zastał Amelją na ławce marmurowej, ulubio-

nem jej miejscu. Hrabianka siedziała zamyślona; wzrok wlepiła prosto przed siebie, ręce opuściła na kolana, a pomiędzy jej palcami spoczywały nieruchome wielkie agatowe ziarnka różańca. Snać pragnęła się modlić; ale słowa urzędowych pacierzy konały jej na ustach, a myśl nieposłuszna biegła gdzieś daleko w smutną przeszłość, czy w owe mściwe groźne jutro, które świtało dla nich wszyskich.

Wilhelm wpatrywał się w siostrę czas jakiś z nieokreślonym wyrazem gniewu i szyderstwa.

— Modlisz się Ameljo—wyrzekł w końcu—masz słuszność; proś o zgubę nieprzyjaciół naszych, bo nie długo nie będziesz miała miejsca gdziebyś nawet modlić się mogła.

Na ten niespodziany ostry głos Amelja drgnęła i podniosła głowę; ale snać miejsce w którem była, czy wspomnienia jakie ono budziło, usposabiało ją do przebaczenia—bo odparła z łagodnością niezwykłą.

— Na modlitwę tak samo jak i na grób nie wiele miejsca potrzeba; ja nie chcę zguby niczyjej.

Wilhelm spojrzał na nią krogulczym wzrokiem.

— A jednak—wyrzekł—są chwile w których zapytuję sam siebie, czy ty nie pragniesz właśnie mojej zguby, czy nie przyłożyłaś się do niej.

Amelja zniosła wzrok jego spokojnie, i odparła zwolna.

— Był czas gdy miałeś słuszność tak myśleć. Dawniej nienawidziłam cię; dzisiaj to minęło—ty sam cierpisz.

— Cierpię!—powtórzył z goryczą.—Ta przeklęta sprawa, która zabiła ojca naszego, teraz jak spuścizna straszna spadła na mnie.

— Dla tego też cię żałuję; ale ty dobrowolnie przyjąłeś tę spuściznę, a wiesz dobrze że majątek nasz do kogo innego należy.

— Cóż miałem uczynić?—wszakże tu chodzi o nas wszystkich, a nie o mnie tylko.

Siostra spojrzała na niego jakby zapytać chciała, odkąd troszczy się tak bardzo o drugich; ale nie wypowiedziała myśli swojej, tylko wyrzekła.

— Sprawiedliwość jest jedna.

— Oszalałaś z tą sprawiedliwością! na wiele przydadzą się te piękne teorje, gdy prowadzą nas do nędzy.

— Zasłużyliśmy na nią i znieść ją powinniśmy, skoro Kiljan znosił ją lat tyle niezasłużenie.

Słysząc wymówione nienawistne imię, Wilhelm zmarszczył brwi.

— Na honor, ja także szalonym jestem że cię słucham; szczęście że nie w twoich rękach jest kierunek sprawy naszej.

Chciał się oddalić, ale Amelja powstała i zbliżyła się do niego; a było coś tak stanowczego w jej postawie i ruchu, że zatrzymał się mimowolnie.

— Nie znam się na sprawach sądowych—wyrzekła—ale wiem, że teraz po śmierci ojca sama odpowiadam za siebie, i postanowiłam dziś jeszcze zrzec się praw moich do tego nieszczęsnego majątku, którego pochodzenie mi ciąży.

Wilhelm wstrząsnął się od stóp do głowy i pochwycił siostrę za ręce, jakby tym samym ruchem chciał ją powstrzymać.

— Niemożesz tak postąpić!—zawołał gwałtownie—brakowałoby tego tylko do powiększenia jeszcze grożącego nam skandalu i ruiny. Ja na to nigdy nie pozwolę.

Amelja uśmiechnęła się smutnie, siląc się wydobyć ręce z jego żelaznego uścisku.

— Uczynię—odparła—to co mi sumienie nakazuje; a gdybyś mnie chciał usłuchać Wilhelmie, błagałabym cię na kolanach byś uczynił tak samo. Myślałam nad tem długo bardzo; to dla ciebie także jedyna droga wyjścia, jedyny sposób zmycia z siebie piętna zbrodni i hańby.

— W jej słowach była tak spokojna stanowczość, że brat zadrżał. Znał ją. Wiedział że co zamierzyła, wykona; a jakiekolwiek mógł czynić pogróżki, czuł także, iż nie miał nad nią żadnej władzy.

— Wilhelmie—mówiła dalej Amelja—miej litość nad sobą samym; czas jeszcze. Śmierć ojca zmieniła położenie; oddaj to co nie prawnie posiadasz, a co i tak odebranem ci będzie.

— Ale słowa te nie mogły trafić do umysłu Wilhelma zajętego wprost przeciwnemi myślami.

— Ameljo, ty tego nie możesz uczynić!—powtarzał gwałtownie; krok podobny z twojej strony byłby wyrokiem potępienia rzuconym na pamięć ojca. Bądź jak bądź, spadek po nim dźwigać musisz wraz ze mną.

Ale ten sofizmat wymierzony do miękkiego kobiecego serca, nie sprawił zamierzonego skutku; Amelja smutnie wzruszyła głową.

— Myślałam o tem—wyrzekła—ale są obowiązki zbyt jasne, by się wahać można. Jakkolwiek postępował ojciec mój, jakkolwiek brat postąpi, wiem co mi czynić wypada.

Te słowa przebrały miarę cierpliwości Wilhelma. Wypuścił ze swoich ręce siostry, jak gdyby węża trzymał w dłoniach, i odepchnąwszy ją od siebie gwałtownie, odszedł wymawiając stłumione groźby i przekleństwa.

Amelja patrzała czas jakiś za odchodzącym, i smutnie, poważnie powróciła zwolna na miejsce swoje. Straszne trwogi i przeczucia obsiadły jej blade czoło. Sama nie mając już nic do stracenia, lękała się o wszystkich których łączył z nią jeśli nie węzeł serca, to krwi i nazwiska.

*

* *

Dnia tego nad wieczorem Kiljan z Cecylją, po dniu pracy jak zwykle, wyszli na przechadzkę i skierowali się ku Wiśle. Był to jeden z tych dni wiośnianych, w których budzące się życie przyrody drży i kipi w podmuchach wiatru, w pączkach liści, w falach rzeki wezbranej topniejącemi gór śniegami, toczącej wzburzone nurty z podwojoną siłą. Słońce chyliło się ku zachodowi, wielkim płomienistym kręgiem odbijając się w Wiśle, po której krzyżowały się rozliczne łodzie. Białe żagle wzdymały się lekkim wiatrem, w powietrzu panowała cisza pełna potęgi; tylko czasem przerywały ją wysokie nuty skowronka spadające gdzieś z góry, lub szept fal konających na piasku wybrzeża. Oni szli wsparci jedno na drugiem, pijąc pełną piersią słodycz tej godziny, i milczeli długo,przejęci widokiem roztaczającym się przed ich oczyma, owiani spokojem wiośnianego wieczoru, owładnięci ożywczym urokiem jego.

Kiljan był pogodniejszym jeszcze niż zwykle; promienie zachodu padały na twarz jego, myśli falowały mu na czole, uczucia grały w oku. Ale te uczucia i myśli wykwitały mu na usta uśmiechem szczęścia. Na ramieniu jego zwieszała się Cecylja, a wyraz twarzy męża, niby w czystem zwierciedle odbijał się w jej pięknych rysach. Są godziny tchnące niezmąconą rozkoszą, które chociaż nie odznaczają się żadnym na pozór faktem, wpijają się w pamięć

wiecznem wspomnieniem. Oni byli w jednej z chwil takich. Niebo i ziemia zdawały się drżeć cichym zachwytem jak ich duchy, świat zewnętrzny zlewał się z niemi w to najwyższe słowo bytu—w harmonję.

Błądzili długo wśród nadbrzeżnych piasków i rybackich dworków, wśród których tak łatwo zapomnieć że wielkie miasto wre życiem o kilkadziesiąt kroków. Ani na usta, ani nawet do myśli nie przyszedł im ten miljonowy majątek, który lada dzień miał dostać się w ich ręce. Tymczasem ściemniać się zaczęło, i od rzeki powiał wiatr chłodny.

Cecylja wzdrygnęła się mimowolnie, oglądając się po krajobrazie zasępionym zmrokiem.

— Czy zimno ci—zapytał Kiljan—otulając ją ciepłym szalem.

— O nie!—odparła—tylko świat tak zposępniał nagle, jak gdyby kir olbrzymi roztoczył się nad nim.

— To prawda—wyrzekł Kiljan—zbliżająca się ciemność zapowiada swe przybycie jakąś nieokreśloną grozą; reszta światła łamie się w fałszywe barwy, w niewyraźne kształty, mające także piękność sobie właściwą.

— Ja lubię słońce i światło Kiljanie.

Kiljan uśmiechnął się spoglądając na nią z zachwytem.

— Chciałbym otoczyć cię zawsze słońcem, wonią i pięknem.

— Dałeś mi więcej daleko, dałeś mi szczęście; nauczyłeś mnie czuć, myśleć i rozumieć; podniosłeś mój poziom moralny, wskazałeś drogę życia, stworzyłeś istotę, która dziś stała się może godną ciebie.

Spojrzeli wzajem sobie w oczy, w których jaśniała miłość i wiara, i szli dalej nie bardzo zważając gdzie idą, obojętni już na świat otaczający.

W tem miejscu domy i dworki stawały się coraz rzadszemi, miejsce ich zastępowały ogrody i łąki. Wieś tutaj wkraczała w miasto. Ciemności zapadały szybko. Byli sami prawie—tylko za niemi, kryjąc się w cieniu parkanów i drzew, postępowały jakieś postacie, które oddawna zdawały się ich ścigać.

Gdyby Kiljan zwracał większą uwagę na to co go otaczało, byłby dopatrzył, że już od dni kilku nieznani mu ludzie śledzili jego kroki, a twarze ich nie były z tych wcale co budzą zaufanie. Teraz wśród panującej w koło ciszy, dosłyszał jakieś szepty stłumione. Kiljan miał wzrok i słuch bystry. Obejrzał się szybko, i dojrzał trzech ludzi skradających się ku niemu. Miejsce to było odludne, jakby umyślnie obrane na zasadzkę. Podejrzenie błyskawicą przeszło mu przez głowę. Spojrzał na Cecylję; ona zrozumiała także co to być

może, bo przycisnęła się ku niemu, ale nie zdradziła niczem trwogi swojej. Zdwoili kroku—ludzie idący za niemi zdwoili go także; zwrócili się w boczną uliczkę równie pustą jak ta którą szli dotąd—tamci zwrócili się także. Nie było wątpliwości; ci ludzie przyszli tutaj za niemi. Zapewne byłyto ślepe narzędzia w ręku potężnych wrogów.

Kiljan szedł coraz szybciej chcąc dostać się do miasta, ale poznał wkrótce, że usiłowania jego były daremne. Ciemne postacie po kilku zamienionych wyrazach rozbiegły się w ten sposób, że zamykały mu odwrót, i z dwóch stron zbliżały się do niego. Chwila była stanowczą. Widocznie gotowała się napaść, a on nie miał w ręku broni żadnej. Myśl o niebezpieczeństwie żony uderzyła go naprzód. Potoczył wzrokiem w około jakby szukając pomocy lub środka ratunku, i zrozumiał, że na siebie tylko jednego mógł rachować. Miejsce to było puste zupełnie; po obu stronach drogi ciągnęły się wysokie parkany. Ciemne postacie były już tylko o kroków kilka. Kiljan nie stracił chwili jednej na próżnem wahaniu się. W mgnieniu oka obmyślił co mu czynić wypada—i szybki jak myśl, pochwycił jednę z desek ogrodzenia. Była na wpół spróchniałą; zatrząsł nią i wyłamał z siłą jaką daje rozpaczne położenie.

— Cecyljo—szepnął wskazując jej ten wyłom—uciekaj i szukaj pomocy, ja tymczasem bronić się będę.

Cecylja w tej stanowczej chwili nie okazała mniej męztwa od niego, zrozumiała że w jej ręku jest życie męża. Szybka jak strzała puściła się nieznanemi ulicami ogrodu, do którego Kiljan otworzył jej drogę. On oparł się plecami o parkan, za jedyną broń mając deskę wyrwaną.

Trzech napastników było już przy nim. Szczęściem, żaden z nich nie pomyślał o gonieniu Cecylji, ale wszyscy razem rzucili się na Kiljana. Sprawa łatwą nie była; mieli do czynienia z człowiekiem, którego siłę podwajała krew zimna. Bronił się deską, odpierając razy tak dzielnie, że wkrótce jeden z napastników ugodzony w głowę leżał bezprzytomny na ziemi. Wówczas trwoga ogarnęła morderców, którzy spodziewali się zajść go z nienacka z kobietą, utrudniającą mu obronę; razy ich osłabły, gdy nagle głosy i kroki szybkie dały się słyszeć od strony miasta. Tamci nie czekali dłużej, i zostawiając zemdlonego towarzysza uciekli ku nadbrzeżu.

Z tej zuchwałej napaści Kiljan wyszedł zwycięzko; rozchwiała się ostatnia nadzieja hrabiego Wilhelma, a jeden z siepaczów jego był w ręku sprawiedliwości.

Nazajutrz przypadła sprawa Horeckich, salę sądową napełniał tłum ciekawych. Wprawdzie byłato dopiero pierwsza instancja, ale ważność fortuny o którą spór się toczył, mecenasi przemawia-

jący z za kratek, i wzburzona opinja publiczna, nadawały jej rozgłos nadzwyczajny. Wczorajszy zamach uczyniony na życie Kiljana, o którym wiadomość rozbiegła się po mieście z szybkością błyskawicy, zaostrzał jeszcze interes ogólny dla ofiary, ocalonej tylko cudem odwagi z rąk wydzierców i zbrodniarzy. Głos ogólny nie omylił się tym razem, przypisując Horeckim myśl morderstwa, a ujęty napastnik wyznał kto rękę jego uzbroił. Mówiono nawet, że wydanym już został rozkaz aresztowania hrabiego Wilhelma. Publiczność wrzała ciekawością i zapełniała szczupłe, zazwyczaj puste miejsce przeznaczone dla widzów—gdy do kratek zbliżył się pan W. obrońca Kiljana, i wyrzekł:

„Sprawa sama z siebie upada. Przeciwnik mego klienta, hrabia Wilhelm Horecki, dziś w nocy wystrzałem z pistoletu odebrał sobie życie. Hrabina Marja Horecka i hrabianka Amelja, wynagradzając z majątku spadkowego wyrządzoną przez ich spadkodawcę krzywdę, uznają słuszność praw hrabiego Kiljana Horeckiego, jedynego syna zmarłego przed dziesięcioma laty hrabiego Juljusza, i żony jego Joanny Dolorès de Malajara“.

KONIEC.